

143/55

**WSPOMNIENIA
Z MANDŻURYI**

paw.

WSPOMNIENIA Z MANDŻURYI

NAPISAŁ K. G.

KRAKÓW — NAKŁADEM AUTORA
DRUK W. L. ANCZYCA I SP. — 1909

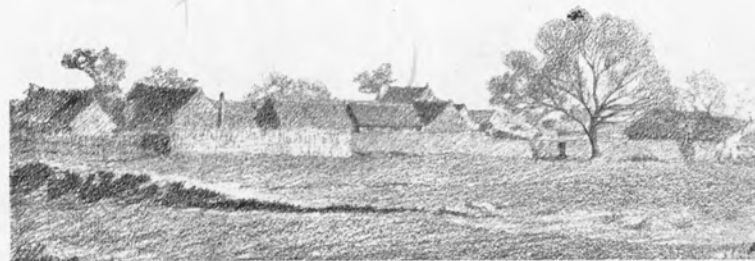


H. 13445.



884-92

28
nach 525
27/11 45



Część wsi Pa-dia-dzy z zabudowaniami, gdzie się mieścił szpital.

1.

Różowy brzask poranku, z trudnością przechodząc przez wzorzystą powłokę szronową, zalepiając szyby okien brudnego i cuchnącego wagonu trzeciej klasy, rzucał słabe promienie na chaotyczną scenę naszego przebudzenia się.

Śród łoskotu i zgrzytu toczącego się szybko pociągu, wśród przerywanego częstym kaszlem, piskliwego gwaru sióstr miłosierdzia, wśród gradu typowych rosyjskich przekleństw, skierowanych ku niezdarnej usłudze, otwierającej co chwila bez potrzeby drzwi wagonu i wpuszczającej do jego wnętrza kłęby zmieszanego z parą mroźnego powietrza, przeciągaliśmy zbolałe członki, narzucaliśmy na siebie odzienie i parzyliśmy usta gorącą herbatą, aby być gotowymi do wysiadania.

Za chwilę mieliśmy stanąć w Mukdenie, po 45-dniowej nieprzerwanej, wielce uciążliwej podróży.

Spojrzałem przez okno. Lodowe arabeski już spły-

wały na szybach i otworzyła się przed mym wzrokiem oryginalna panorama. Na żółto-czerwonej równinie stały w blasku przedzierających się przez sinawą mgłę słonecznych promieni tysiące niewysokich kopców z kamiennymi słupkami u wierzchołka.

Między kopcami wykręcał się w kierunku wschodnim jasno-żółty szlak drogi ku dalekiej sylwetce wielkiego miasta, które majaczyło nad horyzontem w błękitnych zarysach wysokich zębatych murów i unoszących się nad nimi charakterystycznych wieżyc. Wzdłuż plantu kolejowego i ku miastu ciągnęły łańcuchem dwukołowe chińskie arby, ciężko naładowane, a w przerwach między niemi, grupkami i pojedynczo, piesi i konni tubylcy w malowniczych błękitnych ubiorach, w czapkach oryginalnej formy, jasnej barwy, oszytych różnobarwnem futrem, z gołemi szyjami, nie zważając na trzaskający mróz.

W dość znacznych odstępach dążyły za nimi, tonąc w obłokach rudego pyłu, szare oddziały wojska rosyjskiego: piechoty i artylerii, zlewając się z pokrewnem im barwą tłem krajobrazu. Im bardziej zbliżaliśmy się ku stacyi, tem więcej było widać wojska, tem szerzej rozlewała się ta szara rzeka ludzka, połyskująca gęstą szczyciną bagnietów.

Pociąg powoli dojeżdżał do stacyi.

Jeszcze chwila, a znalazłem się na peronie między tłumem brodatych a wąsatych ludzi, uzbrojonych od stóp do głów, niezgrabnie gestykulujących i poruszających się w ciężkich zimowych ubiorach. Świeże powietrze odurzyło mnie; uczułem silne osłabienie a jednocześnie ból w nogach i klatce piersiowej.

Z niezwykle przykrem uczuciem opuściłem wagon. Wydało mi się, iż jakaś niewidzialna ręka strąciła mnie w otchłań bezdenną; nieokreślona jakaś troska ścisnęła mnie za serce; zrozumiałem, iż te twarde deski wagonowe, które przed chwilą opuściłem i które tak mi się dały we znaki, były jedynym łącznikiem, jaki mnie wiązał z kulturą i całym tym światem, który mnie obchodził. Rozstawszy się z niemi, stawałem się słabą jednostką, bez woli, którą miała odtąd miotać zawierucha wojenna.

Fala ludzka uniosła mnie za sobą i wtrąciła przez wązkie drzwi do sali restauracyjnej.

Tu, w gęstych kłębach dymu tytoniowego, przy wązkich, skleconych z nieociosanych desek stołach, okrytych zalaną resztkami jedzenia, nieokreślonej barwy ceratą, tłoczyli się na rozmaitej wysokości i formy ławkach i zydlach, oficerowie, lekarze, siostry miłosierdzia i czynownicy.

W sali kotłowało, jak w ulu. Duszny opar tamował oddech, a wrzawa głuszyła.

Po kilku minutach wachania się w różnych kierunkach oparłem się o róg ławki i usiadłem u stołu w pobliżu pięknie ozdobionej wysokiej piramidą z butelek bufetu. Poprosiłem rzucającego się jak fryga w różne strony, obdartego, z zatłuszczoną ścierką pod pachą garsona ormianina, o jajecznicę i piwo. Po długim wyczekiwaniu, które skracałem urywaną rozmową z sąsiadami, otrzymałem żądany posiłek na brudnym wyszczerbionym talerzu. Wyśmienite amerykańskie piwo Pabst'a ogrzało mnie i poprawiło mój nastrój melancholijny.

Kiedym kończył śniadanie, przecisnął się ku mnie naczelnik naszego szpitala i oznajmił, że komendant stacyi wskazał nam na miejsce naszego tymczasowego pobytu wieś Pa-dia-dzy, położoną u zachodnich wrót Mukdenu.

Pan naczelnik ze smotrytelem (gospodarzem szpitala) mieli się udać do wsi, aby tam wynaleźć pomieszkanię dla nas i komendy, mnie tymczasem rozkazano pilnować wyładowywania wagonów. Wydostawszy się z dużej i smrodliwej sali bufetowej na świeże powietrze, przeszedłem lekko przez kilka par relsów ku pociągowi, który opuściłem niedawno i usiadłszy na swych pakunkach, plecami do jasno świecącego słońca, zacząłem obserwowwać kipiący życiem pląnt kolejowy.

Setki żołnierzy i Chińczyków, pomieszanych z sobą, kręciło się koło wagonów, hałasując i gestykulując zawzięcie.

Tłum ten co chwila przecinały dwukołowe arby chińskie zaprzężone w konie i muły w parcianej uprzęży, upiększonej kawałkami kolorowej skóry i włóczkowemi jaskrawemi kulkami zwisającymi pod szyją i koło uszów.

Z głośnymi okrzykami »hi, hi!« i »cza-cza!« kierowali bez lejców, jedynie za pomocą bata, ogorzali, żółtolicy woźnicy swymi zaprzęgami, zręcznie omijając liczne przeszkody, piętrzące się po drodze. Na arby szybko ładowano zawartość wagonów.

Obdarci bronzowi manzowie (robotnicy chińscy), pomagający przy pracy, raczyli się od czasu do czasu skórkami czarnego chleba, lub ogryzkami kości wydobytymi z kup śmiecia wymiatanego z wagonów.

Krótki dzień listopadowy miał się ku końcowi, a słońce stoczyło się w fioletową mgłę, stojącą wysoko nad horyzontem i zawisło w niej nakształt kuli purpurowej, rzucającej słabe tylko promienie, kiedy ukończono wyładowanie pociągu i powrócił z kwaśną miną pan naczelnik.

Udało mu się wyprosić Chińczyka z połowy brudnej izby; tam mieliśmy zamieszkać: nas dwóch i cztery siostry miłosierdzia wraz z usługą. Gdzie się mieli podzielić inni lekarze i żołnierze, nie mógł mi powiedzieć pan naczelnik. W niewielkiej stosunkowo wsi ulokowano już przed nami cztery oddziały wojska, a że i miejscowej ludności było sporo, więc kącika pustego znaleźć nie było sposobu.

Zmrok zapadał. Na wysokich wieżach Mukdenu gasły ostatnie błyski zachodu, kiedy unoszeni parą rączych koni, w skaczącym po zmarzłej grudzie szarabanie, z pośród buchających jasnym płomieniem ognisk, przez gęste kłęby sinego dymu, ścielącego się wkoło rozsianych przy kolei namiotów, wydostaliśmy się na czyste pole. Droga kręciła się między kępami drzew, niedaleko jakichś wysokich spłaszczonych u wierzchołka kopców, na których wznosiły się rusztowania, w rodzaju szubienic. Stada wron i kruków z głośnem krakaniem zrywały się z tych rusztowań.

Przyszły mi na myśl miejsca kaźni, znajdujące się częstokroć na Wschodzie, dla przykładu u bram wielkich miast i odwróciłem głowę z obrzydzeniem.

Wkrótce, jednak, gdyśmy bliżej podjechali, przekonałem się, iż moje domysły były mylnymi. Te kopce, to

były piece do wypalania cegły, jak o tem świadczyły stopy jej, złożone obok nich, a rusztowania służyły zapewne do wydobywania wypalonego materiału z ich wnętrza.

Po kwadransie szybkiej jazdy, wpadliśmy przez szeroką piaszczystą ulicę do środka zamożnej wsi i skręciwszy w bok, zatrzymaliśmy się w dość obszernem podwórzu, okolonem stojącymi w czworobok zabudowaniami i przedzielonem idącą w poprzek, kamienną przegrodą, mającą pośrodku furtkę pięknie ozdobioną charakterystycznym, z zagiętymi rogami, daszkiem. Przez tę furtkę skierowaliśmy nasze kroki ku okazałej murowanej fanzie stojącej w głębi,

— Tu, w tej dziurze mamy się ulokować! — westchnął naczelnik, wskazując ręką na szeroko rozwarte drzwi fanzy.

Przez niewysoki taras upiękuszony na rogach kamiennymi rzeźbionymi słupkami, wszedłem do sieni.

Spotkały mnie kłęby gryzącego dymu wydobywającego się z głębi; zacząłem się dusić od kaszlu, a łzy popłynęły mi z oczu. Idący za mną pan naczelnik objaśnił mi, że jest to chwilowa nieprzyjemność wywołana tem, że teraz właśnie ogrzewają dla nas fanzę, a że żołnierze nasi nie umieją jeszcze palić w chińskich piecach, więc te cokolwiek dymią. Nie zgadzając się z tą argumentacją, krzyknąłem, aby natychmiast zaprzestano palić, gdyż wolę spać na mrozie pod gołem niebem, niż wędzić się w takiej atmosferze. Naczelnik protestował z początku, ale, kiedy siostry miłosierdzia wzięły moją stronę, poddano się memu wymaganiu i po kwadransie wentyla-

cyi, znakomicie ułatwionej przez szerokie otwory w papierze zastępującym szyby w oknach, miałem możność rozejrzenia się w mej siedzibie.

Od pierwszego rzutu oka widocznem było, że mieszkali tu niegdyś zamożni ludzie. Obszerny pokój, z wysokim, wznoszącym się pod strop dachu sufitem, wyklejony dawniej jasnym, teraz brudnym papierem, przecięty był przez pół ażurową drewnianą przegrodą, z szerokiemi, pośrodku osadzonemi drzwiami o skrzydłach, w górnej części ażurowych, w dolnej zaś pokrytych delikatną artystyczną rzeźbą, wyobrażającą lecące ptaki i kwiaty lotosu.

Wzdłuż ścian szły wznoszące się na pół metra nad poziom podłogi leżanki z cegły — tak zwane kany, ujęte w dębowe ramy — służące za łoża do spoczynku i siedzenia, a zarazem do ogrzewania fanz w Mandżuryi, gdyż wewnątrz mają kanały, przez które przechodzi gorące powietrze i dym od paleniska znajdującego się w sieni pod kotłami, w których Chińczyk warzy swą strawę.

Frontową, zwróconą ku południowi ścianę pokoju stanowiło jedno ogromne okno z prostą, lecz gustownie powiazaną ramą, zaklejone grubym, przepojonym tłuszczem papierem.

Przez dwie dziury w tym papierze migały ku nam ironicznie gwiazdy i płynęło mroźne powietrze, szczypiące dotkliwie w nos i uszy. O tem, aby się zabezpieczyć od tego chłodu, na razie nie było mowy. Trzeba było myśleć o niewygodnym noclegu, dziękując Bogu za to, że mamy przynajmniej dach nad głową.

Służba rozsunęła łózka polowe na kanach, a my, wydobywszy ze swych tłumoczków parę pudełek z konserwami, zabraliśmy się do wieczerzy. Służący głównego lekarza tymczasem dał co mu się starczyło w rurę samowara, w którym woda ani rusz nie chciała kipieć: brakło węgla lub suchego drzewa, źdźbła zaś gaolanu spalały się szybko, a ciepła nie dawały.

Naczelnik niecierpliwił się srodze, klął usługę i podły kraj, dokąd go losy zagnały, wygrażał, iż jutro poda raport o chorobie i wyjeździe do Rosyji napowrót. Ale że tymczasem iść spać bez herbaty było niepodobna, dał rozkaz, aby porąbano na łuczywa piękne lakierowane chińskie stołki.

Przykro mi było patrzeć na ten rabunek, protestowałem, ale na próżno: ostrym tonem dano mi do zrozumienia, że to wojna i że okazywanie osobliwszych względów dla chińskiej kanalii jest zupełnie nie na miejscu.

Noc spędziłem fatalną.

Zakutany w kożuch, w ciepłych butach i futrzanej czapce nasuniętej na czoło, przewracałem się na twardej, wąskiej pościeli, a mimo silnego znużenia, sen nie kleił powiek.

Tysiące obcych dźwięków wciskały się do ucha, budząc najrozmaitsze obrazy i myśli: wiatr łopotał kawałkami papieru w oknie, kołatka stróża nocnego odzywała się w oddali, psy wystraszone zapewne obecnością obcych przybyszów wyły gromadnie, jakiś dziwny klekot, niby tkackiego czółtenka, dochodził od czasu do czasu.

Nareszcie, gdzieś blisko, pod oknem prawie, roz-

legł się śpiew chiński wysokim dyskantem, monotony i smutny. Nuta tego śpiewu wydała mi się znaną... Nuta ta dźwięczała zupełnie jak melodia owych słowiańskich niby motywów, którymi brzmi pieśń rosyjska.



Z okna wagonu.



Kałuża po deszczu.

II.

Wschodzące słońce rzucało jasne smugi promieni do wnętrza fanzy przepętnionej swądem i zapachem bobowego oleju, za cienką ścianą, odgradzającą nas od sieni trzeszczał palący się gaolan i rozlegał się szwargot Chińnek gotujących w kotłach kaszę z czumizy na posiłek dla rodzin, kiedym się zsunął leniwie, zupełnie niewywczasowany, z mego łóżka.

U nas za przegródką już się krzątały siostry, przygotowując herbatę. Przyłączyłem się do nich wkrótce, po odbyciu koniecznych ablucyi, które były nadzwyczaj przykremi, z powodu panującego w fanzie zimna.

Spożywszy skromne śniadanie, wyszedłem na podwórze.

Dzień był mroźny — lecz piękny. Kilkoro dzieci pysznie wyglądających, różowych, zwinnych, wesołych,

z odkrytymi głowami uganiało za kudłatymi psami, wcale się nie krępując moją obecnością.

Kilku starszych Chińczyków wspartych o odrzwia grzało się na słońcu, i ćmiąc krótkie fajeczki, przypatrywało się z uśmiechem na ustach zabawom kosookich zamorusanych aniołków.

Z ulicy dochodził donośny skrzyp arb, wykrzykiwanie poganiaczów i częste klaskanie z bicza. Wyglądnałem za wrota i stanąłem zdumiony ruchem, jaki tam panował. Ku miastu toczyły się setki wozów naładowanych zbożem, mąką, sianem, gaolanem, węglem kamiennym, drwami i innymi produktami.

W kierunku stacyi szli robotnicy i przekupnie, jedni niosąc przybory do pracy, drudzy rozmaite drobne towary.

Między Chińczykami snuli się żołnierze rosyjscy, sądząc z powierzchowności, oddawna tu przybyli, pojedynczo i grupami, uzbrojeni lub bez oręża.

Wojsko rosyjskie, pomimo wielu swych niezaprzeczonych zalet, nie uderza widza swą marsową postawą, nawet wtedy, kiedy się o to najbardziej stara.

Nie ma ani oficer rosyjski, ani szeregowiec tych cech kogucich, które są w takim poszanowaniu np. u Niemca: obcem jest dla nich zamiłowanie do tradycyjnego szychu, którym się wogóle wyróżnia stan wojenny. A jednak mnie, obytego już z tym charakterem wojska rosyjskiego, przykro uderzył widok zaniedbania i niechlujstwa tych biedaków, którzy, wedle opinii szowinistycznej prasy rosyjskiej przybyli na Daleki Wschód, aby zaszczepić tam kulturę europejską.

A. Polsha,

Zarośnięci, o długich powichrzonych włosach, spadających na ramiona, zamorusani, przygarbieni, niezgrabnie poruszający się w wypłowiałych postrzępionych u dołu szynelach, w nasuniętych na czoło wytartych, rudych, baranich czapkach, z których zbity włos wisiał kudłami, w walenkach (butach filcowych) wypchanych dla ciepła słomą, sterczącą częstokroć przez dziury, torowali oni sobie drogę przez barwny, wesoły, kipiący życiem i energią tłum chiński.

Tyle nasłuchiwałem się i naczytałem o bezgranicznej władzy bogdychana, o ciężkiej niewoli, w jakiej się znajduje srodze uciskany przez mandarynów Chińczyk, że nie mogłem się opędzić zdumieniu, ujrawszy lud tęgi, zdrowy, zręczny, pięknie zbudowany, postawy pełnej godności, bez śladu przygnębienia i uniżoności.

Widocznie nie tak tu się życie ułożyło, jak sobie wyobraża przeciętny Europejczyk, widocznie ta niewola chińska, o której tyle piszą, niepodobna zupełnie do niewoli europejskiej, która łamie ducha i przygniata kark ludzki ku ziemi.

Po drugiej stronie ulicy, przy wrotach jednej z fanz dostrzegłem kupkę żołnierzy naszego szpitala. Skinąłem na nich i po chwili dowiedziałem się, iż reszta moich kolegów i obóz znalazła przytułek naprzeciwko naszej siedziby w zagrodzie garncarza.

Powróciwszy do swej fanzy zastałem gości. Przybył do nas w odwiedziny miejscowy urzędnik policyjny z eskortą złożoną z dwóch stójkowych w czarnych jedwabnych, grubo wатовanych kaftanach, upiękuszonych czerwonymi napisami na piersiach.

Pan komisarz, chudy, wysoki mężczyzna o brązowej pomarszczonej twarzy, z długim, cienkim, haczykowato zagiętym nosem, siedział na stołku w mycce czarnej jedwabnej, z koralową gałką u denka, na podgolonej od czoła głowie i pięknie paciorkami wyszytych pochwachach na uszach i zaciągał się papierosem. Towarzysze jego rozpięrali się poufale na kanie oparci o nasze łóżka, także z papierosami w zębach. Jeden z nich piastował na kolanach symbol władzy pana komisarza: kapelusz czarny błyszczący z wywróconym do góry brzegiem, kryształową gałką i czerwoną włosienną kitą u dna.

Rozmowa szła dość kulawo, bo jeden ze stójkowych, będący tłumaczem, źle władał rosyjskim językiem. Potrzebowaliśmy także oswoić się ze specjalnym chińsko-rosyjskim narzeczem, jakie jest w użyciu na Dalekim Wschodzie.

Wkońcu udało się nam dowiedzieć, iż pan komisarz uważał za obowiązek złożyć swe uszanowanie gościom, a zarazem prosił, abyśmy bronili ludność miejscową od żołnierskich gwałtów. Powiedziano nam także, iż cała zagroda i fanzy, któreśmy zajęli, należą do żony fudutuna (naczelnika powiatu), mieszkającego w Pekinie. Pani fudutunowa przebywa stale w Mukdenie, a domy swoje wynajmuje tkaczom. Jesteśmy więc w fabryce płótna.

Wieś Pa-dia-dzy przepełniona ludnością, gdyż zamieszkuje w niej obecnie wielka ilość zbiegów z Laojanu, a także mieszkańców miasteczek i osad rozsianych wzdłuż linii frontowej rosyjskiej, wysiedlonych na rozkaz władz wojskowych.

Wypaliwszy papierosy, zerwali się policyjanci, jak na



komendę i podawszy wszystkim obecnym w fanzie brudne dłonie do uściśnienia wyszli na ulicę, przyczem jeden ze stójkowych wyprzedzał komisarza, niosąc przed sobą w ręku jego kapelusz.

Po wyjściu gości zabraliśmy się do urządzenia pomieszkania i ku wieczorowi oczyściliśmy fanzę z brudów i śmiecia, zabezpieczyliśmy jako tako od chłodu i umeblowaliśmy chińskimi sprzętami, które pościągaliśmy ze wszystkich zakątków.

Deńszczycy zakleili dziury w oknach papierem »pozyczonym« od sąsiadów Chińczyków i postawili na kanie piecyk żelazny przywieziony z Rossyi, a kiedy buchnął w nim ogień z niedopalonych zeszłego wieczora sprzętów, raźniej się nam zrobiło na duszy i długo w noc gawędziliśmy przy stole zastawionym herbatą i rozmaitymi przysmakami, którymi nas raczyły poczciwe siostry.

Tyle nowych wrażeń spadło na nas w ostatnich czasach, iż potrzebowaliśmy wywnętrzyć się przed sobą, a najbardziej trapiła nas myśl o tem, co z nami będzie, czy pozostaniemy na czas dłuższy w Pa-dia-dzy i tu uformujemy szpital, czy też każą nam posunąć się bliżej ku pozycjom.

Cały pierwszy tydzień naszego pobytu w Pa-dia-dzy zeszedł beczynnienie. Rozlokowaliśmy obóz i żołnierzy, o ile można było najwygodniej, sami otoczyliśmy się jakim takim komfortem i czekaliśmy na rozkazy władzy wyższej.

Pogoda ciągle była prześliczna; mrozy niewielkie, 10—15 stopni, wiatru ani krzty, słońce wspaniałe, jak we Włoszech.

W południe przygrzewało tak, iż można było spacerować bez futra w skórzanej szwedzkiej kurtce, lecz po zachodzie słońca od razu robiło się bardzo zimno.

Korzystając z braku zajęcia, robiłem pieszo i konno wycieczki w okolicę Pa-dia-dzy, a najczęściej do Mukdenu, który zachwycał mnie swem życiem i oryginalnym piętnem starożytności, tak odrębnej od naszej kultury.

Fanza nasza stała o kilkaset kroków od zewnętrznych wrót Mukdenu, wznoszących się nad glinianym wałem opasującym przedmieścia. Przez te wrota, strzeżone przez rosyjską wartę, szła szeroka ulica ku zachodniej bramie właściwego miasta.

Już na przedmieściu ruch był znacznym, a w miarę zbliżania się ku miastu wzrastał do takiego stopnia, że z trudnością tylko można było przedostać się konno przez tłum ludzi i wozów.

Niemalą tamą dla ruchu było to, że rzemieślnicy, jak to jest we zwyczaju na Wschodzie, pracowali na ulicy. Kowal wbijał ogromne gwoździe z szerokimi płaskimi główkami w obwód koła arby, stojącej na chodniku; obok szewc szył obuwie, rozłożywszy przed sobą dziesiątki par swego towaru, tracze przepiłowywali ogromne kłody drzewa na deski, wysunawszy je prawie do środka ulicy; dalej robotnicy przesiewali ziarno przez duże sita, zawieszane na trójnogach, chłopcy tłukli drewnianymi młotkami o kamienie jakąś suchą trawę, którą później wiązali w szczotki i t. p.

Wjechać przez bramy starego miasta do jego wnętrza było nielada zadaniem. Droga prowadziła przez

niezbyt szeroki, dość niski tunel przebijający kolosalnej grubości mur.

W tym tunelu stykały się z sobą dwa przeciwne prądy: wjeżdżających do miasta i wyjeżdżających. Co to był za zgiełk, jakie zamieszanie! Porządek utrzymywała warta: — piechota i kozacy, którzy porozumiewali się z Chińczykami dość skutecznie za pomocą nahałek. niewiele to jednak pomagało, bo największą zawadą do ładu były transporty rossyjskie nienawykłe do dyscypliny i ciągle wchodzące jedne drugim w drogę.

Zaraz za zachodnią bramą Mukdenu zaczynała się główna ulica, przecinająca miasto prostą linią.

Nigdy nie zapomnę wspaniałego widoku, jaki mnie uderzył, kiedy po raz pierwszy znalazłem się na tej pięknej ulicy, skąpanej w jasnych promieniach słońca, które paliło się na wysokich misternie rzeźbionych i złoconych szyldach i godłach sklepowych i zalewało potokami światła szeroko otwarte wystawy kramów, zawieszane materyami jedwabnymi przepięknych barw i odcieni, malowniczymi ubiorami iskrzącymi się od złotych i srebrnych lam, rzadkimi futrami i pysznymi skórami dzikich zwierząt: tygrysów, lampartów i panter. Z poza towarów wyglądały wygolone twarze eleganckich kupców uśmiechem i gestem zapraszających przechodniów do wnętrza sklepów. Na wąskich chodnikach wśród tłumu gapiów kręcili się rozmaici przekupnie proponujący natrętnie swój towar.

Co chwila słyszałem tuż nad uchem:

»Kapitana, suba!« (futro).

»Kapitana, sapka!« (czapka).



Chinka z Pa-dia-dzy.

»Sachaley, sachaley!« (cukier).

»Rusa, rusa!« (gruszki) i t. p.

Na kuchenkach przenośnych gęsto rozstawionych pod murami domów smażyły się jakieś przysmaki, od których rozchodził się przykry odor bobowego oleju i cebuli; kupy owoców: mandarynek, jabłek i gruszek nęciły oko.

Od czasu do czasu przeciskała się przez ciżbę, załotnie uśmiechając się smukła i zwinna Chinka, z odkrytą głową, na której piętrzyły się kunsztownie zwinięte i upięte sploty kruczych włosów, ozdobionych kolorowymi wstęgami i długimi srebrnymi szpilkami, z wielkimi srebrnymi, pokrytymi błękitną emalią kolcami w uszach i z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy kaftana, skąd sterczał zwykle krótki cybuch fajeczki do palenia tytoniu. Niemało między nimi było takich, które mogłyby uchodzić za przystojne, gdyby nie zwyczaj nakładania na policzki karminowego pokostu w nadmiernej ilości i podmalowywania w zbyt jaskrawy sposób brwi i warg. Zwyczaj deformowania nóg widocznie zanika w Chinach, przynajmniej u młodych kobiet nie zdarzało mi się widzieć w Mukdenie pokaleczonych stóp.

Porządek w mieście utrzymywali żołnierze piechoty rosyjskiej pod kierunkiem komisarzy policyjnych we właściwych im uniformach, z fantastycznym jakimś herbem nad daszkiem czapki.

Serca patryotów rozpływały się z radości na widok tych reprezentantów rodzimej kultury: »Widać, że Mukden, to nasze miasto«, mówili, »gdybyśmy tak przez parę lat tu pozostali, zrusyfikowalibyśmy Mandżuryę zupełnie,

tembardziej, że Chińczycy chętnie się poddają naszym wpływom«.

Na wielu sklepach wisały tablice z rosyjskimi napisami. Setki chłopców chińskich ofiarowywały natrętnie swe usługi w charakterze przewodników, wymagając potem w zuchwały sposób wynagrodzenia.

W godzinach rannych i południowych Mukden był przepełniony wojskowymi, którzy tam codziennie robili ogromne zakupy. Kiedyśmy zamieszkali pod Mukdenem w połowie listopada 1904 r. wszystkiego tam było pod dostatkiem i za niewysoką stosunkowo cenę.

Ogromne zapasy rozmaitych produktów żywnościowych dochodziły do Mukdena via Sin-min-tin.

Ameryka dostarczała nafty, najlepszych konserw mlecznych, piwa, Anglia świec, biskwitów i konfitur, konserw rybnych i mięsnych, whisky, z Niemiec szło piwo bremeńskie, hamburskie i konserwy mleczne w bardzo złym gatunku, z wielką domieszką sacharyny, z Francji i Włoch wina najrozmaitsze, margaryna, sery i oliwa, z Belgii i Holandii mleko sproszkowane, wódki i likiery.

Można się było także zaopatrzyć łatwo w Mukdenie w ubranie, gdyż krawcy chińscy wybornie kopiowali uniformy rosyjskie, prawda, z materyałów bardzo lichego gatunku.





Wioska Kandiafu.

III.

O wojnie słyhać było mało i gdyby nie grzmot dział, dochodzący do nas z daleka, zwykle w godzinach popołudniowych i milknący ku wieczorowi, nigdyby nam nie przyszło do głowy, że znajdujemy się w blizkiem sąsiedztwie groźnego nieprzyjaciela, z którym niewątpliwie wkrótce wypadnie nam się zmierzyć.

Przybyliśmy pod Mukden w miesiąc przeszło po krwawej rozprawie pod Sza-che, po której obie strony wycieńczone dużemi stratami okopały się na swych pozycjach, nie ryzykując rozpoczęcia kampanii wobec zbliżającej się surowej zimy.

Japończycy zatrzymali się na skraju gór, Rosyjanie wyciągnęli się przed nimi długą linią na równinie, mając za sobą rzekę Chuń che. Ogólna opinia wśród Rosyjan

była, że Japończycy nie odważą się opuścić swych obwarowanych szańców, z takim mozołem zdobytych i Rosyjanie będą zmuszeni, po otrzymaniu dostatecznej ilości posiłków, wyprzeć ich stamtąd na południe i zakończyć wojnę odsieczą Portu-Artura, z którego dochodziły dość pomyslnie wieści. Japończycy, ponosząc kolosalne straty, daremnie się kusili o zdobycie niedostępnej twierdzy, zaopatrzonej aż nadto dostatecznie w zapasy bojowe i żywność.

Tak pisał »Wiestnik Mandżurskich armij«, organ sztabu głównego, drukowany w wagonie i redagowany przez p. esauła Pilenkę.

W miarę przybywania posiłków, które nieprzerwanym strumieniem napływały do armii, rosła otucha i wiara w swe siły, zapomniano szybko o niedawnych klęskach.

Pułki naszej dywizji w tydzień po przybyciu otrzymały rozkaz do wymarszu na pozycje dla zastąpienia tych wojsk, które zostały przesunięte na zachód ku Chuń-che, wskutek rozciągnięcia w tym kierunku linii bojowej.

W kilka dni po otrzymaniu tej wiadomości wybrałem się z moim naczelnikiem w odwiedzinach do znanych nam oficerów, aby zaspokoić ciekawość co do tego, w jakich warunkach żyje żołnierz o kilkaset metrów od nieprzyjaciela.

O 9-ej rano wsiedliśmy do syberyjskiego tarantasu na drążkach, nabytego w Czelabińsku i, zabrawszy z sobą na wszelki wypadek trochę chleba, pudełko sardynek i latarkę, ruszyliśmy w drogę. Towarzyszył nam konno oficer, znający, mniej więcej, okolicę. Dzień był po-

chmurny, niezbyt chłodny. W nocy wypadł śnieżek. Wyjechaliśmy w pole piaszczystą drogą w kierunku rzeki Chuń-che, zostawiając mury miasta za sobą.

Jak daleko okiem można było sięgnąć, czerniały sznury podwód, jadących z pozycji ku składom intendentury, znajdującym się w pobliżu stacji kolei.

Spotykaliśmy dość często oddziały wojsk zajętych naprawą i wyładzaniem nowych dróg, przecinających pola gaolanu, które wskutek specjalnej uprawy roli pod tą roślinę były nie do przebycia dla wozów.

Im dalej odjeżdżaliśmy od miasta, tem jawniejszymi były ślady spustoszenia kraju. Z gęsto rozsianych gajów pozostały tylko pnie, osady stały w ruinach; Chińczyków nie spotykaliśmy zupełnie. Po dwudziestu minutach jazdy dotarliśmy do mostu zbitego z bali, rzuconego przez płynącą wartkim pędem w niewysokich piaszczystych brzegach rzekę Chuń-che.

Most był o tyle wązkim, że się na nim wozy rozminąć nie mogły, wskutek tego musieliśmy przez jakie pół godziny wyczekiwać kolei. Za mostem, na gładkiej równinie, na ściernisku po gaolanie wznosiły się dwa forty.

Jeżeli używam wyrażenia wznosiły się, to tylko dlatego, że przywykliśmy już do takiego określenia, kiedy mówimy o fortyfikacjach. W rzeczywistości zaś oba te miejsca obronne były zupełnie ukryte pod ziemią.

O ich obecności domyśleć się można było ze sterzącej niewysoko nad powierzchnią pola zagrody z splecionych gęsto drutów kolczastych.

Dopiero kiedyśmy się zbliżyli na niewielką odległość,



Domek składany, kartonowy, w którym mieszkałem we wsi Kandiafu.

zrozumiałem, jak straszniemi były te napozór niewinne obwarowania. Przed kolczastą zagrodą szedł szeroki pas tak zwanych wilczych dołów, wykopanych w szachownicę, których znów bronił szereg gęsto wbitych w grunt zaostzonych kołków drewnianych, nachylonych w stronę nieprzyjaciela. Do ukrycia załogi służyły rowy wykopane w taki sposób, że nawet wtedy, gdyby nieprzyjaciel, przewyciężywszy wszystkie przeszkody, zawładnął fortem, mógłby być jeszcze rażony ogniem ukrytych bezpiecznie obrońców.

Za fortami zjechaliśmy z szerokiego okopanego gościńca na wąską drożynę wśród pola.

Wiatr, dmący od niejakiego czasu, przeszedł w śnieżną zamieć. W jednej chwili straciliśmy z oczu linię horyzontu; znikły niejasne kontury rzadko rozsianych drzew i fanz i wszystko około nas zasunęła szara opona.

Zgubiliśmy drogę i zaczęliśmy błądzić. Szczęściem ze śnieżnego obłoku wynurzyła się ku nam jakaś trzęsąca się na lichej szkapie postać, zakutana w kożuch z czerwoną przepaską na lewym ramieniu.

Zatrzymaliśmy jeźdźca, w którym mój kolega poznał znanego korespondenta petersburskich gazet C., i zapytaliśmy go o drogę do jednego z pułków naszej dywizji. Odpowiedział nam, iż stamtąd właśnie wraca i uprzejmie wskazał kierunek, jakiego mieliśmy się trzymać. Wkrótce przejechaliśmy przez relsy Fuszuńskiej odnogi, w pobliżu Gu-dia-dzy gdzie właśnie kwaterował główny sztab i Kuropatkin.

Za Gu-dia-dzy coraz częściej spotykaliśmy obozowiska wojsk żyjących literalnie pod ziemią. Ludzie i ko-

nie kryli się w jamach wykopanych w glinie, przykrytych gałęziami i gaolanem, przysypanych ziemią przyprószoną śniegiem. O obecności żyjących istot świadczył tylko dym wydobywający się ze sterczących nad powierzchnią pola pozbawionych dna garnków chińskich służących za kominy. Stopniowo pejzaż się zmienił, równina zaczęła falować — zbliżyliśmy się do celu naszej wycieczki: ukazał się przed nami dość wysoki pagórek, a na nim pagoda chińska. Za tym pagórkiem miały się ciągnąć obwarowania rosyjskie, oddalone zaledwie o paręset kroków od japońskich szańców.

Przed pagórkiem miał biwakować pułk, którego szukaliśmy.

Stanęliśmy przy zrujnowanej wiosce u podnóża wzniesienia, o którym tylko co wspomniałem, ale żadnych oznak przebywania wojska w tej okolicy nie zauważyliśmy. Stopniowo jednak, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód, z zagłębienia w stronie od drogi wynurzyła się bateria polowej artylerii, zamaskowana zagrodą z gaolanu. Za zagrodą zobaczyliśmy konie i kilku kręcących się koło nich ludzi. Zapytaliśmy idącego ku nam podoficera, z jakiej jest brygady i z odpowiedzi zmiarkowaliśmy, iż jest to brygada dodana do naszej dywizji. Pytamy więc znów gdzie biwakują nasze pułki: »niemogu znać«, odpowiada. Tymczasem, kiedy zjeżdżamy ku wsi, aby zasięgnąć tam języka, zwraca naszą uwagę stercząca niewysoko nad ziemią tuż prawie obok drogi czerwona flaga z napisem, wskazującym, iż tu mieszka dowodzący tym pułkiem, któregośmy szukali.

Artylerzysta znajdujący się o sto kroków od od-

działu wojska, który miał go bronić, nie wiedział o tem, iż ten się w pobliżu jego znajduje! Naczelnik dał zaraz nurka pod ziemię do pułkownika a ja w nadziei iż spotkam kolegów skierowałem się ku stojącej na skraju wsi odrapanej fanzie, nad którą powiewała chorągiewka ze znakiem czerwonego krzyża.

W istocie zastałem tam liczne grono lekarzy i oficerów, grzejących się koło rozpalonego do czerwoności lichego żelaznego piecyka.

Przykry swąd napełniał powietrze, ale nikt nie zwracał na to uwagi całkiem pochłoniętej słuchaniem opowiadania, którem wszystkich zajął jakiś słusznego wzrostu jegomość, o suchej, okolonej czarnym rzadkim zarostem twarzy, odziany w cywilne palto z dwoma krzyżami orderu św. Jerzego na piersi.

Był to, jak się wkrótce dowiedziałem, korespondent gazety »Nowoje Wremia« M., który niedawno powrócił ze swej ostatniej wycieczki do Portu-Artura, dokąd się dostał z wielkimi trudnościami i narażeniem życia.

M. opowiadał o swoich niezwykłych przygodach bardzo ciekawie, wychwalał bardzo męstwo obrońców warowni, którą odwiedził i wyraził swe głębokie przekonanie oparte, jak mówił, na niezbitych danych, że forteca utrzyma się przynajmniej do marca.

Do tego czasu Kuropatkin znieśli japońską armię.

Jeżeli dotychczas nie powodziło się Rossyanom, to winą tego był brak wojska; na przyszłość o tem mowy być nie może. Tymczasem Japonia wysyła ostatniego żołnierza i wydaje ostatni grosz ze swej szkatuły.

Opinia p. korespondenta została przyjęta przez

audytoryum z wielkiem uznaniem. Wszyscy wierzyli mocno w powodzenie rossyjskiego oręża. Przed kilku dniami pułk otrzymał chrzest wojenny: kilkunastu ochotników, podkradłszy się ku forpocztom japońskim, wyparło nieprzyjaciela ze stanowiska. Stracono przytem jednego zabitego i kilku rannych, ale zawsze był to sukces, dobrze wróżący o przyszłych powodzeniach.

Karmiono się różowemi nadziejami, znosząc tymczasem cierpliwie ciężkie niewygody, odżywiając się lichą strawą i śpiąc w wykopanych w ziemi jamach na zmarzłym gruncie.

Kiedy powrócił mój kolega zasiedliśmy do obiadu, składającego się z krupniku z kawałkiem żyłastego mięsa. Czerpaliśmy go ze wspólnego kociołka, gdyż talerzy nie było. Nasze zapasy bardzo się przydały i zostały skwapliwie rozdzielone między obecnych.

Kiedyśmy stanęli o zmroku napowrót w Pa dia-dzy i zastali w naszej przestronnej czystej fanzie, jasno oświetlonej wiszącą u pułapu lampą, zastawiony do herbaty stół z rozłożonymi na nim różnymi przysmakami, pomyślałem sobie, iż nie mam jeszcze prawa uskarżać się na mój los.



Kozak Kubański.

IV.

Wewnętrzne życie szpitala układało się w sposób niezbyt harmonijny.

Zebrani z różnych stron, różnych sfer, kultury, usposobień i gustów ludzie, stanowiący wyższy personal szpitala, niebardzo przystawali do siebie, chociaż, zdawało się, powinny ich była wiązać wspólność ciężkiej doli.

Od początku zaczęły się niesnaski na podstawie nieporozumień między sferą medyczną a gospodarczą. Na czele gospodarczego wydziału stał tak zwany smotrytel, były oficer rezerwy, a na koniec, komisarz policyjny. Pan ten przechodził w swym życiu rozmaite koleje. Opowiadał mi, że służąc jeszcze jako oficer w jednym z kawaleryjskich pułków konsystujących w Królestwie, delegowany bywał ze swym oddziałem nieraz do chwytania unitów, zbierających się po lasach nocami dla wspólnej modlitwy. Na korzyść jego przemawiało to, że, jak mi mówił, nie złowił nigdy żadnego, gdyż, w ten, lub inny sposób, uprzedzał zgromadzonych

o swych zamiarach. Porzuciwszy służbę wojskową wstąpił do policyi w kraju Południowo-Zachodnim, ale że miał tam kilka przykrych zatargów z Temidą, przeniósł się na południe Rossyi i tam go właśnie zaskoczyła wojna.

Jako komisarz mógł być się łatwo od służby w armii czynnej uchylić, tem bardziej, iż wskutek bardzo osłabionego wzroku, był prawie kaleką; nie uczynił tego przez wyrachowanie, wężąc rozmaite dozwolone i niedozwolone zyski, jakie mógł łatwo przy pewnym sprycie z administracyi tak znacznej instytucyi wyciągnąć. Natrafił jednak w wykonaniu swych planów na przeszkodę ze strony głównego lekarza, który będąc jego zwierzchnikiem bezpośrednim zwracał baczne oko na jego machinacye.

Musiał się nieborak na razie kontentować zyskiem ze sprzedaży różnych części składowych zimowej odzieży, których wywiózł z Rossyi, pod pozorem przyborów piśmiennych do kancelaryi, ogromną skrzynię.

Pomagał mu w handlu żołnierz żydek, który co rano pod pretekstem zaprowiantowania szpitala wywoził towar do Mukdenu i rozsprzedawał go tam żołnierzom, zarabiając na tej operacyi ogromnie.

Doniesiono o tych sprawkach smotrytela głównemu lekarzowi, ale ten pozostawił nadużycie bez kary, ponieważ, jak mówił, prawo wojenne jest tak surowem, że gdyby zechciał je zastosować w tym wypadku, złamałby zupełnie karierę człowieka obarczonego rodziną, a z doświadczenia wie, że gdyby spróbował zastąpić go innym, mógłby natrafić na znacznie gorszego.

Podobne rezonowania zdarzało mi się słyszeć nie-
raz w czasie wojny.

Naczelnicy, zasłaniając się surowością prawa, nie
odważali się wymierzać kary za takie przestępstwa, któ-
rychby nigdy nie puścili płazem w czasie pokoju. Skut-
kiem takiego postępowania rozmaite nadużycia krzewiły
się bezkarnie, a moralność wojska pozostawiała wiele do
życzenia. Zresztą przykład szedł z góry: główny lekarz
jednego ze stojących w naszej wsi szpitali wywiózł z Ros-
syi cały wagon cukru, niezapłaciwszy naturalnie ani gro-
sza za przewóz do Mukdenu i rozprzedawał potem ten
cukier po 50—60 kop. za funt.

Młodzi lekarze naszego szpitala trzymali się na
uboczu, zrażeni za ostrym cokolwiek tonem i obejściem
pana naczelnika, który, zapomniawszy w służbie wojennej
o tradycjach koleżeńskich, dawał im często do poznania
swą wyższość hierarchiczną, a, że dzieliła ich przytem
znaczna różnica przekonań politycznych i poglądów na wy-
padki wojenne, więc nieraz wynikały nieprzyjemne dy-
sputy, w których występowałem zwykle jako rozjemca.

Siostry miłosierdzia stanowiły, jak dotąd, element
zupełnie zbyteczny, a w wielu razach dla nas bardzo
krępujący.

Było ich cztery: dwie z północy Rosyji — dwie
z południa; jedna z tych ostatnich piastowała godność
starszej siostry.

Że chorych nie było, nudziły się biedaczki i z nu-
dów gryzły się między sobą o względy pana naczelnika,
który z miną starego satyra patrzył pożądliwem okiem
na młodsze.

Nie mogła tego strawić starsza siostra, niemłoda
już niewiasta, ale pełna jeszcze pretensyi i niemiłosiernie
karciła winowajczynię zalotnych aspiracyi pana naczelnika.

Przybycie siostr do Pa-dia-dzy ściągnęło do nas
liczny zastęp młodzieży oficerskiej. Dla rozrywki rozpo-
częto wspólne spaceru konne w okolice Mukdenu.

Siostry harcowały po męzku na szkapach szpitalo-
wych, w strojach wypożyczonych od oficerów. Wyglą-
dała ta maskarada dość ryzykownie, ale podobała się
siostronom, a najbardziej młodzieży, która miała okazyę do
podziwiania obfitych kształtów niektórych uczestniczek.

Niestety rozkaz głównodowodzącego, który spot-
kawszy gdzieś podobną kawalkadę, mocno zgorzony był
jej widokiem, przerwał te rozrywki i odtąd kontento-
wano się spacerami pieszo.

Schodziliśmy się zwykle wszyscy razem w południe
do wspólnego obiadu. Kuchnią kierował aptekarz —
wielki bywalec i błagier, który przed wojną pełnił obo-
wiązki tłumacza przy komorze celnej w nadmorskiem
mieście O.

Żyd z pochodzenia, karierę swą rozpoczął jako
felczer, a że mu się nie powiodło, wyjechał do Kanady.
Z Kanady przeniósł się do New-Yorku, gdzie pracował
w aptece, jako uczeń, potem porzucił Amerykę i znalazł
się w Londynie, zdał tam egzamin na aptekarza i z an-
gielskim dyplomem powrócił do Rosyji. Otrzymałszy
dyplom miejscowy, zmienił religię i porzuciwszy swój
fach został tłumaczem. Wojna wyciągnęła go ze spoko-
jnego miejsca i narzuciła mu znów zajęcie, od którego
odwykł zupełnie.



Aptekarz.

Prosiliśmy go, aby zarządzał kuchnią, gdyż miał talent robienia tanich zakupów, a przytem godził się z kucharzem naszym, byłym okrętowym »kokiem«, — ostatnim pijakiem i złodziejem.

Zaraz po naszym przybyciu pod Mukden wydany został rozkaz, aby oficerowie otrzymywali codziennie gratis po funcie mięsa i chleba, a także odpowiednią ilość krup na kaszę, oprócz tego raz na miesiąc miano wydawać po funcie herbaty i po dziesięć funtów cukru. Ponieważ mięso było najdroższym produktem, gdyż cena jego wahała się między 30 do 40 kop. za funt, stanowiło więc to

rozporządzenie dla nas ogromną ulgę i zmniejszyło znacznie koszt utrzymania.

Właściwie płacić potrzebowaliśmy tylko za rozmaite dodatki do kuchni i tu właśnie talent ekonomiczny aptekarza występował w całej pełni. Brakowało nam tylko zawsze jednej bardzo ważnej kuchennej przyprawy, a mianowicie masła. Niewielkie zapasy, jakie przywieźliśmy z sobą, wyczerpały się wkrótce i musieliśmy kontentować się margaryną, która była smaczniejszą i strawniejszą od wołowego łoju.

Po obiedzie wychodziliśmy zwykle na podwórze, aby przypatrywać się różnym figlom, z jakimi popisywali się nadzwyczaj zręczni wędrowni kuglarze chińscy, odwiedzający nas zwykle o tej porze dnia.

Kuglarze owi swobodnie krążyli między oddziałami wojska i zawsze dziwiła mnie obojętność, z jaką patrzyły na to władze rosyjskie. Przecie nie było nic łatwiejszego dla nich, jak porozumiewać się z emisaryuszami japońskimi, których, jak mówiono, pełno było wszędzie.

Po kłesce Mukdeńskiej wydano rozporządzenie, aby chińskich kuglarzy wydaleć z miejscowości, gdzie stoją wojska, ale czy nie zapóźno przyszedł ten rozkaz?

Kiedy niebyło kuglarzy, rozchodziliśmy się w różne strony na spacer. Ja zwykle kierowałem się ku przesłizcznej pagodzie, stojącej na wzniesieniu dominującym nad wsią.

Pagodę otaczał gaj złożony ze starych wiązów, których fantastycznie splecione i powykręcane konary wyglądały nadzwyczaj malowniczo. Droga do pagody

prowadziła przez wieś, a potem przez stare cmentarzysko usiane gęsto mogiłami, przypominającymi te kopce, które w takiej ilości widziałem podjeżdżając do Mukdenu.

Chińczycy nie grzebią swych umarłych, lecz składają zwłoki do zbitej z nadzwyczaj grubych desek trumny i przysypują ją zebraną tuż obok ziemią.

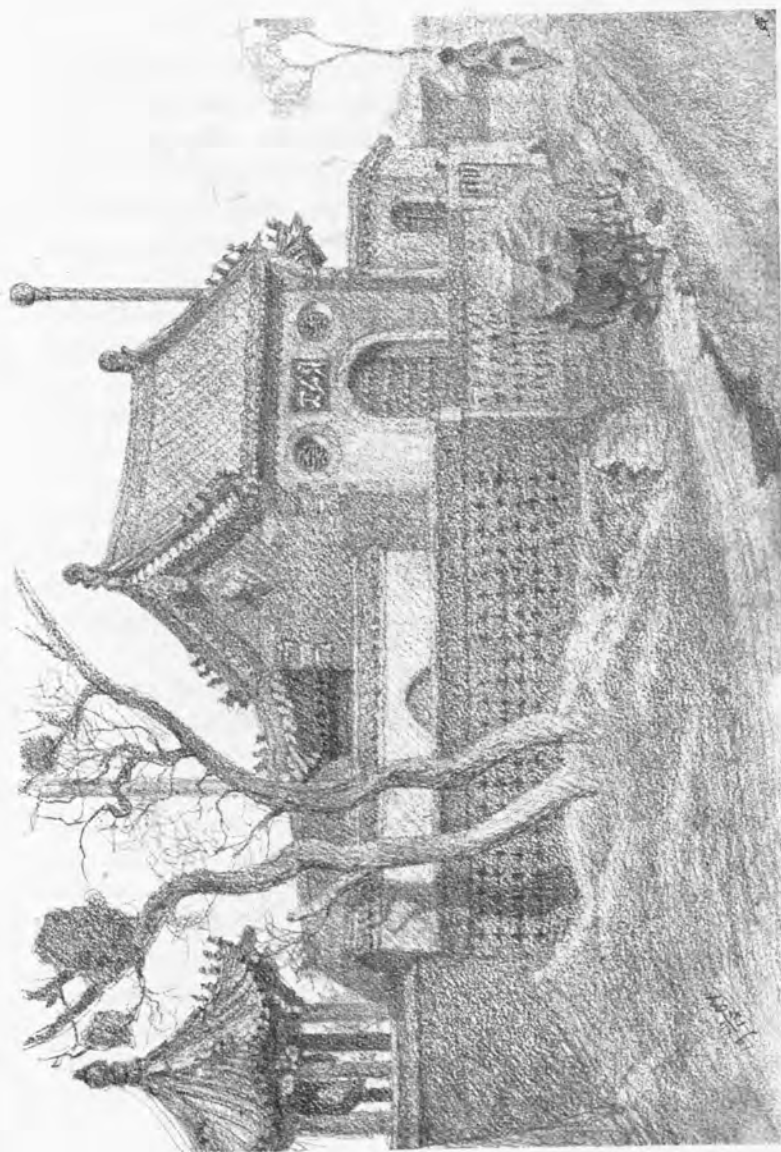
Cmentarz, przez który prowadziła droga do pagody, miał specjalne przeznaczenie. Chowano tu trupy przestępców, którym tuż niedaleko ścinano głowy.

Krwawe te ceremonie odbywały się parę razy na tydzień z niezwykłą pompą, nie ściągały jednak Chińczyków, przywykłych widocznie do tego rodzaju widowisk, ale niezmiernie nęciły naszych żołnierzy, którzy, usłyszawszy dziką muzykę i odgłos bębnów, rzucali wszystko i spieszyli na plac kaźni.

Zwykle kat, obnażywszy swe ofiary do pasa i związawszy im w tył ręce zmuszał do ukłęknięcia i oddawszy stojącemu przed skazańcem pomocnikowi warkocz, ścinał w tej postawie jednym zamachem miecza jedną głowę po drugiej.

Jeżeli między skazanymi był herszt, lub nadzwyczaj ważny przestępca, wtedy egzekucję zaczynało od niego w ten sposób, że kat nadcinał mu tylko skórę na karku i pozostawiał z raną broczącą obficie na mrozie, dopóki nie rozprawił się z innymi, wtedy dopiero ścinał mu głowę.

Głowy świętych wrzucano do jamy otoczonej zrębem, jak u studni i przykrytej daszkiem, tułowia zaś grzebano. Ponieważ jednak administracja chińska uważała za zbyt ciężkie składać zwłoki przestępców w tru-



Wejście do pagody w Pa-dia-dzy.

mnach, więc przysypywano je tylko ziemią. Korzystały z tego psy, zbiegające się zwykle gromadnie ze wsi na plac egzekucyjny, aby chłęptać świeżą krew ludzką i wywleksi trupy z mogił rozrywały je na części, a czego nie pożarty na miejscu, rozносиły po całej wsi. Widziałem raz rękę ludzką ogryzaną przez psa na naszym podwórzu. Ale wracam do pagody.

Ten, kto nie widział wzorów architektury chińskiej na miejscu, nie jest w stanie nigdy wyobrazić sobie jej niezwykłego piękna.

Dziwna lekkość i harmonia kształtów, przy bardzo oryginalnej i gustownej zewnętrznej i wewnętrznej dekoracji stanowią wybitną jej cechę.

Szaro-błękitna cegła, z której wznoszone są mury, i takiegoż koloru dachówka, stanowią doskonałe tło do palącej się jaskrawą gamą kolorów rzeźby upiększającej kolumny i belki, podtrzymujące strop i ozdabiające fronton budynku.

Wiele wdzięku i lekkości dodają dachom wygięte, upiększone kamiennymi potworkami narożniki.

Ślicznie wygląda belka zakończająca wiązanie dachu, pokryta delikatną rzeźbą, mająca zwykle na swych końcach zgrabnie zawinięte ozdoby. Długo nieraz przypatrywałem się, grzejąc na słońcu, wszystkim tym pięknym liniom i formom i zawsze miały one dla mnie wielki urok.

Przy pagodzie mieszkało kilku bonzów i staruszek stróż, który za drobne wynagrodzenie otwierał wnętrze świątyni i pokazywał bogów, siedzących w złoconych szatach na ołtarzach i spoglądających z dobrotliwym

uśmiechem na lśniących kosookich obliczach na cudzoziemskich intruzów. U stóp ołtarzy stały wysokie ozdobne świeczniki z kutego żelaza i ofiary w postaci ryżu i jakichciś nawpół zwęglonych pałeczek w brązowych miseczkach.





Po pierwszym śniegu w okolicy Kandiafu.

V.

W pierwszych dniach grudnia otrzymaliśmy całkiem niespodzianie rozkaz otwarcia szpitala.

Bardzo byliśmy z takiego obrotu rzeczy zadowoleni, bo najpierw znaczyło to, że nas nie ruszą z Padia-dzy, gdzieśmy się już na dobre rozgospodarowali, a powtóre, wychodziliśmy z bezczynności, która już nam zaczynała doskwierać.

Aby ten rozkaz skutecznie potrzebna było wykuczyć Chińczyków z naszej zagrody i sąsiednich fanz.

Szło to bardzo opornie, gdyż Chińczycy głusi byli na prośby, a grozili skargą do dziań-dziunia (generał-gubernatora) w razie, gdyby ich zmuszano przemocą do opuszczenia siedzib.

Wściekał się na to główny lekarz, ale, z obawy odpowiedzialności, zaprzestał niefortunnych prób na swoją rękę i zdecydował się jechać do komisarza rossyj-

skiego, pułkownika K. do Mukdenu ze skargą na upór miejscowych mieszkańców i z zamiarem proszenia go o pozwolenie usunięcia ich siłą, jeżeliby tego wymagały okoliczności.

Komisarz oburzył się na taką propozycję i zwrócił uwagę głównego lekarza na to, że prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości Mandzurya zostanie rossyjską prowincją, więc wypada obchodzić się z ludnością łagodnie.

Radził wejść z nimi w układy i zapłacić za zajęte fanzy.

Markotny trochę powrócił nasz pan naczelnik, gdyż ciągle mu się wydawało, że jest w kraju zawojowanym, ale musiał się zastosować do wskazówek z góry. Dla ułatwienia więc sobie pertraktacji z Chińczykami zaprosił miejscowego przedstawiciela policyi, który już nam raz ofiarowywał swe pośrednictwo, i przy jego pomocy, obiecawszy wprzód, że pieniądze za wynajęcie fanz przejdą przez jego ręce, szczęśliwie załatwił delikatny interes.

Po dwóch dniach hałasów wynieśli się Chińczycy z całym swym dobytkiem do okolicznych zagród, przekonani widocznie argumentami policyi.

Z właścicielem fanz, gdzie stał obóz, poszło znacznie łatwiej. Pocziwy starowina nietylko ustąpił wszystkie zabudowania bez żadnego oporu, ale dowiedziawszy się, że to dla chorych, odmówił przyjęcia wszelkiego wynagrodzenia, — a należało mu się 200 rb. — suma dość znaczna dla garncarza.

Narysowałem za to portret jego i syna, a stary

był uszczęśliwiony i obnosił rysunek po wsi, pokazując go swoim znajomym.

Dowiedzieliśmy się później, że był chrześcijaninem, nie mogliśmy zmiarkować jednak, jakiego obrządku, ponieważ książka do nabożeństwa, jaką nam pokazywał, wydrukowana była po chińsku, a żadnych innych oznak religijnych nie posiadał.

Usunięcie Chińczyków stanowiło nieznaczną tylko część zadania, jakie mieliśmy spełnić: trzeba było okopcone, brudne i zimne fanzy zamienić w wygodne i czyste pomieszczenie. Na to potrzeba było niemało pieniędzy i odpowiednich ludzi, którzyby mogli w krótkim czasie wykonać tę dość trudną robotę.

Po kilkodniowej korespondencji z rozmaitemi instancjami dowiedzieliśmy się, że o pieniądze powinniśmy się starać u zawiadującego sanitarnym wydziałem armii generała Trepowa.

Roboty, po krótkiej naradzie, postanowiliśmy oddać za umówioną z góry cenę przedsiębiorcy chińskiemu, wbrew opinii smotrytela, który węsząc zarobek dla siebie, radził, aby wszystko wykonać przy pomocy własnych żołnierzy z materiałów zakupionych w Mukdenie.

W pewien mroźny poranek wybrałem się z głównym lekarzem dla towarzystwa i z ciekawości do głównej kwatery w Gudiadzy do generała Trepowa po pieniądze.

Przejechaliśmy znaną już nam z poprzedniej wycieczki drogę przez Chuń-che i odnogę Fusuńskiej kolei i, zawróciwszy na lewo, zatrzymaliśmy się niebawem przed niską glinianą zagrodą, która półkolem otaczała niewielki las z wysokich starych drzew. Za laskiem stał



Chińczyk z Pa-dia-dzy, właściciel zagrody, gdzie stał szpital.

pociąg złożony ze zbyt kownych salonowych i sypialnych wagonów, restauracyi, wagonu z elektryczną dynamomaszyną, kuchni i t. d. Była to główna kwatera, miejsce pobytu sztabu głównego i Kuropatkina, który otoczył się niemałym komfortem.

Wkoło zagrody nad czysto wymiecioną ścieżką, po której krążyły szyldwachy, wisały na wysokich, wybielonych wapnem słupach latarnie naftowe. Cisza w powietrzu panowała zupełna, przerywał ją od czasu do czasu grzmot dźwięk, który tu się rozlegał znacznie wyraźniej niż w Pa-dia-dzy.

Przy pociągu nie widać było nikogo, tylko przez lustrzane szyby wagonów wyglądały ku nam wymuskane twarze adjutantów pochylonych nad papierami.

Audyencya u Trepowa trwała niedługo i była skuteczną. Naczelnik powrócił z assygnacją na pieniądze i wiadomością, iż prawdopodobnie w niedalekim terminie rozpocznie się znów walka. Miano, jakoby korzystając z tego, że Japończycy muszą się bić obecnie na dwa fronty – zaatakować ich niezwłocznie.

W połowie grudnia szpital był gotów. Wykleiliśmy ściany jasnym papierem, pokryliśmy podłogi matami, zawiesiliśmy z tychże mat sufity, których w fanzach zupełnie niema i opatrzyliśmy okna i drzwi. Z ogrzaniem fanz mieliśmy kłopot niemały, gdyż aby postawić żelazne łóżka, które zupełnie bez potrzeby przywieźliśmy z sobą, znieśliśmy kany, a żelaznych piecyków posiadaliśmy za ledwo kilka. Pobudowaliśmy więc piece własnej inwencji.

Na podmurowaniu z cegły stawialiśmy dnem do góry ogromne garnki gliniane chińskie, służące do przechowywania ziarna lub oleju i wybiwszy dno przykrywaliśmy otwór pokrywą z żelaznej blachy, z otworem na rurę pośrodku i piec był gotów.

Przekonaliśmy się, że piece te grzały lepiej, niż żelazne, gdyż znacznie dłużej utrzymywały ciepło.



Młody Chińczyk, syn właściciela zagrody w Pa-dia-dzy.

O tyle dbaliśmy o komfort chorych, żeśmy nawet w niewielkim budynku, który przedtem służył za chlewek, wmurowali kociołek i postawili wannę.

Zaraz po ukończeniu robót mieliśmy wizytę lekarza korpusu, który nie chciał wierzyć, by w tak krótkim przeciągu czasu można było przystosować w tak zadowalający sposób fanzy chińskie na szpital.

Dowiedzieliśmy się od niego, że oczekiwaną jest w najbliższym czasie bitwa; przypuszczalnie napadną na nas Japończycy, którzy przygotowują się zapewne do

ataku, gdyż od dwóch dni zaprzestali kanonady. Bałamunte te wieści wzbudziły w nas podejrzenie, że, albo władza wyższa ukrywa przed nami istotny stan rzeczy, albo sama nie jest dostatecznie obeznaną z sytuacją.

W kilka dni po wizycie lekarza korpusu doszła do nas wiadomość, że armia rosyjska ma być podzieloną na trzy części: pierwszą wschodnią, drugą zachodnią i trzecią południową, czyli centralną.

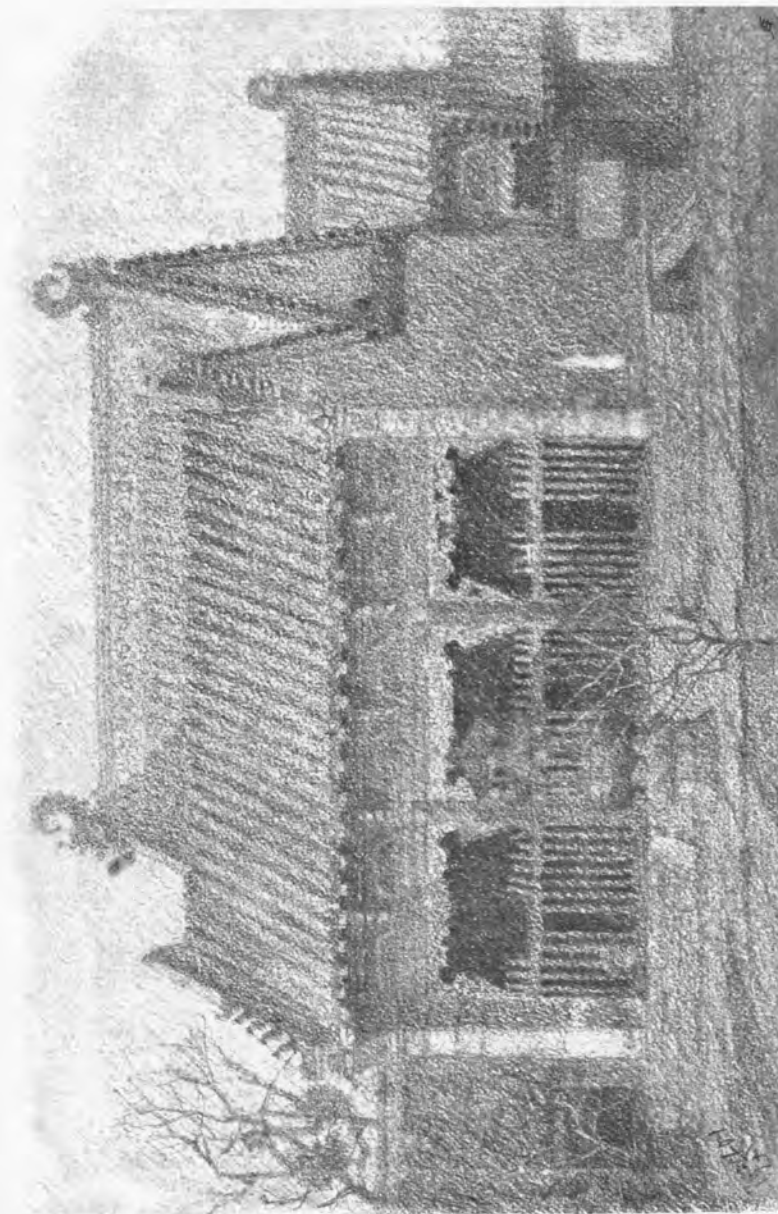
Pierwszą miał dowodzić Leniewicz, drugą Grippenberga, a trzecią Kaulbars. Obaj ci ostatni generałowie od niedawna dopiero gościli pod Mukdenem.

Gdy przybyli, spotykano ich z wielkimi honorami, oni zaś, opuszczając wagon mieli mówki w stylu Napoleona 1-go do otaczających, które drukował potem ku zbudowaniu czytelników »Wiestnik Mandżurskich Armii«.

Nadchodziło Boże Narodzenie, a im bliższym był ten dzień uroczysty, który zwykł był jednoczyć nas wszystkich pod dachem rodzinnym, w gronie najbliższych sercu osób, tem bardziej żrącą stawała się tęsknota, tem cięższą wydawała się rozłąka z krajem, tem nieznośniejszą była ta niewola, w której nas tu trzymano.

Przyszedł dzień wigilijny. Od rana siedziałem pogrążony w niewesołych myślach przed fanzą i przypatrywałem się akrobatycznym ewolucjom ogromnego szarego niedźwiedzia, którego przyprowadził atletycznej budowy Chińczyk. Towarzyszył mu młody chłopiec popisujący się gimnastyką.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem na zręczne ruchy smukłego obnażonego ciała (Chińczyk dla lekkości



Pagoda w Pa-dia-dzy.

zrzucił kaftan) i podziwiałem hart jego. Przecież to był koniec grudnia, a chociaż słońce przygrzewało, ja jednak nie mogłem obejść się bez krótkiego futerka.

W tej chwili zbliżył się ku mnie nasz przedsiębiorca Chińczyk i łamanym rosyjskim językiem z uprzejmym uśmiechem wybełkotał: »Citajs gowoli, Port-Artura lo-majta«.

Trudno mi było odrazu zrozumieć, o co chodzi, ale, kiedy powtórzył swe słowa, dodając jeszcze parę razy »jipen, jipen!«, domyśliłem się, iż ma to znaczyć, że Chińczycy mówią, iż Port-Artura został przez Japończyków zdobyty.

Poszedłem zaraz z tą nowiną do głównego lekarza. Spotkałem się z niedowierzaniem. Prawda, że w ostatnich czasach wieści z pod Portu-Artura brzmiały mniej pomyślnie, jednak »Wiestnik Mandżurskich Armii« tłumaczył to tem, że pochodzą one przeważnie z japońskiego źródła; w najgorszym razie udało się może nieprzyjacielowi zdobyć parę drugorzędnych pozycji.

Dla sprawdzenia jednakże niepomyślniej nowiny wyruszył piechotą na stację dżugonogi aptekarz i po dwóch godzinach powrócił z numerem gazety, w której stało czarno na białym, że Port-Artura kapitulował. Wiadomość o tem przetrzymano widocznie przez kilka dni, wahając się prawdopodobnie, w jaki sposób przedstawić armii ten wypadek doniosły.

Wrażenie upadku Portu-Artura na wojsko było kolosalne.

Pomimo straty materialnej odczuł boleśnie żołnierz rosyjski cios zadany dumie narodowej, a co najważniejsze,

zważył w swe siły i talent dowódców i zaczął uznawać wyższość przeciwnika.

Miałem sposobność przekonać się o tem z rozmów z naszymi żołnierzami, z których wielu odsługiwało wojskowość w Porcie-Artura.

Po jego upadku przestali oni wierzyć w to, aby można było zwalczyć wroga, który zawładnął tak silną fortecą.

Takich, co myśleli w podobny sposób, było niemało, a dla wielu także wojna straciła swój cel, bo o co mieli się bić, skoro nie było potrzeby wyzwać oblężonych towarzyszy.

Żołnierz rosyjski czuł instynktownie niesłuszność swej sprawy, a po kapitulacji Portu-Artura przestał rozumieć zupełnie, po co ma walczyć z Japończykami.

Nie wiem dlaczego wydało mi się, iż ostatnia ta klęska może się stać przyczyną pokoju. Przyszło mi do głowy, że sfery, które wplątały swoją ojczyznę w tę krwawą awanturę, zrozumieją sytuację i pogodzą się z przeciwnikiem, który znów wiedząc, że bądź co bądź, siły i zasoby Rosyi dalekimi są jeszcze od wyczerpania, zadowolni się tak niespodziewanymi dla całego świata sukcesami i nie będzie wymagającym, pomnąc, że fortuna variabilis...

Widocznie u większości uczestników wigilijnej uczy podobne myśli kręciły się po głowie, gdyż pomimo nieszczerych usiłowań niektórych biesiadników, aby wywołać nastrój żałobny, bawiono się wesoło, może pod wpływem alkoholu, którym raczono się obficie.

Kiedym, dobrze po północy, w noc gwiazdzistą

powracał do domu, odprowadziwszy kilku podpitych towarzyszy, jakiś dziwnie błogi nastrój zawładnął mną. Marzyłem, iż bliską może jest ta chwila, kiedy przycisnę do serca drogie mi istoty, które stęskniona wyobraźnia rysowała mi w tej chwili wkoło jarzącej się od świateł choinki, w ciepłym gniazdku rodzinnym, promieniącym tradycyjnymi uczuciami miłości i zgody.



Domek mój przy 87 Rozjeździe, wzniesiony przez żołnierzy.

VI.

Nadzieje moje co do prędkiego zawarcia pokoju rozwiąły się szybko.

Najbliższy numer »Wiestnika Mandżurskich Armii« przyniósł rozkaz dzienny Kuropatkina, zagrzewający wojska do boju i oznajmiający w sposób kategoryczny, że Rossya dopóty nie złoży oręża, dopóki nie padnie ostatni jej żołnierz i ostatni grosz nie wyjdzie z jej szkatuły. Z tego zwrócenia się do armii łatwem było zrozumieć, pominąwszy zwroty retoryczne, iż zdecydowano w wyższych sferach, *coûte que coûte* otrzymać chociażby chwilową przewagę nad nieprzyjacielem.

Urbi et orbi obwieszczono z Petersburga, że armia przyjęła kapitulację Portu-Artura z wyjątkowym spokojem i przygotowaną jest z równym jak dawniej za-

pałem bronić zagrożonego honoru ojczyzny. Był to fałsz, ale ile takich kłamstw popełniono już gwoli nasyceniu niezmierzonej ambicyi kierowników nawy państwowej!

Przez święta panował na pozycjach spokój zupełny: Japończycy ze względów kurtuazyi nie turbowali przeciwnika. Potem nastąpiła zwykła codzienna kanonada.

U nas, po długiej drzemce, poczęto rozwijać gorączkową działalność. Przesuwano wojska w rozmaitych kierunkach, okrywając te ruchy niezwykłą tajemniczością, obwożono ikony po pułkach i odprawiano solenne nabożeństwa. Kuropatkin ze sztabem przerzucał się z miejsca na miejsce, a ognistemi mowami zagrzewał do walki i pokrzepiał ducha. Była to chwila największej jego popularności. Oficerowie unosili się nad jego patriotyzmem, trzeźwością poglądów i wysoką kompetencyą w rzeczach wojskowych. Żołnierza brał za serce troskliwą nad nim opieką i pieczołowitością o jego wygody. Na niczem nieoparta wiara w zdolności strategiczne Kuropatkina była ogólną. W końcu grudnia rozeszła się pogłoska, iż nasz korpus ma być przyłączonym do drugiej armii, zostającej pod dowództwem Grippenberga.

Przypuszczając, iż pozostanę w Pa-dia-dzy tylko przez czas krótki, postanowiłem zwiedzić w Mukdenie i okolicach jego te osobliwości, których nie miałem dotychczas sposobności poznać.

Wypadkowo dowiedziałem się, że jest w Mukdenie szpital angielski i ciekawy byłem obejrzeć tę placówkę cywilizacji europejskiej i poznać jej kierowników. Wybrałem się tam pieszo w towarzystwie jednego z kolegów.

Nie znając adresu szpitala, udałem się do jedynej europejskiej apteki, a raczej składu towarów aptecznych, znajdującej się na głównej ulicy Mukdenu i tam od kierującego sprzedażą Chińczyka, który władał cokolwiek językiem angielskim, dowiedziałem się, iż szpital, którego szukałem znajduje się za murami, w pobliżu wschodnich bram miasta. Prosiłem o przewodnika, który się natychmiast znalazł w osobie chłopca, mówiącego słabo po rosyjsku.

Poszliśmy za nim przez labirynt brudnych i pustych uliczek. W jakimś zaułku zatrzymał się chłopiec i wskazując palcem na bramę nawpół otwartą szepnął do ucha »chun-chuza!«

Zaglądnąłem do wnętrza podwórza i ujrzałem kilka osiodłanych koni, a przy nich grupę Chińczyków zajętych ożywioną rozmową.

Chunchuzi uchodzili wszędzie za wrogów Rossyan i za japońskich stronników, czyżby odważyli się tu, pod bokiem władz rosyjskich, mieć swą placówkę? Było to jednak zupełnie możebnem; przecie co tygodnia prawie łapano szpiegów japońskich spacerujących w przebraniu na Mukdeńskiej stacyi, a przed kilku dniami schwytano dwóch japońskich dragonów w uniformach w pobliżu Pa-dia-dzy.

Przecieliśmy miasto w południowym kierunku i wyszliśmy za mury.

Droga skręcała na wschód i szła między brudnymi cuchnącemi jatkami i straganami z wieprzowem i baraniem mięsem.

Pełno tu było żołnierzy, robiących zakupy, tłók taki prawie, jak w mieście.

Zauważyłem w tłumie obdartego Chińczyka, który włókł za sobą na powrozie zdechłego psa. Towarzysz mój zapytał żartem »kusz, kusz?« (Będziesz jadł?) Chińczyk uśmiechnął się i zrobił głową gest potakujący. Chłopiec wytłumaczył nam, że Chińczycy wogóle nie jedzą psów, ani kotów, tylko w klasie biedniejszej zdarzają się amatorowie tych przysmaków.

Za jatkami znaleźliśmy się na szerokiej piaszczystej ulicy, mającej z jednej strony szereg domów, z drugiej zaś zamazaną rzeczulkę.

Z pośród domów kilka wyróżniało się swą odrębną architekturą. Były to typowe angielskie cottages z szarej cegły, o wysokich spiczastych krytych dachówką dachach i kominach na wzór europejski.

Skierowałem się ku najbliższemu nas i przeszedłem przez czysty, wybrukowany dziedziniec, pociągnąłem za rączkę kołatki u parapetowych drzwi. Otworzyła mi młoda kobieta o typowej okolonej rudo-blond włosami anglo-saksońskiej twarzy. Za nią stała dziewczynka lat pięciu z rozpuszczonymi na ramiona jasnymi lokami.

Obie ciekawie spoglądały na nasze uniformy, nie rozumiejąc widocznie celu naszej wizyty. Wytłumaczyłem o co nam chodzi i otrzymałem odpowiedź, iż tu mieszka pastor, a doktor tuż obok. Przeprosiwszy panią pastora, która nas uprzejmie zapraszała do wnętrza, za fatygę, zastukałem do następnych drzwi i zostałem wpuszczony przez Chińczyka do obszernego wyłożonego boazerią przedpokoju. Po chwili zjawił się doktor, wysoki, o delikatnych rysach i szpakowatej brodzie dżentel-

men i po zwykłych ceremoniach przywitania wprowadził nas do swego gabinetu.

Zerwawszy od kilku miesięcy z kulturą europejską, uczułem się onieśmielonym komfortem, jaki tam panował. Obszerny pokój z dużym weneckim, o dębowych ramach oknem, zwróconem na południe, zastawiony był wygodnymi, obitymi skórą meblami. Podłogę wyścielał miękki dywan. Ściany do połowy swej wysokości pokryte były boazerią dębową, a sufit miał także piękne belkowanie. Na monumentalnym kominku palił się ogień, od którego szło miłe ciepło.

Gospodarz, usadowiwszy nas wygodnie, zaczął bawić opowiadaniem o sobie i życiu swoim w Mandzuryi, w której mieszkał już od kilkunastu lat, na służbie misyi presbiteryańskiej, prowadzącej swą propagandę za pomocą szpitali i przytułków.

Co trzy lata otrzymywał doktor urlop roczny dla wypoczynku i odwiedzenia rodziny, która stale przebywała w Szkocyi.

Oprócz leczenia chorych prowadził doktor szkołę medyczną, której był jedynym profesorem.

Wszystkie wykłady wygłaszał w języku chińskim. Świadectwa, jakich udzielał swoim najbardziej utalentowanym pupilom, były w wielkim poważaniu u rządu chińskiego i otwierały posiadaczom drogę do kariery w wojsku w randze lekarskiej, ze znacznym wynagrodzeniem.

Szpital angielski, jak mi mówił doktor, cieszy się wielką popularnością wśród miejscowej ludności, która nabrała zupełnego zaufania do medycyny europejskiej.

Pracy jest wiele, gdyż, oprócz siedemdziesięciu pięciu stałych chorych, ambulans jest nader licznym. Najwięcej pacjentów pochodzi z okolic Mukden, lub samego miasta, ale były wypadki, kiedy zwracali się o pomoc lekarską przybysze z miejscowości oddalonych o kilkaset kilometrów. Do pomocy ma doktor kilku młodych Chińczyków, własnych pupilów, z których jeden, bardziej doświadczony, pełni funkcję interny.

Niechając zbyt długo zajmować gospodarza rozmową, prosiłem o pokazanie nam szpitala.

Budynek szpitalny stał o paręset kroków poza siedzibą misji i aby się do niego dostać, trzeba było wyjść na ulicę. Po drodze wskazał nam doktor ruiny pawilonu dla kobiet, spalonego przez bokserów w r. 1902. »W tym kraju«, dodał, »żyjemy i pracujemy, jak na wulkanie; najbłahszy powód może wzniecić wybuch nienawiści ku cudzoziemcom«.

Szpital zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie: sale czyste, jasne i wysokie, bo sufitów, na wzór chiński, niema, a sklepienie dachu służy za powagę. Na ścianach wiszą kolorowane obrazki, przedstawiające sceny biblijne. Chorzy leżą na kanach, za pokarm płacą. Częstokroć jedzenie przynosi rodzina, lub miłosierni Chińczycy.

Z przyjemnością patrzyłem, jak przy wejściu doktora, pacjenci wstawali i witali go uśmiechem i pozdrowieniem, a on nawzajem poufale klepał ich po ramieniu i pokrzepiał dobrem słowem. Mówił mi przytem, że Chińczycy są nadzwyczaj ciepłymi i wdzięcznymi pacjentami.

Chociaż leczenie w szpitalu jest bezpłatnem, każdy

jednak prawie Chińczyk, z bardzo nielicznymi wyjątkami, składa dobrowolnie przy opuszczaniu szpitala jakąkolwiek ofiarę.

Cytował mi doktor kilka wzruszających przykładów takiej ofiarności biedaków, którzy ledwie sami utrzymać się byli w stanie z owoców swej pracy.

Przy rozstaniu się otrzymałem sprawozdanie z czynności szpitala za ostatnie lata, drukowane w Szanchaju, za które, jak również za gościnne przyjęcie serdecznie podziękowałem, obiecując raz jeszcze, jeżeli czas na to pozwoli, zaglądnąć do tego cichego, pełnego poświęcenia zakątka.

Dziwić się trzeba rozumowi i praktyczności Anglików, którzy z tak niewielkim stosunkowo nakładem prowadzą rzecz, która nieobliczone korzyści przynosi dla ich sprawy narodowej.

Taka oderwana od świata placówka, utrzymywana przez prywatną instytucję, więcej przyczynia się do rozpowszechnienia sławy i powagi imienia angielskiego, niżli liczne hufce zbrojnych cywilizatorów wysyłane na daleki Wschód przez rządy mniej kulturalnych narodów.

Oddawna ułożyłem sobie wycieczkę do znanych grobowców cesarzy chińskich, które się znajdują w pobliżu Mukden.

Wybrałem się ku tym zabytkom prastarej sztuki chińskiej w dzień Nowego roku, konno, w licznej gronie towarzyszków.

Droga ku grobowcom szła najpierw na północ, wzdłuż linii kolejowej, a potem przecinała ją i gięła w gęstym iglastym lesie, który cudownie wyglą-

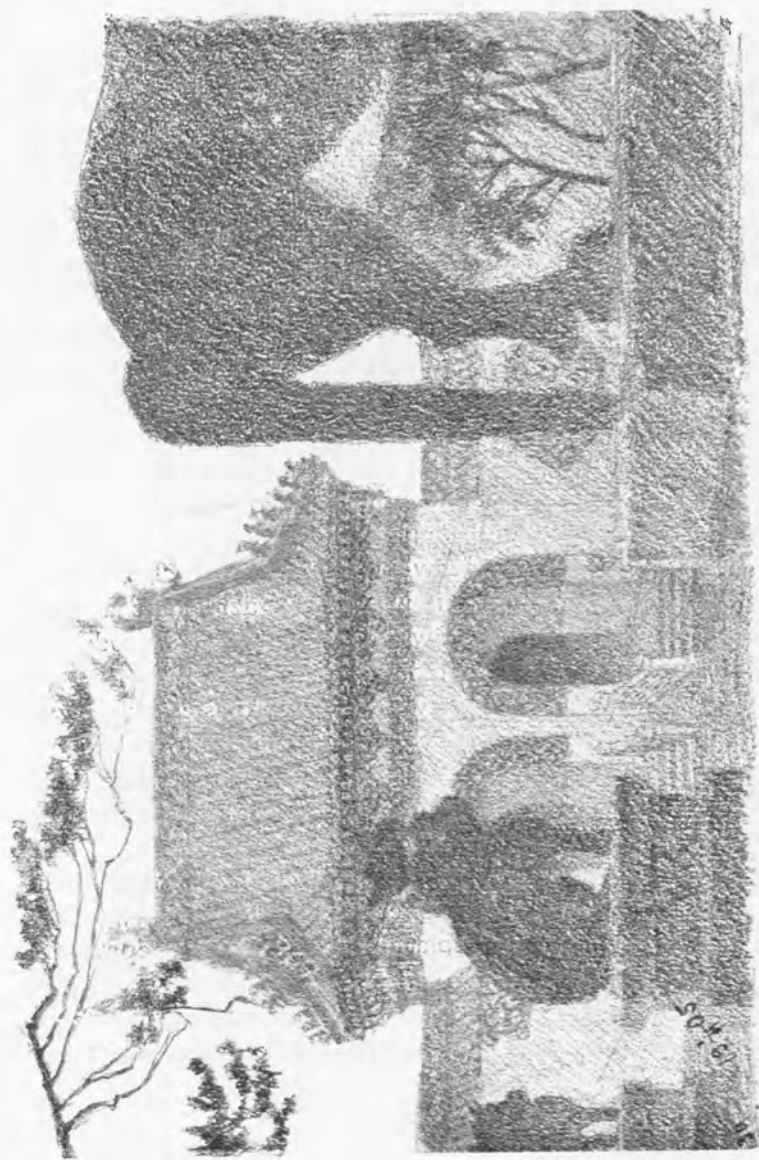
dał ubielony obfitym, skrzącym się tęczowymi blaskami szronem.

Jadąc ciągle w jednym kierunku na zachód, dotarliśmy do wysokiego niegdyś, o ile można było sądzić z resztek otynkowania, czerwonego muru, za którym szumiał odwieczny park, złożony z pinii, świerków i modrzewi i wyglądały wieżyce i dachy świątyń. Trzymając się muru, dojechaliśmy do pięknych wrót, mających po obu stronach kolosalne figury smoków w wypukłorzeźbie z przesłicznej kolorowej majoliki. Tu, na wezwanie poważnego stróża w cesarskiej żółtej liberyi zsiadliśmy z koni, aby wejść do wnętrza zagrody.

Aleja, na którą wstąpiliśmy, prowadziła do głównej, wyłożonej ogromnemi płytami drogi, mającej z obu stron szereg marmurowych posągów rozmaitych zwierząt nadnaturalnej wielkości, odznaczających się bardzo trafną charakterystyką.

Wyróżniały się doskonałym pojęciem kształtów posągi koni i wielbłądów. Figury lwów miały wszystkie cechy szablonowego wykonania, wedle znanego chińskiego wzoru.

Na jednym końcu tej szerokiej drogi stały piękne, ozdobione majoliką główne wrota, zamknięte dla zwykłych śmiertelników, na drugim zaś wznosiła się przesłiczna bardzo wysoka wieża, ze wspaniałą nabijaną brązowymi gwoździemi bramą u podnóża. Od wieży w obie strony biegł wysoki zębaty mur, opasujący w kwadrat obszerne zabrukowane podwórze, na którym stały na marmurowych fundamentach trzy śliczne pagody: jedna w głębi, a dwie po bokach.



Wejście do grobów cesarzy mandżurskiej dynasty w Mukdenie.

Wszystkie pagody pokryte były emaliowaną dachówką złocisto-czerwonawej barwy, szczyty wiązań były złoczone, a na rogach miały także figury fantastycznie powykręcanych smoków uwiązanych na złotych łańcuchach.

Za pagodą stojącą w głębi podwórza, wznosiła się otoczona murem wysoka mogiła. — To był grobowiec cesarzów mandżurskiej dynastii.

Ogromne wrażenie w swej prostocie, w porównaniu z przepychem sąsiednich świątyń, wywierał ten wzgórek porośnięty żółtą suchą trawą i badylami.

Nie mogli wszechpotężni władcy Chin wznieść sobie majestatyczniejszego pomnika nad ten kopiec ziemi, mówiący tyle o ginącej w pomroce wieków koczowniczej przeszłości mongolskiej rasy.

Natarczywi cicerone w postaci zuchwałych malców, kręcących się tutaj, jak i wszędzie, gdzie można wyłudzić kilka groszy od naiwnych cudzoziemców, odwrócili moją uwagę w inną stronę.

Całe moje towarzystwo kierowało się ku wieży, aby z jej wierzchołka nasycić się rozległym widokiem. Musiałem podążyć za niem, chociaż korciło mnie bardzo zajrzeć do wnętrza pagód, które miały przechowywać wiele cennych zabytków sztuki.

Po mocno zrujnowanych schodach przybudowanych do muru wspiałem się na pierwsze piętro wieży, a potem po drewnianej, skrzypiącej drabinie na następne, aż do ostatniego.

Widok z góry był wistocie bardzo ciekawym z tego względu, iż otwierał piękną panoramę na cały park

i rozsiane po nim budynki. Całość przedstawiała się nader imponująco a pod względem rysunku i gustownego rozplanowania przypominała niektóre rezydencje monarchów europejskich.

Dalsza okolica tonęła w sianej mgle.

Kiedyśmy zeszli na dół, zaproponowałem zwiedzenie pagód, lecz mój projekt spełzł na niczym, bo jak nam wyjaśnił przewodnik, klucze od świątyń, dla bezpieczeństwa, przechowują się u komisarza rosyjskiego w Mukdenie.

Korzystając z wolnej chwili, usiadłem na kamieniu i zacząłem szkicować pospiesznie pejzaż, jaki mnie otaczał. Niełatwa to była robota, gdyż palce kostniały nadzwyczaj szybko na mrozie i ogrzewać je musiałem co chwila w ciepłych rękawiczkach.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy syci wrażeń, głodni i zmarznięci skierowaliśmy się ku wyjściu.

Po drodze zwabiły nas do stojącej na uboczu, w cieniu ogromnych drzew niewielkiej pagody dźwięki walca z »Gejszy«. Zajrzawszy do wnętrza, spostrzeżliśmy dwóch starych bonzów, siedzących na kanie przy pięknym brązowym naczyniu napełnionem tlejącymi węglami i wygrywających na instrumentach podobnych do cytry melodye ze znanej operetki Sidney-Jones'a.

Nazajutrz, po wycieczce do cesarskich grobowców mieliśmy dzień feralny. Nad ranem zbiegł z podwórza w niepojęty sposób koń z zaprzęgu głównego lekarza. Wszczął się zaraz rwetes nie do opisania, rozesłano pieszych i konnych posłańców na wszystkie strony, ale napróżno: nikt konia nie widział i nie mógł o nim dać

żadnych wskazówek. Posypały się kary na domniemanych winowajców straty, ale nie zmieniło to sytuacji: trzeba było przygotować się do kupna innego rumaka. Pan naczelnik kłął na czem świat stoi i wygrażał, że odda pod sąd połowy połowę personalu szpitalowego, a skończył na tem, że napisał o przykrym wypadku raport do sztabu z prośbą o wydanie mu wsparcia.

Ledwie uporaliśmy się z tą awanturą, dano znać, że we wsi pożar.

Wybiegliśmy coperędzej za wrota i ujrzeliśmy płonąca o kilka domów od nas ogromną stertę gaolanu. Żołnierze nasi rzucili się energicznie do ratunku, a po kwadransie zjawiała się pieszo chińska straż ogniowa z naczelnikiem w kapeluszu o błękitnej kulce i czerwonym piórze na głowie. Strażacy, w czerwonych kaftanach, z hakami w ręku ciągnęli za sobą sikawkę odwiecznej konstrukcji, z powiewającą nad nią żółtą chorągwią ozdobioną wizerunkiem smoka.

Instrument ten popsuł się odrazu i mandaryn z błękitną gałką naprawiał go za pomocą szpagatu do końca pożaru.

Tymczasem uformował się do najbliższej studni długi łańcuch ochotników, trzymających w ręku chorągiewki białe z czerwonymi brzegami. Były to widocznie sygnały alarmujące, bo przychodnie, spostrzegłszy je, stawali zaraz do szeregu.

Pracowano sumiennie, podając sobie szybko wiadra z wodą i hałasując przytem okrutnie dla dodania ochoty. Pożar udało się zlokalizować głównie dzięki umiejętnej akcji naszych żołnierzy, którzy wdrapawszy się na da-

chy polewali je bez ustanku wodą. Pod koniec pożaru przybył w eleganckiej fudutunce zaprzęzonej w pięknego rosłego muła wyższy urzędnik z Mukdenu w towarzystwie swego sekretarza.

Pompatyczna niska figura o krągłej z zadartym nosem i rzadką kozią bródką twarzy, w kapeluszu ze złotą gałką i bogatem, pokrytem jedwabną materyą futrze, przypatrywała się w sztywnej postawie i głębokim milczeniu ożywionej scenie. Sekretarz, w długim czarnym kaftanie z ołowianym kałamarzem u pasa i piórem za uchem, co chwila nachylał się do ucha dostojnika i coś mu szeptał.

Przekonawszy się widocznie, iż niebezpieczeństwo minęło, wynieśli się obaj, jak przyszli, nikogo nie krępując.

Po pożarze poszedłem dla rozrywki na stacyę. Na peronie zwrócił moją uwagę malec w żołnierskim uniformie z dwoma krzyżami orderu Św. Jerzego na piersi, przechadzający się z wyzywającą miną i zuchwale odpowiadający na pytania, jakie mu zadawali zaciekawieni zjawieniem się tak młodego bohatera starsi żołnierze. Chłopak ten zachowaniem się swoim robił niemiłe wrażenie na otaczającej go publiczności.

»To ten co był na pogrzebie Kuroki!« śmiano się z niego.

W istocie malec ten, który niewiadomo dla jakich powodów, prawdopodobnie dla wywołania emulacji wśród starszych i dostarczenia sensacyjnego materiału do patryotycznych gazet, rozpływający się nad zapałem wojennym ludu rossyjskiego, czego dowodem miało być

poświęcanie się nawet dzieci dla honoru i dobra ojczyzny, używany bywał do rekonesansów i plótł potem banialuki o swych przygodach korespondentom, którzy je skwapliwie opisywali w swych relacjach. Starsi żołnierze z oburzeniem patrzyli na łatwo zdobyte dekoracje, kołyszające się na piersi smarkacza, dla którego stanowiły one zabawkę.

Nagadawszy się do syta z kolegami i wygrzawszy się na słońcu, wstąpiłem do golibrody, – Włocha z Tien-tsinu, który szalone interesa robił w swej budzie drewnianej, operując, wraz z pomocnikami, klientów swoich od świtu do późnej nocy i sprzedając po wysokiej cenie kosmetyki i cygara. Spotkałem tam znanego mi oficera, który zaprosił mnie na śniadanie do pociągu.

Pociąg ów złożony ze zbytkownych wagonów wschodnio-chińskiej kolei, stał tuż obok stacy i stanowił rodzaj hotelu, w którym gościli oficerowie wyższej rangi i attaché wojskowi rozmaitych państw.

Przy pociągu był wagon restauracyjny, którego kuchnia uchodziła za wykwintną i miała licznych zwolenników w gronie tej części złotej młodzieży, która będąc skazaną na przebywanie w armii czynnej, pozbawiona była rozkoszy Charbinu.

Weszliśmy do wagonu przed śniadaniem i z trudnością znalazłszy miejsce przy stoliku, oddaliśmy się obserwacyom. Gości wpuszczano tylko do tej części wagonu, w której przebywaliśmy, druga część odgrodzona oszkloną przegródką i służąca zwykle za przedział dla palących, była pustą.

Otaczała nas przeważnie młodzież, ale nie brakło

też poważnych a nawet zgrzybiałych generałów. Przy jednym ze stolików wskazano mi rozpartego wygodnie opastego pułkownika Madrytowa, niefortunnego organizatora band chunchuzkich, które miały pod jego kierownictwem prowadzić geryllasówkę na rzecz Rossyan w górach Korejskich. W tej chwili był w niełasce u Kuropatkina, ale widocznie nic sobie z tego nie robił, bo śmiał się wesoło do towarzyszy, szczerząc wilcze zęby i klepiąc po pękatym leżącym na stole pugilaresie, z którego wyglądały brzegi sturublówek.

Z chwilą, kiedy zaczęto obnosić śniadanie, zjawili się w pustej dotąd drugiej połowie wagonu agenci wojskowi cudzoziemscy w towarzystwie kilku rosyjskich oficerów. Przypatrywaliśmy się im, a oni nam przez szyby, bo porozumiewać się z sobą w inny sposób wskutek surowego zakazu władzy wyższej nie mogliśmy.

Między agentami wyróżniali się swą postawą Szwed i Włoch. Pierwszy słusznego wzrostu, niemłody, o pięknej inteligentnej twarzy mężczyzna, drugi atletycznej budowy marynarz z piękną kruczą brodą. Niemiec z zuchwałą miną i nastroszonymi wąsiskami paradował w pelerynie podbitej lamparcią skórą.

Śniadanie było haniebne i kosztowało słońco, sprawiło mi jednak wielką przyjemność tem, iż siedziałem przy stole nakrytym białym obrusem, miałem czystą serwetę do otarcia ust i jadłem na przyzwoitym fajansie, a nie jak codziennie na popękanych, metalowych, emaliowanych talerzach. Anim przypuszczał wychodząc z wagonu, iż minie więcej niż rok, zanim zasiądę do podobnego stołu.



Okolice Kandiafu przy księżycu w noc zimową.

VII.

W dzień Trzech Króli otrzymaliśmy rozkaz do wymarszu na prawe skrzydło armii. Mieliśmy nazajutrz opuścić Pa-dia-dzy i oddawszy szpital pod nadzór arguńskich Kozaków, udać się do wsi Sin-kai-che na lewym brzegu rzeki Chuń-che, w odległości 35 kilometrów od Mukdena.

Przy rozkazie był plan drogi z nader charakterystyczną uwagą: sztab za ścisłość karty nie ręczy.

Tak więc najważniejszy organ armii sam sobie wystawiał świadectwo nieudolności. Trudno było spodziewać się po takim otwartym przyznaniu się do nieznamośności topografii kraju, że ruchy poszczególnych oddziałów będą kierowane w odpowiedni sposób.

Z przykrością opuszczałem Pa-dia-dzy, do której przywykłem, żal mi było szpitala, który z takim mozo-

łem napróżno urządaliśmy, a najbardziej stacyi kolei, która dla nas wszystkich była rodzajem nerwu życiowego łączącego nas z całym światem.

Przez cały dzień Trzech Króli pakowaliśmy się i po niespokojnej, źle przespanej nocy, przed wschodem słońca ruszyliśmy w drogę w kierunku Chuń-che, przez którą mieliśmy przepawić się, aby potem trzymając się lewego jej brzegu, dotrzeć do wskazanego nam punktu.

Wyjazd był wspaniały. Mróz niezbyt silny, może jakich 10 stopni, powietrze czyste, spokojne. Lekka mgła, przez którą przeświecał czerwony krąg wschodzącego słońca, zarzuciła błękitną zasłonę na dalekie przedmioty. Piaszczyste wybrzeża Chuń-che pomarańczowo-czerwoną barwą odcinały się od horyzontu.

Żwawo ruszyła nasza karawana z miejsca; ludzie i konie po długim wypoczynku rzeźkim krokiem spieszyli ku nieznannej stronie. Wierzchowiec mój rwał się naprzód i wkrótce znalazłem się sam jeden bez towarzyszy, którzy nienawykli do konnej jazdy, jeden po drugim zsiadali ze swych szkap i mieścili się na wozach lub w furgonie z siostrami.

Z rozkoszą oddałem się myślom o czekających mnie przygodach i nowych wrażeniach i pod wpływem fizycznej rzeźkości, zapomniałem o niebezpieczeństwach, które mogły mnie spotkać. Minęliśmy tonącą w mgłę wdzięczną pagodę, która dostarczyła mi tyle wrażeń estetycznych i zjechaliśmy ku rzece.

Nikt nie zagradzał nam drogi, przepawiliśmy się więc szybko przez niski most pontonowy na drugą stronę i wjechaliśmy w okolice zupełnie płaską, lecz

bardzo silnie ufortyfikowaną. W rozmaitych kierunkach szły rowy i galerye wystające ledwie na kilka cali nad powierzchnią pola, przykryte daszkami z grubych bali, przesypanych dla niepoznaki ziemią, z otworami zwróconymi w stronę nieprzyjaciela.

Na wysokich, rzadko rozsianych drzewach, stali na pomostach umocowanych wśród gałęzi wartownicy

Po wsiach pełno było wojska. Przygotowywano się widocznie do spotkania jakiegoś naczelnika, gdyż na polach, w pobliżu drogi wyciągały się długie szare szeregi ubranych odświętnie żołnierzy, a oficerowie piesi i konni uwijali się między nimi ustawiając je i mustrując.

Południe już było, kiedy wdrapawszy się na wysoki nasyp, przecięliśmy szlak kolejowy i zaczęliśmy zjeżdżać ku niedalekiej wiosce, w pobliżu której mieliśmy zatrzymać się na śniadanie i wypoczynek.

Trafiliśmy tymczasem na przegląd znacznego oddziału piechoty, który się pięknie uszykował na polu przed wsią, tuż obok drogi. Przed oddziałem na cieńkonożym anglo-arabie harcował krępy generał o sympatycznej, okolonej siwiejącym zarostem twarzy. Za nim łopotał wydymany lekkim wietrzykiem biały sztandar i podążał na pięknych rumakach liczny sztab.

Kiedyśmy się zrównali z wojskiem, Kuropatkin, gdyż on to był, ukończył właśnie przegląd i żegnany rozgłośnieniem hurra skręcił ku nam.

Zatrzymaliśmy się, aby go przywitać i wtedy miałem sposobność przypatrzeć mu się z bliska. Robił wrażenie człowieka w sile wieku, pełnego energii; regularne

rysy twarzy zdradzały upór i ambycję. Zapytał się najbardziej zbliżonego ku niemu pomocnika gospodarza szpitala dokąd idziemy i pocwałował w kierunku kolei.

O trzeciej po południu zbliżyliśmy się do wsi Ma-dia-pu położonej nad brzegiem Chuń-che, widocznie spławnej w tym miejscu, gdyż nad wierzchołkami drzew i dachów wystrzeliwały w górę cienkie maszty dżonek zimujących w przystani.

Znaczna część bogatej wsi zajęta była pod etap dla przechodzących na zachód wojsk.

Zaraz przy wjeździe spotkał nas pomocnik komendanta, niemłody sztabs-kapitan w białej barankowej czapce na głowie, ze śmiejącym się obliczem, ozdobionem wyszwarcowanymi, wykręconymi do góry wąsikami i szeroko rozczesaną brodą.

Przywitał nas, jak gdybyśmy się znali od wieków i zbliżywszy się w susach i podrygach do sióstr miłosierdzia, zaczął odrazu z niemi uprzejmą rozmowę.

Bardzo tem ujął niewiasty, które zaczęły przekomarzać się z nim i chichotać, zapomniawszy o zmęczeniu i głodzie.

Zniecierpliwiło to pana naczelnika, który w sposób dość szorstki, podniesionym głosem zaczął domagać się, aby mu wskazano miejsce na wypoczynek i nocleg.

Usłyszawszy ten głos, odskoczył żwawo od sióstr pan kapitan i ze słodkim uśmiechem zaproponował nam, abyśmy się za nim udali do niedalekiej fanzy, gdzie wszystko już przygotowane na nasze przyjęcie.

Po drodze opowiadał nam, że pochodzi z Rygi, że jest właścicielem kilku kamienic w tem mieście, a wstąpił

do wojska z zamiłowania do wojaczki. Dlaczego jednak, lubując się w tem rzemiośle, wolał siedzieć wygodnie i bezpiecznie w etapie niż w szeregach walczących, tego nam nie tłumaczył.

Fanza, w której mieliśmy nocować, przedstawiała się sympatycznie. Czyściutko wymieciona i wyklejona białym w błękitne kwiatki papierem, z dużym hermetycznym piecem pośrodku i długim szeregiem wypchanych słomą sienników na kanach, miała pozór porządnie utrzymanych koszarów.

W sieniach, w dwóch dużych kotłach była gorąca woda do umycia się, a na podwórzu dymił srodze ogromny chiński samowar¹⁾, przy którym kręcił się w obdarty mundurze kudłaty, siwiejący już sługus, z typową wielkorosyjską twarzą. Kapitan, krzyknąwszy na niego, aby się starał dogodzić nam we wszystkim, pożegnał nas, obiecując swą wizytę wieczorem.

Tak byłem zmęczony tą pierwszą moją kilkogodzinną konną jazdą, że zsunąwszy się z siodła wyciągnąłem się na pierwszym lepszym sienniku i nie czekając na posiłek zasnąłem mocnym snem.

Kiedym się obudził, było zupełnie ciemno, a całe nasze towarzystwo, do którego przyłączyło się paru nowych gości, siedziało przy stole i gwarząc raczyło się gorącą herbatą. Zwlekłem się do nich z kany i przyjąłem udział w posiłku i rozmowie.

Młody podpułkownik, jadący z krańcowych pozycji prawego skrzydła do Mukdenu, opowiadał, że

¹⁾ Samowary chińskie są prototypem rosyjskich i różnią się od nich niewiele.

w głównym sztabie zdecydowano ostatecznie wziąć w ręce inicjatywę i na początek zawładnąć silnie ufortyfikowaną przez Japończyków wsią San-de-pu, aby potem, odrzuciwszy nieprzyjaciela ku południowi zejść mu w bok, zmusić do opuszczenia Laojanu i cofnięcia całej armii, lub przyjęcia generalnej bitwy w niepomysłnych dla niego warunkach.

O San-de-pu mówił, że chociaż jest to miejscowość nadzwyczaj silnie obwarowana, jednak uda się nam bezwątpienia wyrzucić z niej Japończyków, gdyż mamy doskonałe plany tego fortu, zdjęte przez szpiegów, którym udało się podkraść na bliską odległość szanów, a ścisłość tych planów została sprawdzoną z balonu. Egzystuje nawet fotografia San-de-pu i okolic zrobiona *à vol d'oiseau*. Ilość wojsk japońskich w tej miejscowości ma być nie wyższą nad 15.000, my zaś mamy tam prawie trzy korpusy.

Interesujące opowiadanie podpułkownika pociągnęło za sobą dłuższą dyskusję, przerwana przez przybycie wesołego kapitana, który znów zaczął ciąć koperczaki do sióstr. Nie znajdując żadnej przyjemności w słuchaniu płaskich konceptów, wyszedłem na podwórze, aby po dusznej i przedymionej atmosferze zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Noc była dziwnie piękna: gwiazdzista, cicha i ciepła jak w kwietniu. Brakowało tylko pienia słowików do zupełnej iluzji.

Nad horyzontem błyskały od czasu do czasu, niby żarnice, białe ognie i odzywał się głuchy grzmot armatnich strzałów.

Nazajutrz ze świtem byliśmy na nogach.

Wyszedłem do sieni, aby się umyć i zawiązałem rozmowę z zamorusanym posługaczem. Dowiedziałem się, iż pochodził z okolic Penzy, był rolnikiem i posiadał liczną rodzinę. Nietatwe widocznie miał życie, bo wyglądał na starca; z trudnością można było uwierzyć, iż miał tylko czterdzieści parę lat.

Oderwano go od pług i brony, odziano w mundur, zawieszono pod Laojan i kazano wprost z wagonu ruszać w pole i bić się. Dlaczego się bił z Japończykami, nie umiał powiedzieć, ale wielką miał do nich pretensję że walczą z ukrycia.

— Co to za wojna — mówił — nikogo nie widać, a żołnierze padają, jak muchy. Byłem pod Laojanem, byłem pod Sza-che, a ani jednego Japończyka nie widziałem. Pułk nasz tymczasem stracił połowę żołnierzy i wszystkich prawie oficerów. Cudem ocalałem, teraz jestem chory — nogi mi puchną. Odesłano mnie na służbę do etapu, — czekam, aż mnie wyślą do domu.

Żal mi się zrobiło biedaka, tak marnie wyglądał, takim nieszczęśliwym i przygnębionym wydawał się.

»A pan zapisał swe nazwisko w książce?« zapytał. »W jakiej książce?« »A tu każdy gość musi zapisać swe nazwisko, bo, widzi pan, komendant za każdego przybysza otrzymuje po rublu dziennie na wydatki, niby«. Zrozumiałem teraz, dlaczego wojowniczy kapitan wołał się dzieć na etapie, niż na pozycjach.

Zostawiłem w grubej księdze swój podpis obok tysięcy innych i, pożegnawszy napiwkami stojącego pokornie u progu z obnażoną głową posługacza, wskoczyłem

na koń i podążyłem za wyciągającym się wzdłuż ulicy naszym obozem. Przez wieś szły właśnie szeregi arb obładowanych ciężko zapasami żywności dla wojsk, stojących w okolicy. Ruszyliśmy za nimi.

Droga kręciła się wśród pól pysznie uprawnych i gaików nietkniętych dotąd siekierą i gdyby nie wyżłobiony głęboko w gliniastej glebie, jak łóżysko potoku, pełen jam i wyboi gościniec, mogłem myśleć, iż znajduję się gdzieś na Śląsku, lub w Belgii, tak wysoką była kultura ziemi w tych okolicach.

Przed południem zbliżyliśmy się ku dużej wsi Su-chu-dia-pu, zabudowanej pięknymi murowanymi domami, otoczonymi wysokimi drzewami. — Za Su-chu-dia-pu spotkaliśmy relsy szerokotorowej połowej kolei żelaznej, którą właśnie układano na podkładach wyrąbanych z pobliskich lasów, na zmarzłej ziemi, bez żadnej niwelacji.

Przed wieczorem dotarliśmy do Sin-kai-che. Spodziewaliśmy się znaleźć przygotowane dla nas schronisko, aleśmy się grubo zawiedli. Komendant zupełnie nie był uprzedzony o naszym przybyciu i w niemałym znalazł się kłopotcie, kiedyśmy mu pokazali rozkaz ze sztabu, wyznaczający na miejsce pobytu wieś, w której on gospodarzył.

Aby się nas pozbyć, poradził szukać nam samym tymczasowej siedziby, obiecując, że nazajutrz część wojsk ustąpi i będziemy mogli rozlokować się wygodnie. Poszliśmy za tą radą i przez godzinę tłukliśmy się po rozmaitych zaułkach bez żadnego rezultatu, — wszędzie było pełno, jak w ulu.

Tymczasem pogoda zmieniła się, zaczął dąć silny

wiatr południowo-wschodni, niosący obłoki kurzu, który zasypywał nam oczy, wciskał się do nosa i uszu, przedostawał się za kołnierz i w rękawy ubrania. — Pozycja nasza stawała się nader przykrą. Na szczęście zlitował się nad nami lekarz dywizyjny, kwaterujący ze swym lazaretem we wsi i kazał ustąpić nam na nocleg jedną z fanz przygotowanych dla chorych.

Nazajutrz, po wiosennej pogodzie, nastąpiła zima. W nocy wiatr zmienił kierunek i zaczął dąć z północy, spadł niezbyt obfity śnieżek i temperatura zniżyła się do 20° niżej zera. Jednocześnie otrzymaliśmy rozkaz urzędzenia w trzy dni szpitala. Dano nam po artylerii, która ustąpiła w nocy, kilka nawpół rozwalonych fanz bez drzwi i okien, gdyż wywieźli je poprzedni mieszkańcy, i z tych ruin zasypanych gruzem i śmieciem mieliśmy, w tak krótki przeciąg czasu, stworzyć szpital.

Uporaliśmy się z tem zadaniem, pracując od świtu do zmroku, przy tęgim mrozie i wietrze. Aby być w stanie przyjąć tę ilość rannych, jakiej od nas wymagano, musieliśmy rozpiąć trzy wielkie namioty, co było dla nas najtrudniejszą rzeczą, gdyż nie było sposobu wbić drewnianych kołków w zamarzłą ziemię i trzeba było wprzód przygotowywać żelaznym łomem otwory na nie, a wiatr co chwila przerywał pracę i obalał parę razy już ustawione namioty. Aby je ogrzać, wymurowaliśmy z cegły piece pośrodku, nigdy jednak nie mogliśmy podnieść temperatury wyżej nad 5—6 stopni nad zero, a w nocy mieliśmy zwykle do 2—3° niżej zera. Dla siebie uporządkiliśmy maleńką fanzę tuż nad drogą, przy wjeździe do wsi, w pobliżu kolosalnego rozłożystego wiązu, w którego

spróchniałem wewnątrz stała śliczna kapliczka z niszą na ofiary bogom.

Z naszej siedziby obserwowaliśmy cały ruch na trakcie Mukdeńskim, który przechodził tuż obok naszych wrót.

Całe życie drugiej armii koncentrowało się na tym trakcie. Tą drogą ciągnęły wszystkie wojska i cały prowiant dla nich, tędy przejeżdżali naczelnicy, szła poczta, wieziono rannych, prowadzono rzadkiego niewolnika. W Sin-kai-che znaleźliśmy się odrazu w innych warunkach życia, niż w spokojnej Pa-dia-dzy; weszliśmy w bliską styczność z życiem wojennem i jego najważniejszymi organami. O trzy kilometry od nas we wsi Matu-ran był sztab naszego korpusu, we wsi Sin-tai-dzy o cztery kilometry sztab naszej dywizyi, we wsi Dawagań-pu o półtora kilometra, intendentura, poczta i telegraf, a także stacya sanitarnej kolei żelaznej. W ciągu dnia mieliśmy zawsze licznych gości, którzy po drodze wstępowali do nas aby się ogrzać, lub rozpytać o drogę, a przez nich dochodziły nas rozmaite plotki i wieści z różnych stron i sfer. Kiedyśmy się przenieśli do Sin-kai-che, wszystkich ogromnie zajmował los wyprawy Miszczenki, który miał jakoby otrzymać niesłychany sukces i swym niespodzianym, nadzwyczaj śmiałym napadem na Inkou rzucić postrach i zamieszanie w szeregi japońskie, a jednocześnie zdobyć nadzwyczaj cenne wskazówki co do ilości i rozkładu ich wojsk.

Przy ostrożnem wyświetleniu rozmaitych szczegółów tej wycieczki, wydało mi się, wbrew ogólnej opinii, że nie tylko o sukcesie Miszczenki mowy być nie mogło, ale,

że była to niezawodna porażka. Aby obejść niepostrzeżonym lewe skrzydło japońskiej armii, Miszczenko przeprowił się przez Lao-che i, wszedłszy na terytorium chińskie neutralne, niestrzeżone przez nikogo, zyskał możliwość dotarcia aż do Inkou, bez zaalarmowania nieprzyjaciela. Ale na tem skończył się jego sukces. Atak na stację kolei żelaznej w Inkou nie powiódł się. Ukryta w zagłębieniu piechota japońska wystrzeliwała pędzących na oślep męźnych dagestańców, jak wróble, a po tem nie pozostało nic innego, jak cofać się jak najspieszniej, aby nie ściągnąć ku sobie znaczniejszych sił nieprzyjacielskich i nie być osaczonym.

Przez parę dni przypuszczano w sztabie głównym, iż ten przykry wypadek już nastąpił i posłano na odsiecz 14-tą dywizję, która spotkała znacznie przerzedzony i wycieńczony oddział Miszczenki niedaleko już forpocztów rosyjskich. Rezultatem tej, jak się później dowiedziałem, pod niebiosą wynoszonej wycieczki, była strata sześćdziesięciu kilku oficerów i kilkuset szeregow-

ców całkiem prawie napróżno, gdyż wyjaśnienie składu japońskich wojsk i ich rozlokowania nie powiodło się zupełnie. Jak przykre skutki pociągnęło za sobą niepowodzenie Miszczenki, przekonano się niebawem.



Dwukonny wózek do przewozu rannych.

VIII.

Jedenastego stycznia przed wieczorem otrzymaliśmy przez kozaka ze sztabu dywizji grubą kopertę z napisem: »poufne«. — Koperta zawierała plan rozkładu wojsk ze wskazówką, jakie mają wykonać ruchy i jakie zająć punkta w projektowanej bitwie, która miała się odbyć pojutrze, a także rozkaz dzienny dowódcy naszego korpusu, który miał atakować najważniejsze pozycje nieprzyjacielskie. W rozkazie pisanym językiem nadzwyczaj jędrnym i ostrym zwracał się generał do żołnierzy, zagrzewając ich do boju i wskazywał im na sposoby, jakich powinni używać, aby zwalczyć wroga. — Zwrócił moją uwagę jeden ustęp za który rumieniłby się powinna cała armia rosyjska, gdyby nie pewność, iż stanowił on wytwór osobisty krwiożerczej fantazyi zapalczywego generała.

Punkt ten głosił: »rannych Japończyków dobijać, albowiem zdarzały się wypadki, iż, przyszedłszy do siebie, zadawali rany naszym żołnierzom«. Tylko bezrozumna zawziętość mogła podyktować podobne słowa *).

*) Rozkaz ten, jak się potem dowiedziałem, wycofany został z rozporządzenia Kuropatkina, który był bardzo z niego niezadowolony.

12-go stycznia wczesnym rankiem rozpoczęło się bombardowanie San-de-pu z dział ciężkiego kalibru.

Dzień był okropny: dał tajfun, wznoszący pod obłoki kłęby żółto-popielatej kurzawy; o paręset kroków nie można było rozróżnić przedmiotów.

Huk dział, przechodzący chwilami w ryk potężny, przypominający wybuchy wulkanu, wstrząsał zmarzłą ziemią.

Fanzy drzały, a papier w oknach pękał od uderzenia fali powietrznej. Traktem szły nieprzerwanym łańcuchem wojska na zachód. — Był to korpus strzelców z Królestwa, których przed samą bitwą przerzucano na prawe skrzydło.

Biedni strzelcy szli już przez noc całą i teraz upadali ze znużenia. Oficerowie i żołnierze wlekli się kupami w milczeniu, bez żadnego ordynku, wysileni, wymizerowani, ze zgasłym spojrzeniem w otoczonych czerwona obwódka oczach, z twarzami, pokrytymi grubą warstwą szarego pyłu i zwieszającymi się z zalepionych szronem wąsów i bród kawałkami brudnego lodu.

Wszyscy prawie zatrzymywali się przed naszym szpitalem, i prosili o wodę, którą chciwie pili. Zaspokoiwszy pragnienie, rzucali się na zmarzłą ziemię, aby zdrzemnąć przez chwilkę, ale rzadko to się im udawało: podnoszono ich z miejsca nielitościwie, aby pchnąć w dalszą drogę.

Do późnej nocy, wśród wycia wichru i ryku dział wypływały z mroków niby widma, te smutne postaci i minawszy naszą zagrodę, ginęły w ponurych ciemnościach.

Poranek 13-go stycznia był cudowny. Tajfun zniknął, jakby usunięty czarodziejską różdżką. Jasne słońce tysiącami iskier paliło się na ubielonych szronem gałęziach drzew i krzewów. Okoliczne wioski tonęły w błękitnej mgłę.

Niezwykłym spokojem, jak to zwykle po burzach bywa, promieniła natura. Jedynym niszczycielem tego spokoju był człowiek.

Wojska rossyjskie w tem mniemaniu, że japońskie fortyfikacje zostały przez całodzienne bombardowanie w przynę obrócone, rzuciły się do ataku.

Huk armat zmienił charakter: zamiast wczorajszego ryku i grzmotu nastąpiły krótkie częste wybuchy: to japońska połowa artyleria gromiła nasze pułki. Jednocześnie szarpały powietrzem ostre salwy karabinowe i rozdzierało je przykre terkotanie kartaczownic, jak gdyby kto w pustym obszernym pokoju posypywał podłogę grochem. Wstałem z łóżka o wschodzie słońca, po okropnie przespanej nocy podniecony i zdenerwowany szalenie.

Trudno sobie wystawić, jak silnie rozdrażnia taki odgłos toczącej się w pobliżu bitwy. Każda salwa, każdy wybuch bolesnem echem rozlega się w mózgu, który napróżno stara się ująć w karby rozbujałą wyobraźnię, wywołującą nieustannie tragiczne obrazy. — Wyszedłem z fanzy i, stanawszy na wzgórkę pod wielkiem drzewem z kapliczką, patrzyłem, nie będąc w stanie odwrócić w innym kierunku ciężących mi na duszy ołowiem smutnych myśli, w siną dal, z której dochodziły mnie odgłosy zacieklej walki.

W tej chwili podjechała ku mnie od drogi zaprzę-

żona w parę mandżurskich koników taratajka i wyskoczył z niej znany mi już dawniej główny chirurg drugiej armii S.

Przywitawszy się ze mną, wziął mnie na stronę i zniżonym głosem zapytał: — A czy pan wie, jaki wypadek stał się tej nocy? —

— Nie, nie wiem, — odpowiedziałem.

— Generał Sołucew, inspektor szpitali drugiej armii zastrzelił się i zostawił kartkę, w której w dziwny sposób tłumaczy swój czyn. — Pisze, iż honor niepozwała mu żyć wtedy, kiedy oddani jego pieczy ranni muszą ginąć bez lekarskiej opieki, a tej on im, pomimo najszczerzej chęci, udzielić nie może, z powodów od niego niezależnych. Dziwak! Przecie u panów szpital gotów?

— Najzupełniej, — odparłem.

— To samo, widzi pan, ma miejsce wszędzie tu, w pobliżu placu boju, a temu waryatowi wydało się, że nie będziemy mieli dostatecznej ilości miejsc dla pomieszczenia naszych rannych i nie miał nic lepszego do roboty, jak zastrzelić się. Proszę o tym wypadku nie mówić nikomu, aby nie wywoływać niepotrzebnych komentarzy. Nie macie panowie jeszcze rannych? — Nie. — A to wkrótce będą. Do widzenia, spieszę do Su-chu-dia-pu, zdecydujemy tam, co mamy począć z tym biedakiem Sołucewem! —

Przyszło południe. Kanonada ucichła trochę, widocznie wojska posiłały się.

Zeszliśmy się na obiad w niewesołym usposobieniu, rozmowa nie szła, wszyscy byli pod wrażeniem chwili.

Zaraz po obiedzie wezwano mnie do operacyjnego pokoju. Na opatrunkowym stole leżał młody oficer artylerii z oddziału Miszczenki raniony w brzuch na wylot.

Przybył do naszego szpitala z odległości dwudziestu kilku kilometrów na noszach, umocowanych między dwoma mułami.

Kiedym go rozbierał, aby nałożyć opatrunek, z odzieży wypadła dużego kalibru kula stożkowa o miedzianej powłoce. Był to pierwszy i ostatni ranny, jakiegośmy otrzymali tego dnia.

Przed wieczorem kanonada ucichła zupełnie i niedaleko od nas w blasku zachodzącego słońca wzniósł się na uwięzi balon kulisty, który długo kołysał się w powietrzu potrącany lekkim prądem powietrza.

Z gorączkowym niepokojem oczekiwaliśmy nowin z pola bitwy, tymczasem zapomniano widocznie o nas w sztabie, gdyż nikt nie przybywał.

Dopiero po kolacyi, kiedy zirytowani i zmęczeni całym dniem niepokoju, zabieraliśmy się do snu, przyniesiono nam kartkę od lekarza dywizji z lakoniczną notatką: San-de-pu zdobyte. Główny lekarz w radosnym uniesieniu przepowiedział, iż jest to początek klęski Japończyków. Niezadługo staniemy w Laojanie, a potem u brzegu morza i popłyniemy wygodnie, syci chwały, do domów naszych. Dalsze słowa tego pięknego proroctwa przepadły dla mnie, gdyż wpadłem w głęboki sen.

Około drugiej w nocy zbudził mnie silny huk dział; nie mogłem zrozumieć, co oznacza ta kanonada. Echa wystrzałów dochodziły z innej strony, niż wczoraj i wy-

dawały się znacznie słabszymi, nie ustawały jednak, aż do rana.

O siódmej zapukał do nas urzędnik naszej kancelarii i oznajmił, iż powraca właśnie z Dawa-gań-pu z telegrafu, gdzie się dowiedział od osób zupełnie wiarogodnych, że San-de-pu nie wzięto, a w nocy Japończycy uderzyli w wielkiej masie na nasze prawe skrzydło.

Rezultat tej ostatniej walki niewiadomy.

W ciągu dnia doczekaliśmy się potwierdzenia tych wieści.

Pokazało się, iż wskutek mylnych informacji bombardowano z dział ciężkiego kalibru nie San-de-pu, ale inną pobliską wioskę, nie ufortyfikowaną zupełnie i opuszczoną przez Japończyków.

Kiedy 14-ta dywizya, poprzedzana przez oddział saperów, zaopatrzonych w nożyce do przecinania drutów kolczastych i bambusowe drabinki do wdrapywania się na okopy, zbliżyła się do domniemanej groźnej fortecy, nie spotkała tam ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ani kolczastej zagrody, ani szańców, ani nieprzyjaciela.

Zajawszy wieś bez wystrzału, uradowani dowódcy pospieszili posłać wieść o wzięciu San-de-pu do sztabu, a tymczasem Japończycy rozpoczęli z okolicznych pozycji taki piekielny ogień działowy i karabinowy skierowany na zajęta przez Rosyan miejscowość, że po kilku godzinach zmusili ich do odwrotu ze stratą dwóch tysięcy kilkuset rannych i zabitych.

Przekonano się wtedy zapóźno o niefortunnej pomyłce, którą możnaby było jeszcze do pewnego stopnia poprawić, gdyby nie zapadająca noc i swary generałów,

kłócących się między sobą o władzę i korzystających z każdej sposobności, aby bruździć jeden drugiemu. Tragiczną była ta noc, która gwiazdzistym swym płaszczem okryła obficie złane krwią rosyjską mroźne pola pod San-de-pu. Japończycy, których było znacznie więcej niżli przypuszczano, korzystając z porażki nieprzyjaciela uderzyli na całkiem nieprzygotowany do walki ów świeżo przyciągnięty korpus strzelców z Królestwa i na rozłożony jeszcze bardziej na zachód pierwszy korpus syberyjski i po kilkogodzinnej zacieklej walce odrzucili je na północ z ogromnymi stratami. Rosyjanie zostawili na polu bitwy przeszło ośm tysięcy zabitych i rannych i ustąpili nieprzyjacielowi część swych ufortyfikowanych pozycji. Tego samego dnia został raniony w kolano generał Miszczenko, który ze swą kawaleryą bronił prawego skrzydła armii. Zastąpił go generał Kossogowski małych talentów człowiek. Taki był rezultat bitwy pod San-de-pu, która trwała przez trzy doby. Inicyatywa rosyjska po raz wtóry (Sza-che) kończyła się zupełnym fiasco.

Przegrana pod San-de-pu wyprowadziła na jaw wiele ropiących wrzodów, którymi zarażone są niektóre rosyjskie sfery wojskowe. Generałowie, zdumieni wynikiem walki, która, jak się zdawało, miała wszelkie szanse powodzenia, składali winę jeden na drugiego. Zaczęły się brzydkie intrygi i komeraże. Gorszący przykład dał dowodzący armią Grippenberga, który obejmując dowództwo groził śmiercią każdemu, kto by się odważył ustąpić przed nieprzyjacielem i prosił, aby go zastrzelono w razie, jeżeli on sam w podobny sposób postąpi, a po przegranej pod San-de-pu porzucił samowolnie Mandżuryę i wyjechał

do Petersburga, nie kryjąc się wcale z ostrą krytyką Kurapatkina, któremu przypisywał całą winę swych niepowodzeń.

Postępek ten wywarł bardzo ujemny wpływ na wojsko, dyscyplina osłabła znacznie, ganiono Grippenberga, ale nie oszczędzano także i innych generałów.

Oburzenie na generalny sztab było powszechnem. Kpiono otwarcie z niedołęstwa i nieuctwa tej instytucji. Większość oficerów, upośledzonych w porównaniu ze sztabowcami pod względem praw i przywilejów służbowych, nie mogła ukryć swej nienawiści do tych wybrańców losu i korzystała z każdej sposobności, aby wytykać w sposób bardzo ostry ich błędy. Wywoływało to nieprzyjemne kolizye i niesnaski.

Żołnierz, przeważnie rezerwista, niechętny wojnie, chciwem uchem chwycił wszystkie pogłoski, jakie rozmaitemi drogami dochodziły do niego, i po swojemu je komentował, zwykle w sposób niepochlebny dla władz.

Rozpoczęła się też na przygotowanym przez wypadki wojenne gruncie agitacja polityczna przeciw rządowi podsycana przez literaturę odpowiednią, przemycaną do armii nieznanemi drogami.



Widoczek w okolicy 87 Rozjazdu z częścią szpitala.

IX.

Ranni przybywali do naszego szpitala nadzwyczaj skąpo. Nie umieliśmy wytłómaczyć tego faktu. Przed bitwą obawiano się ciągle, iż nie wystarczy miejsca, po bitwie, pomimo znacznych strat, szpitale stały prawie puste.

Rozwiązanie tej zagadki nastąpiło niebawem.

Na drugi dzień po bitwie, ku wieczorowi, pokazał się na trasie od strony Dawa-gań-pu długi szereg arb chińskich, na których złożeni kupami na słomie leżeli ranni. Byli to ranni, których zebrali na polu bitwy na prawem skrzydle naszej armii transporty Czerwonego Krzyża. Biedacy przeleżeli na mrozie, w polu, bez żadnej pomocy przez dwie doby prawie, ponieważ wskutek wadliwej dyspozycji, szpitale tam nie było.

Sprawiedliwie przewidział »dziwak« Sołucew, iż w razie bitwy nastąpi taki stan rzeczy i wołał pozbawić się życia, niż mieć na sumieniu męczarnie tylu tysięcy ludzi.

Arby skreśliły w naszą stronę i zatrzymały się na obszernem podwórzu przed fanzą, gdzie był operacyjny pokój. Rozpoczął się, wśród jęków i skarg, nieskończenie długi i przykry proces zdejmowania z wozów i składania na nosze, a potem, rozbierania i opatrywania ciężko rannych, z których wielu, pomimo przestrzelonych czerpów, płuc i wnętrzości odbyło pieszo kilkuwiorstową drogę w poszukiwaniu pomocy.

Niejednokrotnie w ciągu mej długoletniej praktyki lekarskiej w dużym mieście spotykałem nadzwyczaj ciężkie obrażenia ludzkiego organizmu i miałem przekonanie, że się zupełnie obyłem z ludzkim cierpieniem. Jednak ten ogrom męki, jaki stanął przedemną, przejął mnie uczuciem niewysłowionej grozy. Ten widok poszarpanych członków, pogruchotanych kości i podziurawionych czaszek, z których wypływał zmieszany z ziemią, zakrwawiony mózg, ścinał krew w żyłach. Pracowałem bez wytchnienia przez całą noc, usta mi wyschły, jakiś spazm nerwowy ścisnął za gardło, a w całym ciele czułem niezwykle odrętwienie. Musiałem naprzężyć wszystkie me siły, aby nie uleść wyczerpaniu i opuściłem szpital po zrobieniu ostatniego opatrunku, o wschodzie słońca.

Ściągnięto mnie z łózka po południu. Przybył na oględziny rannych główny inspektor sanitarny wszystkich armii Horbacewicz.

Musiałem przedstawić mu swych pacjentów.

Sympatyczne wrażenie zrobił na mnie ten dygnitarz. Nie przypominał swym zachowaniem się tych formalistów wojskowych, jakich nawykliśmy widzieć w lekarzach wyższej rangi. W pytaniach, jakie zadawał, znać było, że się doskonale orientuje we wszystkich szczegółach wojenno-sanitarnej organizacyi i że mu chodzi przede wszystkim o rzecz, a nie o pozory.

Nieraz później miałem przyjemność spotykać go i zawsze ze szczerem zadowoleniem słuchałem jego uwag i poglądów, odznaczających się niezwykle trafnością i bezstronnością. Niemordowanej pracy i energii tego człowieka zawdzięczała armia rosyjska swój niezwykle pomysłny stan sanitarny.

W przeciągu doby zapełnił się szpital rannymi i aby być w stanie przyjąć następnych, musieliśmy silniejszych i lżej dotkniętych odsyłać do Charbina. Nie było to trudnem, gdyż pod wsią Dawa-gań-pu w odległości jednej wiorsty od nas mieliśmy stacyę tymczasowej kolei żelaznej.

Rannych lokowano w tak zwanych »ciepłuszkach« t. j. wagonach towarowych opatrzonych żelaznym piecykiem, umieszczonym pośrodku, wkoło którego i przy bocznych ścianach wagonu stały drewniane ławki.

Nie był ten sposób przewożenia rannych wygodnym, ani ludzkim, ale specjalne sanitarne pociągi nie wiem z jakich powodów do nas nie dochodziły. Trafiali do nich ranni dopiero w Mukdenie, skąd ich wieziono do Charbina i dalej na północ.

Od pierwszego zetknięcia się z rannymi znalazłem

się w niemałym kłopotcie, co do sposobu porozumiewania się z nimi.

Obok znacznej ilości Rossyjan, Rusinów i moich rodaków, niemało było Tatarów, Kirgizów, Kałmuków, Buryatów i mieszkańców Kaukazu, którym obcy był zupełnie język rosyjski.

Była to istna wieża Babel, istne hordy Artakserksesa ściągnięte przemocą na wojnę do kraju, o którym prawdopodobnie nigdy w życiu nie słyszeli. Zdumiony byłem tem, jak słabo rozpowszechnioną była mowa rosyjska wśród obcoplemieńców, zamieszkujących wschód i południe państwa. Nie mówię o żołnierzach z Kaukazu, których ojczyzna stosunkowo niedawno przyłączoną została do Rossyi, ale Tatarzy z gubernii kazańskiej i ufimskiej, będący od wieków pod berłem rosyjskiem, nie znali zupełnie języka państwowego.

Nie potrzebowali go widocznie w życiu codziennem, znajdując we własnej kulturze wszystko, czego im było potrzeba dla ich duchowego rozwoju i życia.

Po bitwie pod San-de-pu zaczęły dochodzić do nas wieści, że żołnierze nasi przy pierwszej lepszej sposobności dezertują do nieprzyjaciela. Władze starały się ukrywać te przykre fakta, świadczące o moralnym rozkładzie wojska, ale nie łatwo to im przychodziło, tembardziej, iż odbyła się nawet egzekucya jednego z takich zdrajców, którego przyłapano wtedy, kiedy szpiegował wśród swoich na korzyść Japończyków.

Chociaż rezultat bitwy był niepomyślnym, posypały się rzęsiście dekoracye na rzeczywistych i domniemanych bohaterów.

Najprzód wyróżniono sztaby, które same sobie wystawiały świadectwa niezwykłych talentów i waleczności, potem szli oficerowie armii, znacznie mniej faworyzowani przez hojnych rozdawców krzyżów z mieczami. Na szarym końcu stali lekarze i urzędnicy wojenni.

Przy rozdawaniu nagród działały się tak krzyczące nadużycia, iż oznaka orderowa straciła w oczach lepszych oficerów swą wartość i przestała być bodźcem do zasługi.

Przez pierwszych kilka dni po bitwie byłem jak odurzony: widok rannych i opowiadania ich o różnych epizodach walki, towarzystwo oficerów, uczestników ostatniej bitwy, którzy nas odwiedzali i udzielali nam swych wrażeń, wszystko to utrzymywało mnie w jakimś stanie podniecenia.

Stopniowo jednak nastąpiła reakcyja i zupełne uspokojenie nerwów, spowodowane w znacznej mierze systematyczną codzienną pracą.

Pomimo braku odpowiednich warunków sanitarnych, rany goiły się nadzwyczaj szybko, bez żadnych komplikacyi. Nowożytny oręż był w samej rzeczy ludzkim, o ile wogóle mogła być mowa o ludzkości zabiegów, mających za cel zabicie lub okaleczenie jak największej ilości jednostek.

Opuścił po dziesięciu dniach pobytu szpital ów pierwszy nasz pacjent, artylerzysta-oficer z oddziału Miszczenki, z przestrzelonym na wylot brzuchem, zdrów zupełnie, osłabiony tylko cokolwiek przez długi post, przez jaki z konieczności przejść musiał. Wyjechał do Charbinu, a stamtąd wprost do Nizy, na słoneczny

brzeg południowej Francji, aby tam pokrzepić swe nadwątlone siły.

Z zazdrością patrzyliśmy na rozjaśnione oblicze młodego człowieka, któremu po ciężkich chwilach śmiertelnego niepokoju, znów uśmiechało się życie. On już przeszedł przez swą Golgotę, a przed nami stała jeszcze niepewna, najeżona wszelkimi niebezpieczeństwami przyszłość.

Nie zawsze tak szczęśliwym był przebieg gojenia się ran, jak w wyżej wspomnianym wypadku. Śmierć zabierała prawie wszystkich tych, którzy mieli nadwerżone ważniejsze organy przez kule szrapnelowe, lub odłamki granatów, osobliwie strasznej szimozy, która rwała ciało na strzępy.

Prawie codziennie rano siwy, brodaty pop z fioletowym od nadużycia alkoholu, grubym nosem, odprowadzał z odkrytą głową w mróz siarczysty, w asystencji fałszywie zawodzącego chóru, złożonego z kilku żołnierzy, na miejsce wiecznego spoczynku nad brzeg Chuńche, pod wysokie wiązy zwłoki biednych niewolników, którzy składali swe kości w obcej ziemi na wieczne zapomnienie.

W połowie stycznia pogoda ustaliła się zupełnie. Nastąpiły pyszne dni słoneczne bez wiatru, ale nadzwyczaj mroźne. Mielśmy codzień w nocy dwadzieścia kilka stopni niżej zera i zaczął nam strodze doskwierać chłód.

Zimno było w szpitalu u nas, a osobliwie w namio-

tach, z których musieliśmy nawet z tego powodu wynieść chorych.

Tymczasem władze zabroniły surowo rozbierania na opał opuszczonych chińskich fanz, a dostać dREW znikąd nie było sposobu. Słyszeliśmy wprawdzie, iż inżynieria nagromadza pod Mukdenem ogromne zapasy paliwa, ale jedynie w tym celu, aby go nam wydać wtedy, kiedy posuniemy się na południe, ku Laojanowi i zajmiemy ogołocony ze wszystkiego przez nieprzyjaciela kraj.

Aż dotąd kazano nam radzić sobie, jak umiemy. Posyłałiśmy więc po węgiel do Mukdenu, płacąc po 80—90 kop. za pud, ale ten nie wystarczał i marzliśmy strodze.

Żołnierze po nocach wyciągali krokwie z dachów i belki, a gdy tego uczynić nie mogli, rozkopywali mogiły chińskie i wyrzuciwszy nieboszczyków, palili trumny.

Prowiant otrzymywaliśmy w obfitości, mięsa nawet za wiele — po 1¹/₂ funta na osobę, czego przy odpowiedniej ilości chleba, nie był w stanie spożyć żołnierz w ciągu jednego dnia.

W naszej kuchni brakło urozmaicenia. Gryźliśmy codziennie żylaste mięso i zalewaliśmy tę strawę wasserzupką zasypaną krupkami. Od czasu do czasu zjawiało się na stole pieczone z bażanta, przywiezionego z Mukdenu.

W kilka dni po naszym zamieszkaniu w Sin-kai-che zjawili się w okolicy, zapewne za pozwoleniem władz, przekupnie chińscy. Zawinął i do nas chłopiec z pudłem napełnionem paczkami tytoniu, papierosów, zapalek i ka-

wałkami mydła. Zapytaliśmy go, czyby nie zechciał robić dla nas sprawunków w Mukdenie. Zgodził się na to z ochotą i najsumienniej dostarczał nam żądanych przedmiotów za cenę znacznie niższą, niż ta, za którą my sami robiliśmy zakupy. Dało to nam możliwość zaopatrzenia naszej spiżarni w różne produkty i poprawienia naszej kuchni.

Dziwnie pojętym, sympatycznym i bezinteresownym był ten chłopiec chiński. Nazywał się Matu, co miało znaczyć Izydor. Chrześcijańskie to imię dali mu na chrzcie św. misjonarze francuzcy z Szanchaju, którzy go uczyli zasad wiary katolickiej i obdarzyli szkaplerzem z medaliem patrona.

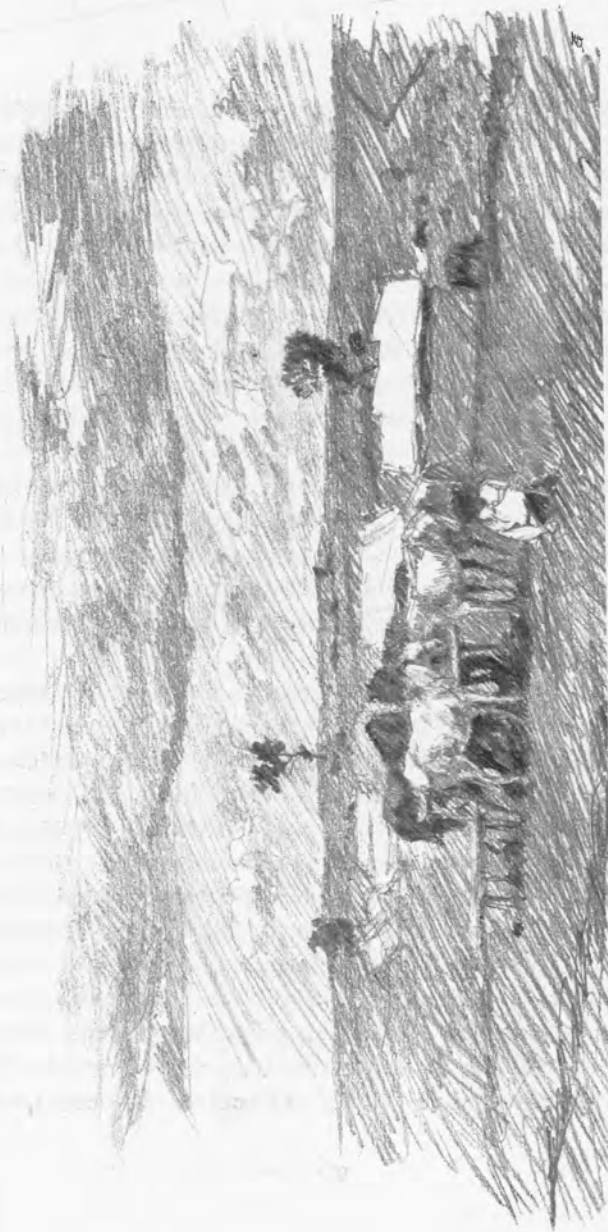
Nie rozstawał się z nim nigdy, również jak z różańcem, który nosił nawinięty na rękę i lubił opowiadać o tem, jak dobrymi byli dla niego OO. Franciszkanie, u których spędził parę lat na usługach.

Za swoją pracę dla nas nie chciał nigdy przyjąć ani grosza, przez wdzięczność za to, żeśmy go od czasu do czasu nakarmili obiadem i pozwolili jeździć za towarami do Mukdena z naszymi żołnierzami.

System zaopatrywania szpitala w ziarno dla koni i ludzi został z przybyciem naszym do Sin-kai-che zmieniony przez pana smotrytela z niemąłą dla niego korzyścią.

Zaraz po naszym tam przybyciu zauważyłem, że żołnierze pod kierunkiem feldwebła, nb. wielkiego łotra i łapownika, obchodzili chińskie podwórza z drągami i opukiwali nimi ziemię.

Zaintrygowany byłem temi tajemniczymi machina-



Szpital w okolicy Rozjazu 87.

cyami, aż dopatrzyłem, jak przy jednym z naszych namiotów odkopano obszerną jamę wypełnioną po brzegi wyborową czumizą (prosem). Czumizę przesypano w worki i przeniesiono do fanzy pana smotrytela. Poczem zakryto jamę starannie i przysypano ziemią, jak przedtem, dla niepoznaki. Takie odkrycia odbywały się przez kilka dni niemal codziennie. Niebawem wyjaśnił się cały interes, jaki miał smotrytel w zabieraniu cudzego zboża; sprzedawał on je szpitalowi po cenie normalnej, określonej przez intendaturę i tym sposobem składał piękny grosz do kieszeni.

Główny lekarz dla świętego spokoju patrzył na to przez palce. O mały włos jednak, że nie miał wielkiej przykrości z tego powodu, a to dlatego, iż pewnego poranku zjawił się we wsi Chińczyk gospodarz z oficerem artylerii, aby zabrać swoje zboże, które właśnie sprzedał temu ostatniemu.

Można sobie wystawić jego rozpacz, kiedy w swej jamie nie znalazł ani ziarna. Rzucił się ku nam z krzykiem, wskazując palcem na swój opustoszony spichlerz. Zrozumieliśmy o co chodzi i odesłaliśmy go do smotrytela wraz z rozjuszonym oficerem, który groził, iż zanieśie skargę o rabunek do głównodowodzącego.

Co tam między nimi zaszło nie wiem, dość, że się pogodzili. Przypuszczam, że smotrytel musiał się wykuścić, gdyż groziła mu duża odpowiedzialność.

Chociaż Chińczyków, stałych mieszkańców nie było zupełnie w naszych stronach, gdyż wysiedlano ich na północ, częstokroć w sposób nadzwyczaj okrutny i bezwzględny, jednak zjawiali się od czasu do czasu, aby

obejrzeć swe zrujnowane zagrody i przypatrzeć się gospodarce rosyjskiej.

Zjawiali się i znikali, nie zwracając się zwykle do nikogo, na nic się nie skarżąc, ani protestując. Podejrzewano w nich często szpiegów, ale nie wazono się aresztować bez dowodów.

Smotrytel nasz, w którym odezwała się żyłka policyjna, wykombinował, że z tych wizyt miejscowych obywateli uda mu się wyciągnąć pewną korzyść dla siebie i w myśl cyrkularza, który głosił, iż wszyscy powinni zwracać baczną uwagę na włóczących się bez wiadomego celu Chińczyków, postanowił złowić którego z nich, aby wykazać swą gorliwość i zasłużyć na nagrodę.

Kiedy w pewne słoneczne południe stałem z kolegą z lazaretu dywizji przed naszą fanzą, doszedł do mnie krzyk »Łapaj, łapaj!« Zwróciwszy głowę w stronę, z której dochodziły mnie głosy, ujrzałem wybiegającego z bocznej uliczki Chińczyka, za którym goniło kilku żołnierzy.

Osaczono wkrótce uciekiniera ze wszystkich stron, złapano i pociągnięto za kosę przed fanzę smotrytela, przed którą już stał jej gospodarz, wymachując długimi rękami i wrzeszcząc, aby mu jak najprędzej dostawiono chunchuza, który tu szpiegował. Po chwili przyprowadzono jeszcze dwu Chińczyków związanych za kosy, złapanych w innej stronie.

Podszedłem ku licznej grupie ciekawych, która się zebrała wkoło nich. Wszyscy trzej wyglądali na ludzi średnich lat, stali z obnażonymi głowami i odkrytymi szyjami na mrozie, patrząc hardo w oczy swym prześla-

dowcom. U jednego z nich ściekała krew z ranki, zadanej w okolicy nosa i kroplami spadała na szyję.

— Szpiegowali tu koło nas, nie ulega wątpliwości — krzyczał ku nam będący w stanie jakiegoś osobliwszego podniecenia smotrytel.

— Niech panowie spojrzą w tamtą stronę. — Tu wskazał palcem w kierunku szpitalowych fanz, nad którymi wznosił się cienki słupek dymu. »Podawali sygnały Japończykom, znaleziono przy nich nóż ogromny i ot co!« Wyciągnął rękę, w której trzymał zwyczajny tępy kozik i rurkę kartonową, jaka bywa używana do nabijania rac. »A czyż to nie dowód ich winy! Związać powrozami i odstawić do komendanta!« krzyknął do żołnierzy trzymających Chińczyków za kosy.

— Za pozwoleniem, — odezwał się mój kolega; ta rurka którą pan uważasz za niezbity dowód winy tych biedaków, to pozostałość po naszej racy, niech pan spojrzy: papier z gazety rossyjskiej; dawniej stali tu nasi artylerzyści, którzy nieraz sygnalizowali przy pomocy rac! Zmieszał się trochę smotrytel, ale zdecydował, iż w każdym razie niewolnicy powinni być odesłani do komendanta wsi, do jego decyzji.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się od uradowanego smotrytela, że postępek jego został bardzo pochlebnie oceniony przez komendanta, który w oficjalnym papierze składał mu podziękowanie za jego energię i roztropność i obiecywał użyć swego wpływu, aby zasługa jego nie pozostała bez nagrody.

O to tylko chodziło naszemu policyantowi, który marzył o krzyżyku.

Niestety, czyn ten heroiczny przeminął bez śladu, nie przyniósłszy autorowi jego żadnej satysfakcji. Rozpatrzono sprawę w głównym sztabie i wysłuchawszy przez tłumacza zeznań oskarżonych o szpiegostwo więźniów, uwolniono ich bez żadnej kary. Niemało drwin wysłuchał potem niefortunny sprawca całej tej awantury.



Muł zaprzężony do noszów.

X.

Miejsce zniechęconego niepowodzeniem i obrażonego na Kuropatkiną Grippenberga zajął Kaulbars. Ciężki ten Niemiec, pełen buty krzyżackiej i zaufania w swe talenta, a w gruncie gbur, fantasta i marny dowódca, nie miał miru u wojska.

Nie lubiano go za jego pyszałkowatość i błagę, obawiano się jego wybryków, które swą oryginalnością wprawiały w zdumienie podwładnych, nie wierzono w jego geniusz militarny.

»Ten nas napewno doprowadzi do klęski!« szeptano między sobą. Zaraz po objęciu przez niego dowództwa nad drugą armią, poczęto robić ogromne przygotowania do boju, który miał być odwetem za San-de-pu.

Powiększono ilość dział ciężkiego kalibru, nagromadzono ogromne zapasy amunicji i prowiantu, ułożono linię wąskotorowej kolejki aż do frontowych pozycji.

Do naszej wsi przybyły artyleryjskie parki, wkoło stacji kolei żelaznej przy Dawa-gań-pu stanęło kilka no-

wych szpitali, a między nimi zbytkownie urządzone lazarety W. ks. Hesseńskiego, znajdujące się pod protektorem J. C. M. Cesarzowej rosyjskiej. Luki w szeregach zostały wypełnione świeżymi zastępami przybyłymi z Rosyi.

Zjawił się nakoniec u nas Kuropatkin i znów objeżdżał wojska ze zwykłą paradą, mowami i nabożeństwem.

Do pustego tymczasem naszego szpitala zaczęli się zgłaszać oficerowie ze skargami na cierpienia, które przy bliższym zbadaniu okazywały się fikcyjnymi, lub o tyle nieznacznymi, iż w żadnym razie nie mogły być one przeszkodą do służby czynnej. Sumienie nie pozwalało nam na umieszczanie w szpitalu podobnych pacjentów, odmawialiśmy więc petentom i narażaliśmy się nietylko na narzekanie, ale nawet na pogróżki.

Pewnego dnia zjechała do nas komisya złożona z lekarzy wojskowych wyższej rangi, którzy poufnie zakomunikowali nam, iż objeżdżają szpitale z rozkazu głównodowodzącego, aby wyrzucać z nich oficerów, którzy jakoby pod pozorem choroby ukrywają się w nich przed bitwą.

Gdzie się podział ów gorący patryotyzm, który na jedno słowo cara miał wybuchnąć ogniem tak wielkim w sercach jego żołnierzy, iż samą siłą jednomyślnego uniesienia miał przerazić nieprzyjaciela?

Pod koniec stycznia, wskutek ewakuacji rannych ubyło nam pracy znacznie. Mogłem bez ujmy dla mych pacjentów opuszczać szpital na kilka godzin dziennie, skorzystałem więc z pierwszej sposobności, aby odwie-

dzie mieszkającego przy lazarecie we wsi Sin-tai-dzy lekarza naszej dywizji, Szwajcara rodem, wielce wykształconego i zacnego człowieka, któremu zawdzięczam niejedną miłą chwilę w czasie wojny.

Ponieważ z urzędu miał on ciągłe stosunki ze sztabem naszej dywizji, stojącym w tejże wsi, nieraz można było usłyszeć od niego jaką nowinę.

Ciekawą anegdotę, a może prawdę, opowiadał mi jednego wieczora. Kiedy, w czasie bitwy pod San-de-pu, piechota przygotowywała się do ataku, pokazał się przed nią w oddali szereg postaci, wysuwających się z ukrytej w wyłobieniu drogi. Z powodu odległości nikt nie mógł określić, ktoby to mógł być.

Żołnierze już się przygotowywali dać ognia, kiedy poznano stadko osłów pędzonych przez Chińczyka. »Flota Rożdżestwieńskiego!« odezwał się głos z szeregów, wywołując ogólny śmiech.

Odległość Sin-tai-dzy od japońskich forpocztów była tak nieznaczna, iż co wieczór prawie, pękały tam granaty między fanzami i zwykle raniły ludzi lub konie. Piszę co wieczór, gdyż Japończycy mieli zwyczaj posyłać w stronę Rosyan na dobranoc kilka granatów w różnych kierunkach i tak im się szczęściło, iż prawie zawsze narazili ich na jaką dotkliwą stratę. Nieraz zdarzało mi się widzieć, kiedy podjeżdżał po zachodzie słońca do Sin-tai-dzy, słup czerwonego ognia wybuchający z oddali i słyszeć ostry trzask pękającego niedaleko granata.

W pierwszych dniach lutego doszła do nas wiadomość, iż japońska kawalerya w połączeniu z chunchu-

zami napadła na dużą stację Gundżulin, stojącą prawie na połowie drogi między Mukdenem a Charbinem.

Japończycy zerwali w kilku miejscach relsy i popusuli parę mostów na kolei żelaznej. Był to odwet za Inkou.

Kawalerya nasza na prawem skrzydle ani się domyśliła, że nieprzyjaciel zaszedł ją od tyłu.

Popłoch był wielki, gdyż jak się okazało, jedyna linia kolei łącząca armię z ojczyzną była dość słabo bronioną przez nieliczne oddziały tak zwanej pogranicznej straży. Obawiano się, aby nie został wysadzonym w powietrze most na Sungari, co równałoby się zupełnemu odcięciu nas od północy. Po tym napadzie Japończyków wzmocniono znacznie oddziały strzegące mostów, a do Gundżulina, gdzie były skoncentrowane znaczne składy prowiantu i wiele szpitali, wyprawiono jeden z pułków z centrum armii.

Z Rossyi tymczasem zaczęły dochodzić wieści o rozruchach i politycznych zabójstwach. Wieści te mąciły spokój armii.

Potężne wstrząśnienie wyłamujące się pod wpływem wypadków wojennych z wiekowej niewoli narodu udzielało się jego wojsku, pomimo kolosalnej odległości i tysiąca przeszkód.

Stopniowo odpadała żołnierza ochota przelewania swej krwi za sprawę, której tryumf miał utrwalić absolutyzm i dawny system ucisku.

W duszach tysięcy obcoplemieńców, wchodzących w skład armii, powstało przeświadczenie, że wybiła dla Rossyi godzina sądu Bożego i pomsty za wielowiekowe

gwałty i bezprawia, za podeptane najświętsze ich uczucia. Sami Rosssyanie zaczęli w swych wojennych niepowodzeniach widzieć nie klęskę narodu, ale nienawistnego rządu i z wyraźnym zadowoleniem komentowali płynące z kraju wieści, świadczące o ciężkich jego kłopotach.

Jedenastego lutego o godzinie 8-ej wieczorem otrzymaliśmy sekretną dyspozycję z planem, z której dowiedzieliśmy się, że nazajutrz ze świtem korpus nasz ma szturmować San-de-pu.

Tym razem miały iść do ataku dwie dywizye, mając na skrzydłach dwa korpusy w rezerwie.

Nie było to rozporządzenie niespodzianką dla nas, przygotowywaliśmy się do niego oddawna, jednak znów nerwowy nastrój ogarnął mną. Rozbudzona wyobraźnia zaczęła stawiać przed oczyma niewypowiedziane przykre obrazy, o jakich miałem już pojęcie z ostatniej walki. Do tego przyłączyło się przeczucie, iż zbliża się moment, od którego zależy przyszłość dalszej kampanii.

Poważne przygotowania dawały do pewnego stopnia rękojmię, iż nie będą powtórzone dawniejsze błędy i, że uda się, choć raz, otrzymać przewagę nad twardym nieprzyjacielem; z drugiej strony z doświadczenia wiedzieliśmy, iż Japończyk nie drzemał napewno i musiał przygotowywać jakąś niespodziankę.

Kiedy pogrążony w tych myślach nerwowym krokiem mierzyłem niewielką przestrzeń fanzy, wręczono nam depeszę, w której sztab zawiadamiał nas, iż dyspozycja na jutro z rozkazu głównodowodzącego zostaje zmienioną, a wojska, zamiast atakować, mają zająć obronną postawę.

Zdumieni byliśmy tem nowem rozporządzeniem i gubiliśmy się w domysłach.

Nazajutrz od świtu zaczęły przechodzić masy wojsk koło nas na lewe skrzydło. Cały pierwszy korpus syberyjski z artylerją przerzucano z niezwykłym pośpiechem na wschód.

Powodem tego, jak mówiono, był atak Japończyków na nasze lewe skrzydło, rezultatem którego było opuszczenie przez 16-tą dywizję generała Aleksiejewa ważnych ufortyfikowanych pozycji w górach i odsłonięcie armii Bilderlinga.

Spieszył Kuropatkin, przelęknięty tem nowem nieoczekiwanem niepowodzeniem, wzmocnić armię w zagrożonych, jak mu się wydawało, punktach.

Następnego dnia artylerja nasza przez dzień cały gromiła San-de-pu, widocznie dla zamaskowania rzeczywistych zamiarów głównodowodzącego. Japończycy na tę zaczepkę nie odpowiedzieli ani jednym wystrzałem.

Potem przez noc całą huczała kanonada od strony centrum. Widzieliśmy wyraźnie snopy ognia wybuchające nad horyzontem z tamtej strony, a grzmot nieustający nie dał zmrzyć oka.

Zrana chcieliśmy dopytać się, gdzie się toczył bój i z jakim rezultatem, ale napróżno.

Chodziły wieści, zaczerpnięte z niezbyt wiarogodnych źródeł, jakoby 17-ty korpus atakował pozycje japońskie pod Sza-che, zdobył je, zajął most i fortyfikację za nim. Wzięto przytem, jakoby, wiele niewolnika i oręża.

Nie bardzo wierzyliśmy w te opowiadania, tembar-

dziej, iż w naszym sztabie nic o tych sukcesach nie wiadziiano.

Wyrażnem było jednak, iż niepokój jakiś ogarnął olbrzymie cielska obu armii, że jakieś konwulsywne od-ruchy zapowiadają blizką krwawą rozprawę.

Tymczasem znów ucichło wszystko.

Ołowiem na duszy ciążył ten spokój. Naprężone, w przeczuciu nadchodzącej burzy, do ostatnich granic nerwy odmawiały posłuszeństwa. Jakaś bezgraniczna tęsknota ścisnęła za serce, a umysł gubił się w najfantastyczniejszych dociekaniach.

Zdawało mi się, iż tak nieznośnej chwili nigdy w mem życiu nie przeżyłem.

15-go lutego przed wieczorem wybrałem się do Sintai-dzy do lekarza dywizyi, aby rozerwać się trochę i zmienić kierunek mych myśli. Zostałem jak zwykle gościnnie przyjęty, ale czułem, że i tu panuje jakieś przygnębienie.

Nie rozumiano dostatecznie ostatnich wypadków i nie zdawano sobie jasno sprawy z ostatnich rozporządzeń głównego sztabu.

Przypuszczano, że przez czas dłuższy wypadnie nam pozostać w bezczynności, a potem znów może szturmować San-de-pu.

Z uczuciem rozczarowania i znużenia wracałem w piękną gwiazdzistą noc przez pola i laski znaną drogą do Sin-kai-che. Warty zatrzymywały mój powóz co chwila i musiałem im rzucać parol, aby być dalej przepuszczonym.

Przed samą wsią o mały włos nie wywróciłem się do jakiejś głębokiej jamy.

W fatalnym humorze wlałem do mego worka, aby we śnie znaleźć zapomnienie i spokój.


O świcie zbudziła mnie blizka kanonada, która rosnąc i rozszerzając się stopniowo, przeszła w ryk przeciągły, wstrząsający, zdawało się, całą ziemią.

Podniosłem głowę i wsłuchiwałem się w ten przykry koncert, starając się odgadnąć uchem stronę, z której dochodziły dźwięki, ale napróżno; fale powietrzne chaotycznie zmieszane, huczały jak burza.

Taki był początek wielkiej mukdeńskiej bitwy.





Okolice Rozjazdu 87. 

XI.

Kiedym wyszedł rano za wrota fanzy, aby udać się do szpitala, jasne słońce przygrzewało żółto-popielatą równinę, nad którą wznosiły się ukryte w gąszczu drzew zasnutę błękitnym oparem wioski.

Łagodny wietrzyk muskał twarz, w cieniu murów i drzew leżał jeszcze siny szron, ale z wesołego szwargotu wróbla z rozlanych w powietrzu, jakichś podniecających ciepłych prądów, czuć było zbliżającą się wiosnę.

Od strony Dawa-gań-pu toczył się ku nam w obłoku żółtego pyłu dwukołowy wózek, zaprzężony w parę lichych mandżurskich koników, a w nim trzęsły się dwie postaci otoczone wielką ilością paczek i tłumoczków.

Gdy się zbliżyli, poznałem topografów.

Zatrzymałem wózek, gdy się ze mną zrównali i wiedziony ciekawością, zapytałem, skąd jadą. Odpowiedzieli, iż uciekają od Japończyków, którzy dzisiaj nad ranem zajęli wioskę Mamykaj, w której oni właśnie robili po-

miary. Z wioski tej przed kilku dniami wywędrował jeden z pułków pierwszego syberyjskiego korpusu i zastąpił go słaby oddział kawaleryi. Japończycy zaskoczyli ich całkiem niespodzianie tak, że ledwie mieli czas cofnąć się pospiesznie. Teraz walczy z Japończykami korpus strzelców. Pożegnałem topografów, podziękowawszy im za interesujące wiadomości i poszedłem do pracy.

Przed południem zaczął dochodzić do nas huk dział od południo-zachodu i południa, a jednocześnie otrzymaliśmy zawiadomienie ze sztabu, iż nieprzyjaciel zaatakował nasz korpus i mamy natychmiast wysłać część naszych wozów do lazaretu dywizyi, gdyż jego środki przewozowe okazały się niewystarczającymi.

Z rezerwy konnej naszych pułków, stojącej w naszej wsi posłano świeże konie dla zastąpienia zabitych i ranionych.

Traktem, obok nas, od strony Su-chu-dia-pu wciąż przejeżdżały w szybkim pędzie, dzwoniąc łańcuchami od uprzęży, w obłokach kurzawy artyleryjskie parki, wiozące amunicję ku pozycjom.

Koło godziny drugiej po południu wstąpił do nas na chwilę podpułkownik W., gospodarz jednego z pułków naszej dywizyi i opowiadał, że walka toczy się zawzięta, że Japończycy zasypują nas pociskami i że straty w ludziach u nas są bardzo znaczne, rannych jednak, wskutek nadzwyczaj silnego ognia, wywieść z pola bitwy niema sposobu.

Jedną z pierwszych naszych ofiar był pułkownik K., dowodzący modlińskim pułkiem. Padł trupem, rażony w głowę kilku kulami szrapnelowemi, kiedy, pomimo

przestróg otaczających, wyjechał na koniu przed front swego pułku. Dzielny to był żołnierz i jeden z niewielu szczerze oddanych swej służbie. Odznaczył się był już w bitwie pod San-de-pu, kiedy w czasie nocnego ataku Japończyków przytomnością umysłu i energią powstrzymał swych żołnierzy od rozsypki.

Strata to była duża.

Przed czwartą wezwano mnie do szpitala, aby opatrzyć rannych, których nam przysłał w swych wózkach lazaret Hesseński. Były to bez wyjątku ciężkie wypadki; wszystko ludzie z naszej dywizji. Przed zmrokiem znów otrzymaliśmy kilku rannych tej samej kategorii.

Kiedy załatwiwszy się z nimi, powracałem do siebie, wyjechał z wrót naszej wsi wóz artyleryjski z amunicją. Oficer znajdujący się przy nim otworzył stalowe pudła, a ludzie zaczęli przenosić naboje w błyszczących mosiężnych rurkach do innego pustego wozu, który tylko co powrócił z pozycji.

Zapytałem niemłodego oficera jakiego systemu są armaty do których wysyła te pociski. »Nie wiem, proszę pana, — kiedyś odbywał wojskowość takich nie używali«. »A czem-że pan był ostatnio?« »Sędzią śledczym«. »A gdyby panu poruczyli natychmiast kierowanie ogniem z tych armat?« »Naturalnie nie potrafiłbym«.

Koło godziny siódmej wieczorem, kiedyś pił herbatę wpadła do nas jedna z sióstr i wywołała mnie za wrota, abym się przypatrzył wspaniałemu ogniowi, jaki rozłożyli żołnierze na przeciwległym brzegu Chuń-che.

Kiedyś wyszedł na ulicę ciemno już było zupełnie. Nad horyzontem od zachodu piętrzyły się wysokie czar-

no-sine chmury, a na nich rozlewał się krwawy blask, dochodzący aż do nas.

Nie był to ogień nad brzegiem Chuń-che, jak to się wydawało krótkowidzącej siostrze, ale łuna wielkiego pożaru na dość znacznej odległości od nas. Kiedyśmy stali zapatrzeni w to piękne widowisko, na jasnym jego tle zjawiły się ciemne sylwetki kilku postaci w kudłatych baranich czapkach, zgarbionych nad głowami koni.

Zbliżywszy się do nas zapytali, jaka to wieś. Sin-kai-che, odrzekłem. A kto wy jesteście?

— Kozacy.

— Skąd jedziecie?

— Z tej wsi, gdzie się teraz pali, — rzekł jeden wskazując ręką w stronę pożaru.

— Cóżście tam robili?

Pilnowaliśmy furaju dla 17-go korpusu, a teraz uchodzimy przed Japończykami, którzy zaszli nas niespodzianie od tyłu. Podpaliliśmy siano i uciekliśmy jak najspieszniej, bo Japończyków była siła!

— Jak daleko stąd do tego ognia?

— Około 17-tu wiorst.

Kozacy wstąpili do wsi na nocleg, a ja powróciłem do fanzy. Zastałem głównego lekarza nad depeszą ze sztabu. Otrzymaliśmy rozkaz odesłania natychmiast rannych na stację w Dawa-gań-pu. Sami mieliśmy zwinąć szpital i o świcie, połączywszy się z obozem 15-ej dywizji, przejść Chuń-che pod Ma-dia-pu i zatrzymać się w jednej z wiosek na prawym jej brzegu.

Depesza wysłana została z odległości 4-ch wiorst o 4-ej po południu, otrzymaliśmy ją dopiero o 7-ej wieczorem.

Nie upłynęło zatem dwunastu godzin od początku bitwy, a rozpoczynał się już odwrót; jakiś fatalizm zawisł nad armią rosyjską: nie pomogły żadne wysiłki ani drogą ceną okupione doświadczenie, Japończyk znów brał górę.

Z gorączkowym pośpiechem wyprawiliśmy rannych na stację i przez całą noc, bez przerwy, składaliśmy na wozy i wózki nasze gospodarstwo.

Przyświecała nam łuna pożaru, płomienie ognisk, które rozłożyliśmy na podwórzach i te, które cofające się wojska, zapaliły nad drogą. Przez całą noc migąły szeroko rozwartem półkolem od zachodu i północy błyski strzałów armatnich i pękających w powietrzu granatów i rozlegał się nieustanny ich grzmot, któremu wtórował głośny ryk wystraszonego bydła pędzonego w popłochu przez naszą wieś. Odwrót rozpoczął się na dobre.

Po północy zatrzymały się na polu od strony Dawa-gań-pu obozy strzelców, a nad ranem, kiedy, gotów już zupełnie do wymarszu, zdrzemnąłem, zmorzony snem, na twardej kanie, zbudzili mnie lekarze z korpusu strzelców, prosząc o przytułek dla siebie. Rozkazano im w naszej wsi otworzyć natychmiast lazaret.

Dzień już był jasny, kiedy, wychyliwszy kubek gorącej herbaty, wskoczyłem na niecierpliwie grzebiącego kopytem konia i wyjechałem na drogę.

Przed nami wyciągał się obóz 15-ej dywizji — przeczekaliśmy, aż przeszedł i wyruszyliśmy za nim.

Oryginalnie wyglądali nasi żołnierze szpitalowi. Nie kontentując się ubiorem wojskowym, nałożyli na siebie szare watowane chałaty chińskie, które były przeznaczone

dla chorych, a których zabrać z sobą nie mogliśmy z braku miejsca na wozach.

Chałaty te powinni byliśmy spalić, aby nie wpadły w ręce nieprzyjaciela, pozwolił jednak główny lekarz na prośby ludzi, aby je z sobą zabrali. Ubrali się więc w nie, a, że przytem wielu zmieniło papachy na wygodniejsze czapki chińskie, wyglądali więc niby banda chunchuzów, tembardziej, że objuczeni byli różnymi chińskimi przedmiotami, zaczynając od fajki, a kończąc na porcelanowych kubkach i dużych miedzianach, które zabierali z sobą »na pamiątkę«.

Dzień był dość ciepły, trochę wietrzny i pochmurny. Przed południem minęliśmy Su-chu-dia-pu i zatrzymaliśmy się na śniadanie w małej wioszczynie zajętej przez dragonów. Nie było w niej nikogo, gdyż gospodarze wyjechali na rekonesans, przyjął nas jednak gościnnie w oficerskiej fanzie dieńszyk.

Ledwie ruszyliśmy w dalszą drogę, dopędził nas w galopie kozak i wręczył lekarzowi dywizji, który ze swoim lazaretem szedł z nami, depeszę od lekarza korpusu z rozkazem, abyśmy powracali do Sin-kaj-che.

Zwróciłem uwagę lekarza dywizji, że teraz, kiedyśmy odeszli o jakie 15 wiorst od wsi, — kiedy nasze fanzy zajął już lazaret korpusu strzelców, nie mamy poco wracać. Prawdopodobnie lekarz korpusu nie jest dostatecznie obeznany z sytuacją i dlatego wydał ten bałamutny rozkaz.

Argumenta moje nie miały żadnego skutku. Dyscyplina wojenna każe słuchać naczelnika, więc trzeba było zawrócić.

Ale powrót nie był przyjemnym. Na spotkanie nam szedł nieprzerwany szereg wozów, które spieszyły ku Mukdenowi, musieliśmy wciąż mijać je na wąskiej, głęboko wyżłobionej drodze. Wozy co chwila zaczepiały jeden o drugi i wywracały się. Wśród gradu przekleństw wstrzymywano ruch, aby je rozłączyć, lub podnieść.

Zły i znudzony takim powolnym posuwaniem się wyrwałem się naprzód; wyprzedziwszy znacznie nasz obóz, zbliżyłem się ku Sin-kai-che.

Nad drzewami od Dawa-gań-pu wznosiły się ku obłokom kolosalne kłęby czarnego dymu, a ryk dział dochodził teraz i od północy. Z pagórka, na którym zatrzymałem się, słychać było wyraźnie salwy karabinowe na przeciwnym brzegu Chuń-che. Znajdowali się więc Japończycy na jednej z nami linii — byliśmy osaczeni z trzech stron — pozostawała wolna tylko droga na wschód ku Mukdenowi.

Po jakiego dyabła pchano nas w ten worek, kiedy wszyscy starali się wydobyć z niego?

Kiedym tak myślał, na ścieżce wśród pola, przez które jechałem, pokazał się na pięknym gniadym anglo-arabie lekarz z korpusu strzelców, z którym dziś rano rozmawiałem w Sin-kai-che przed opuszczeniem naszej fanzy.

— Dokąd pan jedzie? zapytałem. — Przecież panowie mieli rozwinąć lazaret. —

— Z większym prawem powinienbym się dziwić temu, że pana tu widzę. Dokąd panowie jadą?

— Do Sin-kai-che, otrzymaliśmy rozkaz, aby tam powrócić.

Roześmiał się kolega na te słowa.

A to panowie chyba nie wiedzą, że Japończycy są już na brzegu Chuńche, że lada chwila zajmą Maturań, z której już wyniósł się sztab waszego korpusu. Sin-taj-dzy, gdzie stał sztab 15-ej dywizji, już w ich ręku. Granaty japońskie padają między Dawa-gań-pu i Sin-kai-che, a ten dym który pan widzi, to dym od palących się zapasów żywności nagromadzonych w Dawa-gań-pu. Nam rozkazano iść do Mukdenu.

Podziękowałem koledze za te wieści i, zawróciwszy konia, pospieszyłem zanieść je jak najprędzej do lekarza dywizji.

Zawahał się, rozkazał zatrzymać szpital i posłał oficera z poleceniem, aby dotarł do sztabu dywizji i wyjaśnił sytuację. Kiedyśmy stali w polu w oczekiwaniu powrotu posłańca, a koło nas przechodziły wozy, konie i muły objuczone różnymi pakunkami i przyborami do szturmowania szańców, zbliżył się ku nam batalion piechoty, z niemłodym brodatym kapitanem na czele, opierającym się na sękatym kiju.

— Zmiłujcie się panowie, — zwrócił się do nas, — powiedzcie mi, gdzie stoją parki artyleryjskie naszej dywizji? Od rana poszukuję ich z moim batalionem, a znaleźć nie mogę. Rozkazali mi być przy nich dla ich obrony i dali mi jakąś kartę, z której nic zrozumieć nie mogę, — błędę ciągle, zmęczyłem się tak, że ledwie włóczę nogami, ani ja, ani ludzie od rana nic w ustach nie mieliśmy, noc się zbliża, a tu parków ani śladu!

Poradziliśmy biedakowi, aby szedł do Suchu-dia-pu, gdzie są duże składy amunicji, z których się przewidują

parki, łatwo zapewne tam się dowie, gdzie może je znaleźć.

Podziękował starowina i powlókł się, utykając, we wskazanym kierunku.

Mieliśmy znów przykład nieporządku i zamieszania w armii: albo kapitan był tak nieroztropny, że nie umiał skorzystać z danych mu wskazówek, albo te wskazówki były niedostatecznymi.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedy na spienionym koniu powrócił oficer wysłany na zwiady. Sztabu dywizji nie znalazł, nie znalazł także sztabu korpusu i nikt nie mógł mu wskazać, gdzie się znajdują. Widocznym było, że nastąpiło ogólne zamieszanie, że dowódcy zaczęli tracić głowy i szybkim krokiem zbliża się klęska.

Japończycy w szalonym tempie parli naprzód, usuwając wszelkie przeszkody po drodze i zmuszając do gwałtownego cofania się. Wczoraj nad ranem zaczęła się bitwa, a dziś już odrzucili drugą armię naszą o jakie dwadzieścia kilometrów na wschód i od północy zaszli nam od tyłu, pokrzyżowawszy wszystkie plany naszych generałów.

Opuszczeni przez władze, musieliśmy teraz sami decydować, co mamy począć, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Po krótkiej naradzie lekarz dywizji dał nam prawo postępowania na razie wedle własnego uznania, z tym tylko warunkiem, abyśmy się starali być z nim ciągle w porozumieniu.

Skorzystaliśmy z tej ograniczonej swobody działania i zawróciwszy swe wozy, skierowaliśmy się znów ku Ma-dia-pu, aby tam przenocować.



Przewożenie z Mamykaju na kolej ciężko rannych i chorych.

Nigdy nie zapomnę tej okropnej drogi, jaką odbyłem w ten pamiętny wieczór.

Po raz pierwszy ujrzałem, co to jest wojsko wtedy, kiedy wyrzucone będąc kolejną wypadków ze ściśle określonego regulaminem trybu życia, opuszczone przez wodzów, kieruje się tylko instynktem samozachowawczym. Jest to stado dzikich zwierząt, łamiących i druzgocących z bezmyślnym okrucieństwem wszystko, co im staje na przeszkodzie do urzeczywistnienia jedyne go celu: ująć jak najspieszniej od nieprzyjaciela.

Wszystkie obozy pomieszały się chaotycznie w jeden szeroko rozlany potok, który nie trzymał się już drogi, lecz płynął przez pole porwane głębokimi urwiskami i parowami, zbiegającymi ku niedalekiej Chuń-che. Do tych parowów waliły się wśród ciemności ciężko naładowane wozy, gniotąc konie i ludzi. Wywlekano je potem wspólnymi siłami wśród przekleństw znów na pole, a, tymczasem, zatrzymany wypadkiem potok rozszerzał się, obchodził przeszkodę i znów się kłębił w jakiej czarnej jamie, w chaotycznym zamieszaniu.

Wkrótce po naszym zwróceniu ku Ma-dia-pu zgubiłem mój obóz i towarzyszy. Kiedy zmrok zapadł, obawiając się aby w tej okropnej plątaninie koni, wozów i ludzi nie być stratowanym, postanowiłem jechać w pewnym oddaleniu od drogi, mając ją wciąż na widoku, aby nie zbłądzić.

Tymczasem na czarnem, zasuniętym obłokami niebie zamigotały kolosalne łuny. Paliły się składy żywności i furazu, a także wsie, pod które podkładano ogień w miarę, jak się posuwał nieprzyjaciel. A posuwał się

tak szybko, iż wkrótce wyszedł przed nas ku północowschodowi i widziałem wyraźnie długie płomieniste linie ognia karabinowego i błyskawice armatnich strzałów, kierowanych ku niemu przez nasze wojska, zasłaniające z rozpaczliwym wysiłkiem nasz odwrót.

Cudny to był widok, pełen majestatycznej grozy i tragicznej poezji. Potęgował wrażenie ryk dział, zagłuszający zupełnie prawie ostry trzask salw karabinowych.

Około siódmej wieczorem minąłem Suchu-dia-pu, gdzie panował gorączkowy ruch. Ładowano rannych do wagonów, zwijano pospiesznie szpitale, których tam było kilka i wywożono amunicję. Za Suchu-dia-pu trafem spotkałem kilka wozów z naszego obozu, które jakimś sposobem wysunęły się naprzód. Byłem świadkiem, jak się do rowu zwały nasze rzeczy i krzyknąłem na strzegących je dieńszczków, aby wóz wyciągali. Chciałem zatrzymać się przy nich, aby dopilnować tej roboty, ale odcięty zostałem od nich w tej chwili przez wjeżdżające z pędem na drogę artyleryjskie parki, łamiące i druzgocące swymi ciężkimi kołami wszystko, co im stało na zawadzie. Aby uniknąć zetknięcia się z nimi, zaciąłem konia i wdrapałem się na stromy bok wąwozu, którym ciągnęły obozy, a potem na pole. Tymczasem wozy nasze zginęły mi z oczu w ciemnościach.

Pewny byłem, że już mych rzeczy nie zobaczę, nie robiło mi to jednak żadnej przykrości. Jedyłą moją troską w tej chwili było dotrzeć do jakiej fanzy, zaspościć palące pragnienie, a potem rzucić się na jakiegokolwiek postłanie.

Snu potrzebowałem okropnie, przez całą ubiegłą noc nie zmrużyłem oka, a dziś od świtu byłem na koniu i czułem szalony ból w krzyżach i kolanach.

Poznałem teraz zalety mego wierzchowca; bez pokarmu i wody od rana, szedł jednak rzeźko i niósł mnie po nierównym, głębokimi brzdami pooranem polu pewną nogą.

Nareszcie dotarłem do wysokiego nasypu, wzniesionego niegdyś przez kolej wschodnio-chińską i opuszczonego potem wskutek zmiany kierunku linii. Przed tym nasypem, w którym przekopano wązki przesmyk, zbiły się w gęstą masę obóz w oczekiwaniu kolei.

Objechałem tę przeszkodę, wspiąwszy się bokiem nasypu na jego wierzchołek i po drugiej stronie znalazłem się na gładkim polu.

Z za Chuń-che powiał na mnie zimny wiatr i nachylił w moją stronę wysoką kitę złocistego dymu, buchającego nad ciemną sylwetą wysokich drzew wznoszących się nad wioską. Po tych drzewach poznałem Ma-dia-pu i skierowałem się tam wprost przez pole.

U wjazdu do wsi panował ścisk nie do opisania; udało mi się wszakże, manewrując ostrożnie, dotrzeć do głównej ulicy, tam jednak zmuszony byłem zatrzymać się i ukryć za załomem muru, aby nie być stratowanym przez artylerię, która pędziła co koń wyskoczy przez wieś. Była to artyleria 16-go korpusu, którą na gwałt parto na północ, aby obronić zagrożoną przeprawę przez Chuń-che.

Wystawszy jaki kwadrans, skręciłem, skorzystawszy z odpowiedniej chwili, w boczną uliczkę i przy pomocy

Chińczyków, którzy gromadnie wylegli na ulicę, aby przypatrzeć się niezwykłemu ruchowi, dojechałem do etapu.

Tu spokój panował zupełny. Na obszernym pustym podwórzu paliła się latarnia, z okien fanzy biło światło i słychać było gwar rozmowy. Przywiązawszy konia do słupa i wyprostowawszy zmęczone nogi, chwiejnym krokiem wszedłem do fanzy.

Zastałem pana komendanta w towarzystwie młodego lekarza, przy stole pokrytym kwiecistą serwetą, zastawionym suto różnymi przysmakami, pijącego herbatę.

— Skąd Pan Bóg prowadzi? — zapytał spokojnie.

Opowiedziałem mu wszystkie nasze dzisiejsze perypetye, dziwiąc się, iż on nie wie o tem co się święci. — Niech to pana nie dziwi, odrzekł, od rana starałem się porozumieć ze sztabem drugiej armii, ale napróżno, ani telefon, ani telegraf nie działały.

Prosiłem, aby pozwolił przemocować w hoteliku przy etapie. Nie miał nic przeciwko temu, ale uprzedził, iż ma zamiar, jeżeli nie otrzyma żadnego rozporządzenia od władz wyższych, zamknąć etap o 12-ej w nocy i maszerować do Mukdenu. »Słyszysz pan jak armaty wyją, te gałgany Japończyki są nie dalej od nas, jak o cztery wiorsty«.

W istocie bitwa toczyła się tak blisko, iż zdawało się, że lada chwila pociski zaczną sypać się do wsi.

Wyszedłem na podwórze i odwiązawszy konia, udałem się za żołnierzem, którego mi dano za przewodnika, do znanego mi już hoteliku, któremu niegdyś dałem nazwę »Grand-Hôtel de Ma-dia-pu«.

Przed jego progiem spotkała mnie ta sama roz-

czochrana i oberwana postać, którą już znałem z poprzedniej mojej bytności w Ma-dia-pu.

Znużony okrutnie, ledwie trzymając się na nogach, z szumem w uszach i łzawiącymi od pyłu i wiatru oczami, nie byłem w stanie sam zająć się koniem, krzyknąłem więc do starego, aby mu dał siana i napoił, a sam, nie czekając na odpowiedź, wszedłem do fanzy.

Ostre światło zwieszającej się z pułapu lampy oślniło mnie i nic z początku rozróżnić nie mogłem, tembardziej, iż gęste zwoje dymu tytoniowego zaćmiały atmosferę. Potem ujrzałem kilku oficerów, siedzących na kanie przy stole, na którym dymił samowar.

Rozmowa toczyła się półgłosem. Zrozumiałem po chwili, iż trafiłem na naradę wojenną. Decydowali nad tem, czy szukać jeszcze artyleryjskich parków, których mieli bronić, czy zanocować w Ma-dia-pu. Od 11-ej z rana uganiali za owymi parkami i znaleźć ich nie mogli.

Spór toczył się gorąco: jedni dowodzili, iż głupstwem jest szukać w taką ciemną noc tego, czego w biały dzień znaleźć nie mogli, drudzy bali się odpowiedzialności i radzili spróbować szczęścia jeszcze raz, chociażby tu niedaleko, w pobliżu wsi.

Opinia ostatnich przeważyła. Zaczęli naprędce kończyć herbatę i przygotowywać się do wyjścia. Na odchodnem zaproszono mnie do towarzystwa, uraczono gorącym napojem i kawałkiem czerstwego chleba. Wdzięczny im byłem niewypowiedzianie za ten traktament, gdyż nie posiadałem z sobą żadnych zapasów, — wszystkie zostały w moich tłumoczkach.

Zanim jeszcze oficerowie opuścili fanzę, rzuciłem się na siennik i zasnąłem gorączkowym snem, pełnym widziadeł. Zmęczonymi członkami od czasu do czasu wstrząsał dreszcz. — Zrywałem się wtedy z posłania i po chwili zapadałem w ciężką, jak zmora, drzemkę.



Typy chorych żołnierzy.

XII.

Przed północą obudził mnie cichy jęk, rozlegający się tuż obok mnie. Otworzyłem oczy i ujrzałem jednego z moich kolegów szpitalowych, trącego zawzięcie obnażoną łydkę.

— Co panu takiego? — zapytałem.

— Cierpię strasznie na kurcze w mięśniach nogi.

Winna temu ta przeklęta konna jazda. —

— A oddawna panowie tutaj? —

— Przed godziną przybyliśmy. —

— A gdzie główny lekarz i reszta kolegów? —

— Obok mnie. — Tu kiwnął głową poza siebie, skąd dochodziło donośne chrapanie pana naczelnika.

— A obóz nasz ocalał?

— Nie jestem tego pewny, wiem tylko, że kilka wozów i furgon z siostrami są tu na podwórzu. Siostry śpią tam w stogu siana, nie chciały wejść do fanzy, gdyż tu za ciasno.

W istocie nie tylko na kanach, ale i na glinianej

podłodze leżeli gęsto, jak śledzie w beczce, jeden obok drugiego, oficerowie pogrążeni w głębokim śnie.

Przed świtem obudził mnie szarpnięciem za nogę mój ordynans. Uradowałem się szczerze, ujrawszy go.

— Dawno tu jesteś? — zapytałem.

— O godzinie drugiej stanęliśmy tutaj, rzeczy nasze są, chwała Bogu, i wszystkie w porządku.

— No, to dawaj mi teraz herbaty.

W fanzie zimno było przenikliwie. Piec wystygł przez noc i nikomu nie przyszło do głowy, a raczej nie było nikogo, aby w nim zapalić. Obdarty sługus ulotnił się jak kamfora, pozostawiając cały dobytek na łasce losu.

Powoli z głośnem stękanem, poziewaniem i przeciąganiem członków, zaczęli zwlekać się z posłań moi koledzy. Zaczęto opowiadać sobie rozmaite epizody wczorajszego nocnego odwrotu, stawiano horoskopy na przyszłość i radzono o tem, co pocniemy teraz, kiedy wszelka styczność z naszymi władzami została zerwaną i wątpliwa rzecz, czy w ogólnem zamieszaniu uda się nam ją znów nawiązać.

Przyłączył się do rozmowy obudzony krzątanią, główny lekarz i opowiadał, że zgubiwszy swój obóz, przybył do Ma-dia-pu wczoraj około jedenastej na etap i zastał już tam dowodzącego drugą armią Kaulbarsa.

Generał wyglądał bardzo przybity. Stracił swój zwykły aplomb zupełnie i niepewnym głosem pytał komendenta, co może teraz wedle jego zdania nastąpić. Otrzymał na to odpowiedź, iż trudno, aby skromny oficer równać się mógł w znajomości sztuki wojennej z taką

powagą militarną, jak pan generał, który drwi sobie chyba z niego, zadawając mu takie pytanie. I tak, dowodzący naszą armią wraz ze sztabem byli tu we wsi, przy której przez całą noc koncentrowały się obozy drugiej armii. Ale gdzie były nasze pułki?

Odpowiedź na to w pewnej mierze dawało echo toczącej się bitwy. Kanonada od północnej strony nie ustała ani na chwilę, nie posunęła się jednak dalej na wschód, utrzymując się na wysokości Ma-dia-pu.

Od południa za to, skąd wczoraj dochodziły nas tylko rzadkie wybuchy, teraz grzmiały jedna za drugą salwy armatnie, a wtórzyły im dalekie echa walki toczącej się daleko na wschód. Nie ulegało wątpliwości, że bój zawrzał na całym kolosalnym froncie obu armii. Długo oczekiwana decydująca bitwa nastąpiła całkiem niespodziewanie dla Rossyan, którzy marzyli o tem, aby wziąć w swe ręce inicjatywę. Chytry Japończyk uprzedził ich zamiary i zrobiwszy 10-go lutego skuteczną dywersję, która wywołała przesunięcie całego korpusu z prawego skrzydła Rossyan na lewe, uderzył na osłabioną tym manewrem drugą armię i, okrążywszy ją w nadzwyczaj zręczny i śmiały sposób od północy, pędził teraz ku Mukdenowi.

Wszelkie starania Kaulbarsa, aby powstrzymać ich ruch oskrzydłający, spełzły na niczem. Zamiar przerzucenia w tym celu 8-go korpusu na prawy brzeg Chuń-che, a zastąpienia go na prawem skrzydle przez cofający się korpus strzelców nie udał się zupełnie.

Japończycy atakowali z taką siłą, iż nie było sposobu skutecznie ten manewr. Jedyna nadzieja teraz była

w Kuropatkinie, od którego oczekiwano posiłków, mających przybyć od strony Telina. Konsystująca tam jakoby w rezerwie dywizya, mogła zaatakować Japończyków od tyłu i zatrzymać ich pochód zwycięzki.

Posiliwszy się gorącą herbatą z suchym chlebem i konserwami, zebraliśmy radę wojenną dla zdecydowania, co mamy począć z sobą. Jednogłośnie zapadła uchwała, aby bez zwłoki maszerować do Mukdenu, dokąd widocznie ciągnie cała druga armia.

Różnica zdań zaznaczyła się przy obiorze kierunku, jakiego mieliśmy się trzymać, aby tam dotrzeć.

Jedni radzili wybrać drogę przez most na Chuń-che, jako krótszą, drudzy, a z nimi ja, wskazywali na to, iż prawdopodobnie, wszystkie obozy obiorą ten kierunek, będziemy więc mieć te same niewygody co wczoraj, a przytem, droga ta jest niebezpieczną, gdyż łatwo może być ostrzeliwaną przez Japończyków.

Ostatnie zdanie przeważało i pospieszyliśmy opuścić wieś jak najskwapliwiej.

Czas był ku temu wielki, gdyż jak przewidywałem, wszystkie obozy skierowały się na północ przez rzekę i na głównej drodze ścisk i zgiełk panował ogromny. Aby wydostać się za wieś, z wielką trudnością przedarliśmy się przez główną ulicę. Droga na lewym brzegu Chuń-che okazała się wolną.

Czas był bardzo piękny, dość mroźny. Wczorajsze obłoki zniknęły i słońce rzucało olśniewające blaski na piaszczystą równinę. Za wsią przystał do nas idący pieszo lekarz jednej z dywizji korpusu strzelców. Staruszek stracił swój lazaret, powóz i rzeczy we wczorajszej zawie-

rusze i teraz, dowiedziawszy się, że idziemy do Mukdenu prosił, abyśmy go wzięli pod naszą opiekę.

Chętnie zgodziliśmy się na to, niedługo nam jednak towarzyszył, gdyż przeniósł się po pewnym czasie do obozu swego korpusu, który spotkaliliśmy w wiosce, przez którą przejeżdżaliśmy.

Przed południem zbliżyliśmy się do nasypu kolejowego.

W lewo od drogi, nad Chuń-che przebiegały wysokie arkady mostu, za nami lśniła błękitna wstęga pokrytej lodem rzeki. Na drodze nie było nikogo, nawet wioszczki, zajęte dawniej przez kawaleryę, stały zupełnie opuszczone i ciche, nawet forty nad Chuń-che, broniące mostu, nie dawały znaku życia.

Przejechaliśmy przez kolej, a kiedy stanęliśmy za nasypem zamilkł zupełnie odgłos strzałów armatnich i otoczył nas taki spokój, że mogło się nam wydać, iż te niedawne wypadki, których byliśmy uczestnikami, to sen tylko.

W okrutnie zrujnowanej wiosce przy kolei, do której zawinęliśmy na wypoczynek i śniadanie, były duże składy żywności.

Pod nakryciem z mat wznosiły się stosy worków z mąką i zbożem, a przy nich leniwie krążyli wartownicy z bronią na ramieniu.

Zwróciliśmy się do jednego z nich z zapytaniem, czy niema tu jakiej wolnej fanzy, w której moglibyśmy rozłożyć się, ogrzać i zgotować jedzenie. Wskazał nam na parę stojących na uboczu budynków bez drzwi i okien.

Nie mając nic lepszego do wyboru, ukryliśmy się

tam i w oczekiwaniu wrątku, który nam tymczasem gotowali na dworze w czajnikach metalowych dieńszczycy, zabraliśmy się do przekąsek.

Na kilka dni przed opuszczeniem Sin-kai-che otrzymaliśmy przez nasz szpital posyłkę z Rossyi, adresowaną do pewnego ochotnika w jednym z pułków naszej dywizji.

W posyłce tej, przesłanej przez matkę synowi, oprócz wielu innych przedmiotów był poćć doskonałej świeżej słoniny.

Słonina przeszła do nas drogą spadku po biednym ochotniku, który zginął od kuli japońskiej na kilka dni przed nadejściem posyłki.

Był to przysmak, który z jajami na twardo i suchym żołnierskim chlebem, stanowił menu naszego śniadania. Spożyłem je z takim apetytem, jakiegoby mi pozazdrościł najwybredniejszy smakosz. Zapiłem tę królewską ucztę filiżanką bulionu Maggi, który sam sobie przyrządziłem i którego delikatnego smaku nie był w stanie zepsuć gruby osad gliniastego iżu na dnie naczynia. Ledwieśmy skończyli śniadanie, przejechał obok nas i zatrzymał się przy składach zboża ekwipaż na resorach, zaprzężony w trójkę koni na sposób rosyjski z wywotowanym grubo furmanem na koźle, w czapeczce krągłej z pawiem piórkim na głowie, trzymającym lejce w szeroko rozstawionych przed siebie rękach.

Z powozu wysiadło dwóch czynowników, którzy, wyciągnawszy z kieszeni jakieś papiery, zaczęli w nich robić notatki. Po chwili zjawił się przy nich oficer, strzegący widocznie zapasów i, po krótkiej z nim pogadance,

czynownicy wskoczyli do powozu i szybko się oddalili drogą ku Mukdenowi.

Oficer, zauważywszy naszą obecność, zbliżył się do nas, aby się przywitać i zapytał, co tu porabiamy.

W krótkich słowach opowiedzieliśmy mu o wczorajszych wypadkach. Zdawał się być bardzo zdziwionym tem, co usłyszał, nie miał pojęcia o tem, co grozi całej armii rosyjskiej.

— Teraz rozumiem, dlaczego zjawiły się tu te złowróźbne kruki i dały mi prawo na spalenie, w razie niebezpieczeństwa tego wszystkiego co tu panowie widzicie. Piękny będzie fajerwerk, mam tu jeszcze niemały zapas spirytusu i petroleum. Ale chodźcie panowie tymczasem do mnie, ogrzejecie się przynajmniej. Jak widzicie, z całej wioski ocalało zaledwie parę fanz, resztę zniszczyli nasi: powyrywali drzwi i okna, popalili krokwie z dachów i belki. Dawniej stał tu pułk piechoty, ale po napadzie chunchuzów na Gundzulin tam go przeniesiono.

Udaliśmy się za gościnnym oficerem do jego fanzy, którą sobie elegancko wporządził, wykleiwszy ściany białym papierem i wystawszy ją matami.

Wyciągnąłem się zaraz na ciepłej kanie, podestawszy pod siebie kozuch barani. Przejście od zimna do ogrzanej atmosfery rozmarzyło mnie. Wpadłem w przyjemny stan półsnu, w którym przyciszone słowa kolegów i chichot bawiących się rozmową z gospodarzem sióstr miłosierdzia mieszały się z szumiącym w uszach echem armatnich strzałów i mglistymi obrazami wczorajszych wypadków. Stopniowo wszystko to zasnuła jakaś nieokreślona mglista powłoka, a w zmęczonej głowie zaczęły

zwolna wirować ciche słowa cygańskiej piosenki z akompaniamentem gitary.

Raptem potężny huk armatniego wystrzału wstrząsnął fanzą. Siostry krzyknęły, my zerwaliśmy się na równe nogi, oficer rzucił na stół pospiesznie gitarę, którą trzymał w ręku i wybiegł bez czapki za próg.

Siedzieliśmy w milczeniu oczekując powtórnego wystrzału, ale ten nie przychodził. Po chwili powrócił oficer. »To sygnał od mostu kolejowego, dają nam znać, abyśmy się mieli na baczności« rzekł. »Radzę panom opuścić wieś, gdyż do wieczora, może, wszystko podpalę«.

Musieliśmy, rzecz jasna, zastosować się do tej rady, ale dokąd iść? Nie mając pojęcia o ruchach wojsk, baliśmy się wpaść w jaką pułapkę, a żadnych wskazówek od naszych naczelników nie mieliśmy. Przyszło nam do głowy, że może najlepiej będzie dla nas, jeżeli znów się połączymy z obozami naszej dywizji, o których słyszeliśmy przed wyjściem z Ma-dia-pu, iż mają zatrzymać się przy tak zwanym węglowym rozjeździe.

Rozjazd ów, stanowiący połączenie Fusuńskiej odnogi z główną linią kolei, znajdował się nie dalej, jak o jakie trzy wiorsty od miejscowości, w której znajdowaliśmy się. Gołem okiem widzieliśmy szpiczaste dachy jego zabudowań.

Ledwieśmy ruszyli w jego stronę, zerwał się silny wicher dmąc nam wprost w oczy. W jednej chwili podniosły się tumany kurzawy i piasku i zakryły nam horyzont i otaczające przedmioty. Z niemałym trudem i przykrością szliśmy wąską drogą przez pola poorane okopami i szanćcami.

Około godziny 4-ej po południu przejechaliśmy znowu przez nasyp kolejowy i spotkaliśmy uszykowane za nim na polu w czworoboki nasze obozy dywizyjne. Konie stały wyprężone przy wozach, a ludzie rozłożyli ognie i grzali się przy nich, gotując herbatę w kociołkach. Stanęliśmy obok nich i w ten sam sposób zaczęliśmy przygotowywać się do noclegu.

Tuż przy kolei leżała wioska, do której ruszyłem piechotą, wiedząc za uzdę konia, aby wyszukać dla siebie i kolegów jaki kąć do przespania się.

Udało mi się od razu przy wejściu natrafić na obszerną murowaną fanzę, z której tylko co wyniósł się dowódca artyleryjskiej brygady. Zostawiłem w niej dla dopilnowania zajętych miejsc dieńszczyka, który mi towarzyszył, a sam powróciłem do naszego obozu, aby zawiadomić kolegów o szczęśliwym rezultacie mojej wyieczki.

Kiedym dochodził do nich, słońce kryło się za horyzont, rzucając krwawe blaski na wysoki, obrośnięty żółtą suchą trawą nasyp, na ugrupowane przy nim popielato sine budynki i pokryte żółtymi matami góry worków z zapasami żywności, na których stali z okiem wpatrzonem na północno-zachód wartownicy, gotowi w każdej chwili dać sygnał do podpalenia. A z tamtej strony wznosił się ku niebu gorejącemu łuną pupurową wysoki obłok dymu, któremu promienie zachodzącego słońca nadawały złotorudą barwę.

Paliły się już: Suchu-dia-pu, przez którą przeszliśmy wczoraj wieczorem i Ma-dia-pu, gdzieśmy spędzili noc.

W tej chwili na szynach kolejowych toczył się z wolna ku Mukdenowi wspaniały pociąg głównodowodzącego armią. W lustrzanych szybach odbijały się jaskrawe ognie zachodu; na stopniach wagonów stali lub siedzieli elegancko ubrani konduktorowie i służba.

— Oho! wynosi się już do Mukdena — narobił mu Kaulbars kłopotu — odezwał się głos z niedalekiej grupki oficerów, którzy przypatrywali się pociągowi.

Zaraz po przejściu pociągu, drogą obok nas przeszedł konwój Kuropatkina. Na czele, na dziarskim siwym koniu jechał pułkownik w uniformie polowych żandarmerów, pięknej postawy, elegancki mężczyzna, z rozwianymi szeroko faworytami, a za nim jego szwadron równie elegancki, jak dowódca. Dalej kozacy na doskonałych koniach.

Jakże mizernie i biednie przy tych sytych i wypoczętych żołnierzach wyglądaliśmy my! Z jakim lekceważeniem patrzyli na nas ci spokojni o swój los słuzalcy.

Powróciłem do wsi, aby, posiliwszy się, ułożyć do snu. Na podwórzu przed fanzą zastałem już mego dieńszczyka warzącego wodę w dużym metalowym czajniku, umocowanym na kilku cegłach. Ledwie się rozciągnął w oczekiwaniu herbaty na ciepłej kanie i przyglądając się przygotowaniom do snu, jakie czynili moi towarzysze, zawczasu rozkoszował się myślą o wypoczynku, wbiegł do fanzy podpułkownik dowodzący obozem naszej dywizji i strwożonym głosem oznajmił nam, że nie możemy tu nocować, gdyż tylko co przeszły obok nich kuchnie jednego z pułków naszej dywizji, za którymi o wiorstę rozstawia się już pierwszy łańcuch strzelców. Nieprzy-

jaciel bardzo blisko i musimy bez zwłoki ruszać do Mukdenu.

Znów więc oczekiwała nas perspektywa nocnego marszu. Zerwałem się z postania i pośpiesznie ułożywszy rzeczy, któremu sobie dla wygody na noc przygotowałem, skoczyłem na konia, którego ledwie zdążono napoić.

Przejechaliśmy znów przez nasyp kolejowy i skierowaliśmy się ku Chuń-che, trzymając się szerokiej okopanej drogi, którą na wszelki wypadek przygotować kazał Kuropatkin. Wdzięczni mu byliśmy za tę jego przezorność, gdyż szybko zapadła bardzo ciemna noc i łatwo mogliśmy zbłądzić. Wiatr, który dał tak silnie po południu, ustał teraz prawie zupełnie.

Cały zachód świecił ogniem kolosalnych łun. Od południa i wschodu buchały co chwila nad horyzontem ogniste języki; bój wrzał na całym froncie rosyjskiej armii. Lekki wietrzyk niósł z oddali nieustanny grzmot, niby ryk nadciągającej nawałnicy.

Szliśmy bardzo powoli. Konie i ludzie bardzo byli pomęczeni. Wierzchowiec mój utknął parę razy tak niebezpiecznie, iż wolałem zsiąść z niego i podążyć piechotą. Ruch ten rozgrzał mnie, zrzuciłem z siebie futerko i w skórzanej tylko kurtce szwedzkiej szedłem w milczeniu koło furgonu aptekarza, na którym siedzieli także moi koledzy.

Nie wiem dlaczego myśl moja uleciała daleko ku stronom rodzinnym, ku drogim memu sercu istotom. Czy je kiedy zobaczę? Czy zniosę te trudy i niewygody, których miałem przedsmak dopiero? W wygraną Rosyan po tem co się stało, znając nastrój armii, nie wierzyłem,



Wcześnie do klasztoru buddyjskiego pod Mukdenem.

przewidywałem porażkę zupełną, odwrót ku Telinowi, a co potem? Potem może pokój...

Zamajaczyły przed nami, z początku niewyraźnie, potem coraz widoczniej, ognie mostu na Chuń-che. Sta-
nęliśmy wkrótce przed nim i musieliśmy czekać kolei, gdyż przeprowaiały się właśnie naprzeciwko nas duże transporty z żywnością dla 3-ej armii.

Zerwał się znów przenikliwy wiaterek od północy. Zrobiło się nadzwyczaj zimno, nałożyłem kożuszek, ale ogrzać się nie mogłem. Dopiero kilka łyków koniaku pociągniętych z manierki wlały mi ciepło w żyły. Zagryzłem trunek sucharem z czarnego chleba, którego mi dostarczył mój dieńszczyk.

Nareszcie dano nam drogę. Przed północą stanę-
liśmy pod glinianym wałem opasującym przedmieścia Mukdentu. Zaczęliśmy posuwać się wzdłuż niego, mając zamiar dotrzeć do Pa-dia-dzy i zanocować w budynkach przysposobionych niegdyś przez nas pod szpital.

Pomimo późnej pory, ruch pod miastem pano-
wał ogromny; — spotykaliśmy ciągle długie trans-
porty, które wracały ze stacji kolei do swych obozów. Rozminąć się z nimi w ciemnościach, przy okropnych wybojach, urwiskach i jamach było rzeczą prawie nie-
możliwą.

Powtórzyły się wczorajsze sceny: zaczepianie i wy-
wracanie arb i wozów, wrzaski, przekleństwa i jęk trato-
wanych ludzi, — jednym słowem piekło prawdziwe.

Po godzinie takiej drogi wyrwał się nareszcie nasz obóz na główną ulicę Pa-dia-dzy, zwalwszy przedtem do przepaści parę arb chińskich z ludźmi i końmi.

Przejechaliśmy obok szczelnie zamkniętych wrót, prowadzących do miasta. Z oddali błysnęły ognie muk-
deńskiej stacji i doszedł do nas gwizd lokomotyw. Za-
wróciliśmy ku naszej dawnej siedzibie i po chwili spotka-
liśmy patrol policyjny chiński, obchodzący z kolorowemi papierowemi latarniami, przy odgłosie drewnianej kołatki pogrążone we śnie ulice. Poznaliśmy znanego nam komi-
sarza z tłumaczem i stójkowymi.

Nastąpiło powitanie tak serdeczne, jak gdybyśmy spotkali najmilszych przyjaciół. Tak przyjemnym wydał się nam widok tych ludzi związanych ze wspomnieniem spokojnych chwil naszego pobytu w Pa-dia-dzy.

Kiedyśmy dojeżdżali do naszego szpitala ginął wła-
śnie w szeroko otwartych jego wrotach ostatni wóz innego szpitala, który nas uprzedził. Była to nieprzyjemna dla nas niespodzianka. Obawialiśmy się, aby ci intruzi, opie-
rając się na prawie pierwszeństwa, nie robili nam trudno-
ści co do naszego rozlokowania się na nocleg.

I w samej rzeczy, gdyby nie energia naszego głó-
wnego lekarza, który bez ceremonii wyrzucił z jednej fanzy, niegdyś naszej apteki, manatki, które w niej złożyły nadzwyczaj eleganckie i uperfumowane siostry, nie mieli-
byśmy gdzie przemocować. Mieliśmy z tego powodu rozmowę ze starszym lekarzem, naczelnikiem owych sro-
dze obrażonych na nas sióstr, które zaniósły skargę do niego, grożąc mu Kaulbarsem, jeżeliby nas nie ukarał. Poczciwy starowina zostawił nas w spokoju, gdyż, jak mówił, mają jego siostry dosyć miejsca na nocleg, ale chodzi im o to, aby mieć jeszcze fanzę do ubierania się, dlatego, aby mogły przed oczyma mężczyzn ukryć roz-

maite toaletowe machinacye, mające za cel podniesienie ich urody.

— Co ja mam z niemi za kłopot, nie uwierzą panowie! Pracować nie chcą, a stroją się i latają z kawalerami po całych dniach. To nie siostry miłosierdzia, ale kokoty!

W fanzie nieopalanej od dawna panował przenikliwy chłód. Ponieważ kan nie było, położyłem się więc do snu nie rozbierając się, na wilgotnej ziemi w worku ce-ratowym, który wozilem z sobą. Dla zaspokojenia głodu, który mi nie dawał zasnąć, zgryzłem parę sucharów żołnierskich. Wydały mi się wybornymi



Ferma chińska w okolicy Rozjazdu 87.

XIII.

Nazajutrz obudziłem się przed świtem ze zbolałymi członkami i zamętem w głowie. Nie od razu mogłem zorientować się, gdzie się znajduję właściwie. Dopiero echa uderzeń, jak gdyby mi ktokolwiek tłukł nad uchem coś w mosiężnym mózdzierzu, wyrwały mnie z odrętwienia i sprowadziły do rzeczywistości.

Te echa, to były strzały armatnie, które nas już czwartą dobę prześladowały.

Przez zamarzte szyby przezierała różowa zorza, a na podwórzu rozpoczął się zwykły ruch poranny. U nas dieńszczycy usiłowali rozniecić ogień w jedynym piecu, jaki stał w rogu fanzy.

Czekałem przeciągając leniwie członki, aż atmosfera

ogrzeje się cokolwiek, aby wyleźć z worka. Zaskrzypiały drzwi i na progu zjawił się Matu.

Spotkał na ulicy jednego z naszych żołnierzy, zapytał się o nas i pospieszył z wizytą. Poczciwy Chińczyk wyrażał, jak mógł, swą radość, że nas zobaczył w dobrym zdrowiu. Japończyków widocznie bał się okrutnie i kiedy o nich była mowa, poważniał odrazu i jasnym było, że nierad o nich słyszy.

Główny lekarz niecierpliwie rozpytywał się go o to, co Chińczycy mówią o teraźniejszej bitwie.

— Citajz gowali, Rus, Tielina, Charbina, — odpowiadał wskazując ręką na północ.

— Zobaczmy jeszcze! — mruczał niezadowolony z chińskich przepowiedni pan naczelnik.

Po wyjściu Matu zjawiła się staruszka, żona fudutuna z Pekinu, właścicielka zajętych przez nas domów. Z fajeczką w żółtych, poszczerbionych zębach, weszła do fanzy, kołysząc się na miniaturowych nóżkach i ścisnęła każdego z nas za rękę. Mruczała coś przytem pod nosem, starając się ułożyć swą pomarszczoną, jak zwiędłe jabłko, twarz w najśłodszy uśmiech. Widocznie chodziło jej o to, aby wyrazić nam swe współczucie.

Miło nam było widzieć, iż zostawiliśmy w Pa-dia-dzy dobrą pamięć.

Po herbacie i posiłku złożonym z jaj na twardo i słoniny, naradziliśmy się co do tego, jak mamy z sobą postąpić. Zdecydowaliśmy wejść w porozumienie z naszymi obozami, które miały w ślad za nami wczoraj wieczorem wyruszyć pod Mukden. Musiały teraz stać tu w okolicy. Posłaliśmy najsprytniejszego żołnierza

z obozu konno, aby je odszukał i dał im znać, gdzie się znajdujemy. Przed południem wyszedłem na ulicę.

Spokój na niej panował zupełny, ani śladu tego gorączkowego ruchu, jaki ją dawniej ożywiał. Chińczycy gdzie się podzieli. Zauważyłem kilka nielicznych grupiek rozsianych pod domami na znacznej przestrzeni. Kiedy kierując się ku wrotom mukdeńskim, przechodziłem obok nich, rozproszyli się i nikt na ulicy prócz kudłatych tarzających się w pyłe psów nie pozostał. Zły to był prognostyk, widocznie Chińczycy unikali nas, obawiając się, aby ich kto nie posądził o jakiegokolwiek z nami stosunki.

Zawróciłem napowrót ku fanzie i przed jej wrotami spotkałem znanego mi policyanta tłumacza. Szedł zgarbiony i przygnębiony. Kwitnąca do niedawna zdrowiem i lśniąca, jak polerowana kula, twarz jego, żółta była teraz i pomarszczona, jak u starca.

— Co tobie takiego? — zapytałem, — chory jesteś?

— Nie, tylko się boję okropnie Japończyków, oni tu przyjdą niezawodnie, a wtedy czeka mnie »kontrami« (ścięcie). Oni tak postępują z wszystkimi Chińczykami, którzy służyli Rosyjanom za tłumaczów.

— To uciekaj, póki czas, do Telina.

— Nie pomoże ucieczka, wydadzą mnie Chińczycy. Oni tu wszędzie szpiegują na rzecz Japończyków.

Łzy zabłyły w oczach policyanta, a twarz posmutniała jeszcze bardziej.

Żal mi się go zrobiło i starałem się pocieszyć go, dowodząc, że wątpliwa to jeszcze rzecz, czy Japończycy dostaną się do Mukden. Perswazyje moje nie wiele po-

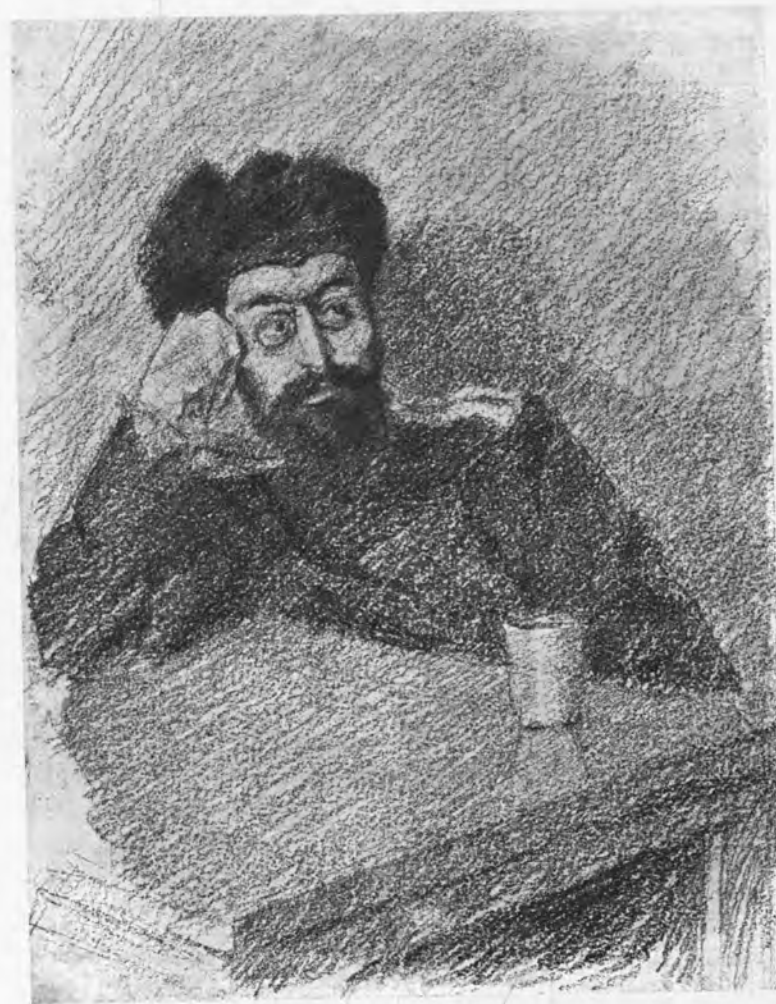
skutkowały, odszedł w milczeniu chwiejnym krokiem, również widocznie zdesperowany, jak przedtem.

Zbliżyła się pora obiadowa. Siadłem na konia, który dzień i noc stał osiodłany i ruszyłem na stację, a za mną w swym tarantasie obładowanym jak bryka żydowska, główny lekarz.

Zauważyłem drogą, iż od czasu, kiedy ostatni raz przejeżdżałem tą okolicą, zaszły tam duże zmiany. Zaczęto wznosić jakieś kolosalne budynki, z kamienia i drzewa, zapewne na koszary dla wojska; ilość szpitali wzrosła ogromnie, a przy dawnych kamiennych domkach, rozstawionych na placu przed stacją, w których mieściły się różne instytucje wojskowe, wyrosła cała osada, złożona z szałasów i bud drewnianych, skleconych naprędce z desek, przekrytych cynkową, falistą blachą lub matami.

Ominawszy szpitale, przy których leżały przykryte białymi płachtami rzędy trupów, czekających na pogrzebanie, wjechałem pomiędzy te budy, otoczone kupami śmiecia i odpadków, o które walczyły ze sobą zawzięcie chude psy chińskie, i zatrzymałem się przed jedyłą, jakimś cudem ocalałą dość ubogo wyglądającą fanzą, nad którą kołysał się na długim drażu szyld z napisem: »Restauracya Berlin«.

Przed drzwiami tej restauracyi stały dziesiątki wózków, tarantasów i innych wehikułów, a przy nich nie mało różnej maści i rasy wierzchowców. Przywiązawszy mego konia do ekwipażu naczelnika, wszedłem do obszernej niskiej izby, wyklejonej jaskrawym papierem w duże kwiaty. W głębi stał bufet suto zastawiony rozmaitej



Kolega z Kaukazu.

formy i treści butelkami, a cała sala była gęsto usiana stolikami, przy których zaspokajali głód oficerowie, urzędnicy, siostry miłosierdzia i nie mało cywilnych.

Pomiędzy tymi ostatnimi przeważały wschodnie typy. Od pierwszego rzutu oka można było podzielić zebraną w sali publiczność na dwie kategorie, takich co tu przyszedli z armii i takich, co się zdala od niej trzymali. Pierwsi, do których i ja należałem, czarni od pyłu, który im zalepiał twarze, z zaczerwienionymi częstokroć łzawiącymi oczami, w pomiętych i poplamionych połuszkach, wysokich, oddawna nieczyszczonych butach, lub walenkach, zgarbieni, ochrypnięci i kaszlący, drudzy w eleganckich ubiorach, wyswieżeni, pełni życia i pewności siebie, ze źle ukrywanym wstrętem patrzący na brudasów, którzy swym widokiem psuli im humor i apetyt.

Z trudnością znalazłem miejsce przy stoliczku pod ścianą, na której wisiała kolorowana litografia z podpisem: »Świetne zwycięstwo Rossyan nad Japończykami«.

Mundury kozackie zapełniały całą prawie przestrzeń obrazka, przed tymi mundurami rozbiegała się w panicznym strachu piechota japońska w jakichś fantastycznych czerwonych ubiorach.

Jak daleką była rzeczywistość od tej patryotycznej kompozycji, wypuszczonej w świat z jakiejś moskiewskiej drukarni! Obok mego stołu siedziało towarzystwo, złożone ze sztabowców. Sama młodzież, w czerkieskich ubiorach, o głowach wygolonych prawie, wykręconych do góry wąsikach, zuchwałych twarzach i oczach.

Bawili się dobrze. Na stole stały w niemałej ilości butelki, a szampan pieniał się w szklankach i różnych ko-

lorów i rozmiarów kieliszkach. Ożywiona rozmowa przeplatana głośnieym śmiechem toczyła się wartko, kpiono sobie z Japończyków i opowiadano o jakichś nikomu nieznanym sukcesach rosyjskich. Kuropatkin, jakoby, miał być najlepszej myśli, oczekiwano lada chwila pomyślnych wieści od dowodzącego ekspedycją, która miała zająć Japończykom drogę od strony Telina. Prawiono o jakichś posiłkach, które spieszyły z Charbina, zapewniano, że wszystkie ataki Japończyków na centrum odparł Bilderling z ogromnymi dla nich stratami. Leniewicz odrzucił nieprzyjaciela ku południowi.

Siedzący przy moim stole, chudy, zapyłony od stóp do głów stary kapitan, ogryzający z resztek mięsa kość trzymaną w palcach, zwrócił swą suchą, pomarszczoną twarz ku wesołej kompanii i rzuciwszy spojrzenie pełne pogardy, splunął energicznie, poczem, ulżywszy sobie widocznie, zabrał się znów do przerwanej uczy.

Po niezłym obiedzie, który mi smakował niezmiernie, gdyż od czterech dni, oprócz bulionu i herbaty, nie miałem żadnej innej ciepłej strawy w ustach, wybrałem się na stacyę. Przed peronem stał właśnie sanitarny pociąg, do którego wnoszono rannych.

Długim szeregiem od szpitali ciągnął się smutny korowód. Zawinięci w kozuchy i kołdry leżeli na noszach przy wagonach, jęcząc cicho, wychudli, o żółtych spalonych wiatrem i przesypanych pyłem twarzach ranni oczekując kolei.

Lekarze z pociągu starali się jak najszybciej załatwić z nimi i popędzali sanitarów, którzy z największym wysiłkiem wciągali lub wprowadzali przez wąskie

niewygodne wejścia do wagonów ciężko rannych. Lżej ranni wdrapywali się sami.

Silny wiatr południowy zasypywał wszystko kurzawą i piaskiem, a z poświstem jego dochodziły głośne echa wystrzałów armatnich, rozlegających się w pobliżu.

Kiedym, z nawpół przymrożonemi oczyma, aby je ochronić od piasku, wpatrywał się w zamgloną żółtopopielatym tumanem dal, z której płynęły odgłosy toczącej się bitwy, ktoś mnie ujął pod ramię i zapytał, co tu robię?

Odwróciłem się i poznałem kolegę, którego oddawna nie widziałem. Przywitałem się z nim serdecznie, a on zaprosił mnie na herbatę i pogadankę do pociągu, którym zawiadywał.

Kiedym przestąpił próg restauracyjnego wagonu, zatrzymałem się mimowoli onieśmielony czystością i komfortem, jaki tam panował. Tak odwykłem od normalnych warunków życia człowieka cywilizowanego, że wprost byłem skrępowany tem eleganckiem środowiskiem, do jakiego niespodzianie trafiłem, tembardziej, iż czułem jak śmiesznie, niezgrabnie i zaniedbanie wyglądam, z twarzą czerwoną jak burak, ze spuchniętymi, popękanymi od wiatru wargami, w zapyłonym podróżnym stroju, którego od czterech dni nie zdejmowałem z siebie.

W wagonie przy stole okrytym śnieżnym obrusem kręciła się obok dymiącego samowaru wysoka okazała brunetka, o wschodnich rysach i palących czarnych oczach, z lekkim wąsikiem na górnej wardze, w białym czystym fartuszkui takimże strojku na wysoko upiętych kruczych włosach. Przy niej siedział elegancki oficer sztabowy,

w bluzie z wielbłądziego sukna, całkiem pochłonięty ożywioną rozmową ze swą sąsiadką.

Wejście nasze przerwało widocznie interesujące tète à tète, gdyż gospodyni, której mnie przedstawiono, rzuciła w moją stronę niechętnie spojrzenie i, przysunawszy ku mnie szklankę z herbatą, niższym głosem zaczęła szeptać coś swemu kawalerowi. Szczęśliwi ludzie, pomyślałem. Za oknami wyje wicher i sypie piaskiem w szyby, aż wagon się kołysze, a ziemia aż drga od huku dział, a ich to nic nie obchodzi! Za parę godzin daleko już będą od tych wszystkich okropności, jakie nas otaczają.

Do wagonu wszedł elegancki niewysoki jegomość, z jasną przyciętą bródką, w uniformie ministerjum dworu.

Kolega przedstawił mnie. Był to główny chirurg armii von Wreden, który wizytował właśnie szpitala. Zawiązał ze mną rozmowę, wypytując się ciekawie, skąd jadę i przez jakie przechodziłem koleje.

Pytał mnie, jak się sprawiły w czasie tej bitwy lazarety dywizyjne i pułkowe punkta opatrunkowe w naszej dywizyi.

Odpowiedziałem, iż lazaret dywizyjny zwinięty od pierwszego dnia bitwy, a punkta opatrunkowe funkcjonowały bardzo źle, gdyż nie mogły pracować przez dłuższy czas, wskutek silnego ognia japońskiego i ciągłej zmiany pozycyi naszych wojsk. »Więc ranni pozostają na polu bitwy bez żadnej pomocy?« »Przeważnie, tak« odparłem. »O panów nie pytam«, dodał, uśmiechając się ironicznie »panowie pilnują swych bagaży, a nie rannych«.

Dano znać, że pociąg gotów do drogi, pożegnałem

gościnnego kolegę i z żalem opuściłem wagon, w którym spędziłem kilka chwil przyjemnych.

Powróciłem do Pa-dia-dzy, aby wsunąwszy się w swój worek zdrzemnąć trochę.

Przed wieczorem zjawił się posłany dla odszukania obozów ordynans i przywiózł list lekarza dywizji. Ten donosił, iż zatrzymał się na lewym brzegu Chuń-che w wiosce odległej od nas o 4 kilometry. Nie wie, gdzie się znajduje sztab dywizji, a nam rozkazuje, abyśmy czekali w Pa-dia-dzy na dalsze rozporządzenie.

Noc spędziłem, jak poprzednią, a nazajutrz obudziłem się przy odgłosie tej samej piekielnej muzyki, co wczoraj. Ledwieśmy ukończyli herbatę, wpadł do nas zaferowany i wzruszony, jak zawsze, aptekarz i oznajmił, iż chodzą wieści, jakoby Leniewicz odniósł zwycięstwo nad Japończykami i ma stanąć o południu w Laojanie. Tylko co właśnie przeleciał przez wieś kozak z zapieczętowanym pakietem do Kuropatkina, w którym były te nowiny.

Dziwnem się nam wydało, jakim sposobem aptekarz mógł poznać treść zapieczętowanego pakietu, ale pominałszy ten fantastyczny dodatek do jego opowiadania, nie mieliśmy racji niewierzyć jego słowom.

Na wojnie, kiedy tyle zależy od wypadku, wszystko jest możebnem, tembardziej przy tak rozciągniętej linii bojowej. Mogli Japończycy zwyciężyć na prawem skrzydle, a Leniewicz na lewem.

Rozjaśniło się zachmurzone oblicze pana naczelnika i kiedy Matu, który od rana już siedział u nas, wyciekając na zamówienie różnych prowizji, które miał dla

nas nabyć w mieście, zapytany przez niego, co myślą Chińczycy o wyniku bitwy, dał zwykłą stereotypową odpowiedź »Citajz, gowoli Rus, Tielina, Charbina«. —
— Łżesz! — krzyknął — my dzisiaj będziemy w Laojanie!

Przed południem przyniesiono nam ze stacyi numer »Wiestnika Mandżurskich Armii«.

W zwykły, zawiły, pełen niepotrzebnych detali sposób opisywał pan Pilenko wypadki dnia poprzedniego. Rozwodził się szeroko nad bohaterstwem wojsk, które zawładnęły po całodziennej walce dwoma kartaczońcami; wymieniał nazwiska wsi, przy których miały miejsce ważniejsze potyczki, nie czyniąc żadnej wzmianki o tem, czy zostały one w rosyjskim ręku, czy też przeszły do Japończyków, — jednym słowem, karmił czytelnika jakimś bigosem tak niezdecydowanego smaku, iż najsprytniejszy umysł nie był w stanie wykombinować, kto zwycięża, Rosyjanie, czy Japończycy.

Jedno tylko było wyraźnem, a mianowicie, że ekspedycja generała B., który miał zatrzymać od strony Tielinu oskrzydający ruch Japończyków, nie powiodła się. O Leniewicz nie było ani słowa.

Położenie widocznie stawało się coraz bardziej krytycznem.

Nie mając nic do roboty, wyszedłem z kolegami za wieś i wdrapawszy się po stromej ścieżce na jeden z wysokich pieców do wypalania cegły, na którego płaskim wierzchołku stała już kupa ludzi, zacząłem przez szkła oglądać okolicę, aby wyrobić sobie jakie takie pojęcie o sytuacji.

Od zachodu za stacyą i linią kolei widać było roz-

stawione w dość znacznych odstępach oddziały wojsk, stanowiące widocznie rezerwę. Przed nimi, za krzakami i pagórkami ukrywała się artyleria ze swymi znajdującymi się w pobliżu baterii zaprzęgami. Przed artylerią dawała się miejscami rozróżnić linia strzelców leżących na ziemi. Nad tymi ostatnimi od czasu do czasu zjawiały się w powietrzu białe obłoczki pękających granatów nieprzyjacielskich.

Od strony Chuń-che dochodziły echa bardzo gęstych strzałów armatnich, widocznie Japończycy kierowali w tę stronę silny ogień. Od czasu do czasu od stacyi ku mostowi przebiegały szybko krótkie pociągi, przewożące widocznie amunicję i zabierające rannych.

Stałem przez godzinę prawie na wzgórzu, obserwując różne ewolucje oddziałów wojskowych, aż zerwał się wiatr i czystą dotąd atmosferę zamącił żółto-popielatym tumanem i zakrył wszystko przed mym wzrokiem.

W powrotnej drodze spotkałem dziwny oddział wojska, idący w kierunku miasta. Byli to żołnierze, którzy nie mieli uniformów, ale najróżnorodniejsze, przeważnie kaukazkie ubiory na sobie. Byli między nimi starzy i młodzi, różnego wzrostu i postawy. Szli bez żadnego ordynku, uzbrojeni w jatagany, rewolwery, pistolety i karabiny różnych systemów.

Wyglądali na bandę zbójczą, a nie na wojsko.

Spytałem jednego z nich, skąd są? Odpowiedzieli, iż są z oddziału pułkownika Madrytowa.

Gdzie się oni kryli i co robili przez cały czas wojny, nikt nie wiedział. Teraz wypłynęli na świat Boży, nie wiadomo w jakim celu.

Kiedym po południu jechał znów na obiad do »Berlińskiej restauracji«, trafiłem na przegląd milicyi chińskiej, który odbywał się właśnie na placu przed stacją kolei.

Milicyę tę stworzył Kuropatkin w nadziei, iż będzie miał z niej wielki pożytek. Wydało mu się, iż Chińczycy za trójkolorowe epolety, które im pozwalano nosić, i lichą gażę, będą służyć wiernie rosyjskiej sprawie i okazywać niemałą pomoc kawaleryi w służbie wywiadowczej.

Teraz przyszła widocznie pora, aby pokazali, iż są godni zaufania, jakie w nich pokładano. Robiono przegląd, aby potem, wystawiwszy na ogień nieprzyjacielski, wypróbować ich męstwo i wierność.

Zabawnie wyglądała ta rewia. Szeregi z wielkim mazołem ustawiane ledwie się trzymały. Nienawykłe do dyscypliny koniki mandzurskie, kierowane niewprawną ręką jeźdźców, kręciły się niesfornie, tembardziej, że straszyla ich chińska muzyka, rozdzierająca powietrze niezwykłą kakofonią. Dowodził oddziałem brzuchaty podpułkownik kozacki w wilczej papasze i zawadyacko podkręconych wąsach. Rzucił się na swym koniu i wrzeszczał jak opętany, a porządku było mało.

Przypatrujący się temu żołnierze rosyjscy, głośno kpili z kłopotów dowódcy.

Nie doczekałem się przybycia generała; — obawiając się, abym nie stracił obiadu, pospieszyłem do restauracji.

Ścisk tam panował jeszcze większy, niż dnia poprzedniego. Nasycone dymem tytoniowym i kuchennymi

wyziewami powietrze ścisnęło za gardło, a gwar głośnej rozmowy, przerywanej od czasu do czasu echem pijackiej piosenki, wydobywającej się z za cienkiego przepierzenia stanowiącego ścianę oddzielnego gabinetu, szumiał w uszach niesforną gamą.

Usiadłem znów przy tym samym stoliku, co wczoraj, w sąsiedztwie dwóch młodzieniaszków.

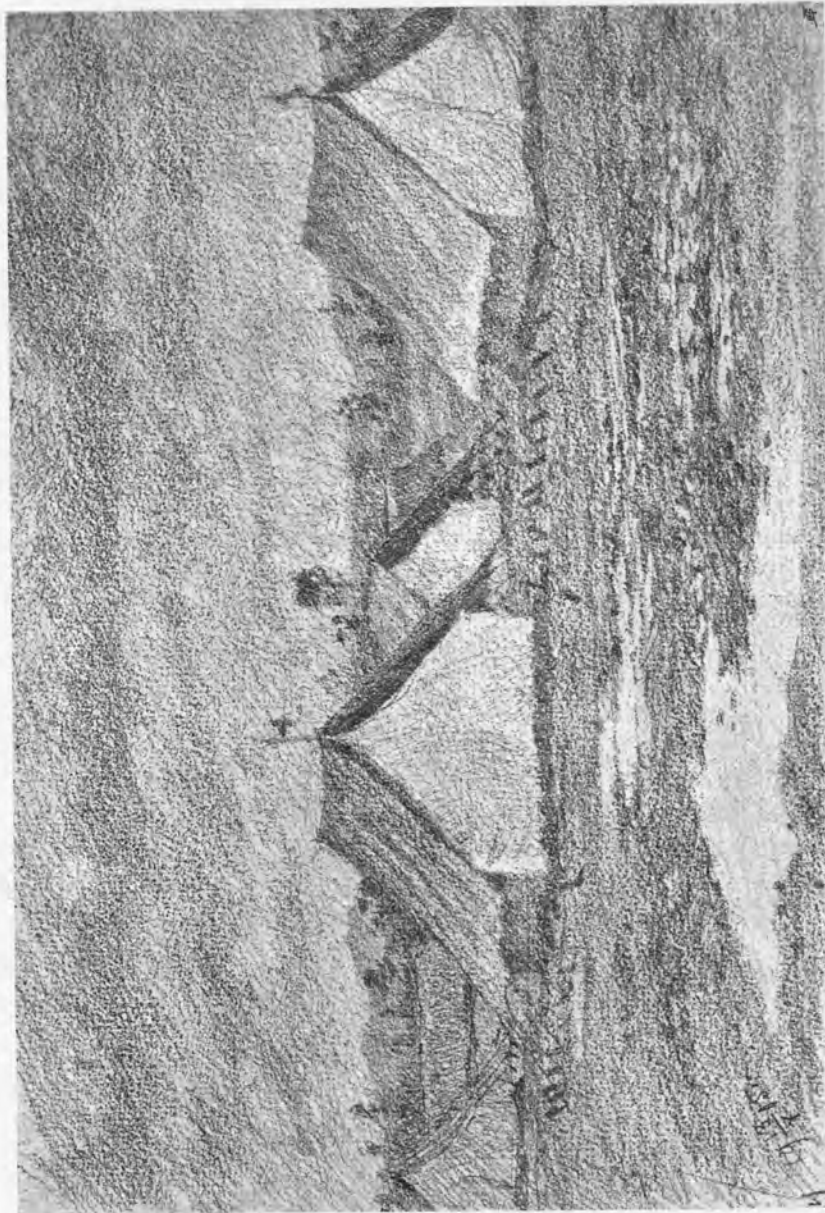
Jeden z nich, oficer artylerji, z dziecinną prawie, różową, bez zarostu twarzą, z zapałem tłumaczył coś zasłuchanemu w jego mowę eleganckiemu, również dziecinnie wyglądającemu lekarzowi.

Byli to dwaj przyjaciele, których los sprowadził razem w tej obskurnej restauracji w chwili, kiedy się toczyła bitwa niedaleko od niej. Spotkanie było dla obu niespodzianką; — artylerzysta przyjechał na obiad od baterji przy moście na Chuń-che, lekarz wysiadł w tym samym celu z sanitarnego pociągu.

— Nie uwierzysz, jak się nam powodzi, z zapałem mówił artylerzysta, tłuczemy Japończyków niemiłosiernie! Co strzał, — walą się ich kupy całe! Ale uporczywy to naród, pełzną znowu na nas, jak kałaluchy! Wytrzebimy ich niemało, zanim zmusimy do odwrotu!

— Do odwrotu? — ze smutnym uśmiechem odezwał się lekarz, ależ, o ile mi wiadomo, nieszczególnie stoją nasze sprawy; Kaulbars podobno rozbity zupełnie.

— W istocie dotąd nie powodziło się nam trochę, ale teraz zmienił się stan rzeczy. Zatrzymaliśmy ich i nie damy zrobić ani kroku naprzód, a może nawet sami będziemy atakować!



Słotny dzień.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, słysząc te słowa wygłaszane tonem młodzieńczej stanowczości.

— Pan temu nie wierzy? zwrócił się z przekąsem ku mnie podporucznik.

— Nie wierzę! — odparłem krótko — według mej opinii pozycja armii rosyjskiej jest fatalna!

Lekarz spojrział uważnie na mnie, a artylerzysta zwrócił rozmowę na inny temat.

Wczorajsze towarzystwo sztabowców siedziało w pewnym oddaleniu odemnie i wydawało się w równie wesołym nastroju, jak dnia poprzedniego.

Szampan pienił się znów w kieliszkach, a jeden z uczestników biesiady podniesionym głosem, z ręką wzniesioną do góry zapraszał kolegów na jutro na obiad do Laojanu. Huczne hurra było odpowiedzią na ten koncept i wszyscy powstali, aby potraścić swe kieliszki o kieliszek mówcy.

W tej chwili z bocznych drzwi, prowadzących do gabinetu, skąd przedtem już dochodził dziki śpiew, wytoczył się, słaniając na nogach, z kieliszkiem w ręku pijany podpułkownik kozacki, udekorowany orderem św. Włodzimierza z mieczami.

Usłyszawszy okrzyk radosny zatrzymał się, poprowadził osowiałym wzrokiem dokoła i, łypnąwszy parę razy nabrzmiętymi powiekami, ochrypłym głosem ryknął:

— Nie zwyciężycie ich s...syny! nie zwyciężycie! Ja ich znam, ja stamtąd przybyłem — tu machnął ręką poza siebie, — bili nas i bić będą!

Zatrzymał się przez chwilę, jakby oceniając wrażenie, jakie słowa jego zrobiły na otaczających, potem:

»Wódki, gałganie!« wrzasnął w stronę bufetu i zachwiał się tak, że byłby runął na ziemię, gdyby go nie podtrzymano.

Przykre wrażenie na wszystkich zrobiła ta scena. Podpułkownika wciągnięto napowrót do gabinetu, sztabowe towarzystwo wyniosło się gdzieś milczkiem.

Tego dnia odczuwaliśmy kanonadę wyraźnie w restauracyi. Stoły trzęsły się, widelce i noże podskakiwały a talerze dygotały.

Zapytałem usługującego mi chłopaka w czerkieskim stroju, czy nie boją się Japończyków i kiedy myślą zamknąć zakład. Odpowiedział, iż będą trzymać się do ostatniej chwili. Oni już przyzwyczajeni do tego, uciekali już z Wafangou i Laojanu; zresztą, gdyby trafili do niewoli, nicby się im nie stało, nie są przecież żołnierzami.

Po obiedzie podążyłem znów na peron. Słońce świeciło jasno, wiatr ustał, ruch na stacyi panował ogromny. Tylko co stanął pociąg z wojskiem z Rosyji. Byli to strzelcy ze Zmierzynki. Wyskakiwali szybko z wagonów, formowano ich w szeregi, gdyż natychmiast mieli się udać na pozycje. To samo miało miejsce pod Wafangou, Laojanem i Szache. Wtedy, jak i teraz, rzucono zmęczonego długą podróżą, nieobeznanego z krajem i nieprzyjacielem żołnierza odrazu z wagonu w bój.

Oficerowie zaferowani, z poważnemi minami pilnowali wyładowywania drewnianych skrzynek z nabojami. Mimowolnie rzuciłem okiem na napisy. Stało na nich: Löwe-Berlin. A więc neutralny sąsiad, dla zysku, nie wahał się łamać prawo międzynarodowe.

Schodząc z peronu, spotkałem oficera jednego z puł-

ków naszej dywizji, który przybył z pozycji na stację, aby się posilić. Mówił mi, że walczą o parę wiorst stąd. Straty nasze ogromne, niektóre pułki mają już tylko połowę ludzi. Japończycy prą bez przerwy w dzień i w nocy z jakąś nieludzką wytrzymałością.

Obecnie starają się przerwać nam ruch kolejowy i już im się to na krótki przeciąg czasu udało. Teraz gorąca walka toczy się koło stacji Chuoszitaj, pierwszej od Mukdena na północ; jeżeli Japończykom uda się nią załapać, zamkną nam drogę do odwrotu.

Ledwie pożegnał mego interlokutora, zbliżył się ku mnie, z promieniącą twarzą, mój naczelnik. Tylko co widział Kuropatkin, który wesoło rozmawiał z otaczającymi go generałami. Miał możliwość pogadać z adiutantem głównodowodzącego, który potwierdził, iż nadeszły pomyślne wieści od Leniewicza, ale jakie, on sam nie wie. »Jutro dowie się pan«, zakończył, »a tymczasem proszę być dobrej myśli«.

Nie wiązało się to zbyt z tym, com poprzednio słyszał, ale trudno też było osądzić, kto miał rację.

Kiedym szedł ku memu koniowi, zauważyłem, że za stacją rozpoczął się jakiś niezwykły ruch. Widocznie trwoga zaczęła przenikać stopniowo do wnętrza tych wszystkich bud i szałasów, które do niedawna kipiały wesołym życiem. Wyciągano z nich pospiesznie rozmaite rupiecie i układano na chińskie arby. Brodaci kacapi, ormianie i czerkiesi wynosili paki i paczki, a tłum Chińczyków przyglądał się szyderczo tej gorączkowej pracy. Tuż przy relsach, obok stacji wznosiła się cała góra posyłek dla armii; teraz urzędnicy pocztowi wrzucali je

pospiesznie do wagonów, aby je wyprawić napowrót na północ.

Niedaleko Pa-dia-dzy spotkałem na szerokiej drodze, prowadzącej ku stacji, od strony pozycji, toczące się na wysokich lawetach, zaprzężone w 8 koni ciężkie działa. Wywożono je z fortów i okopów na kolej. Niewątpliwie Kuropatkin gotował się do odwrotu. Pogłoski o rzekomych tryumfach Leniewicza rozpuszczano dla pokrzepienia gasnącego ducha armii.

Kiedym pod wieczór wdrapał się znów na kopiec za wsią, gołem okiem widziałem już wyraźnie na pomarańczowo-żółtem tle zachodu zielone ogniki pękających granatów. Japończycy zbliżyli się do nas za dzień znów o parę wiorst.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła nazajutrz, kiedym opuszczał fanzę, był Chińczyk, który na drabinie pospiesznie smarował na szary kolor pobielone przez nas niegdyś mury. Domyśliłem się, co to miało znaczyć; starano się zatrzeć ślady naszej bytności.

Jeszcze bardziej upewniłem się o tem, kiedym zauważył, wyszedłszy na ulicę, że dwa krzyże z blachy pomalowanej na czerwono, które umocowaliśmy na słupach przy wrotach od frontu zagrody, zniknęły. Widocznie Chińczycy mieli wielką pewność, iż niedługo będziemy tu popasać.

Od strony stacji już słyszeć się dawał w chwilach, kiedy słabnął grzmot dział, trzask salw karabinowych i terkotanie kartaczońnic. Wysoko nad horyzontem wypływały okrągłe, kuliste obłoczki i stopniowo topniały w jasnych promieniach świeżego wiosennego poranku.

Daliśmy rozkaz, aby obóz był gotów w każdej chwili do wymarszu i posłaliśmy ordynansa do lekarza dywizji, donosząc o sytuacji. Przed południem wrócił posłaniec i przywiózł rozkaz, abyśmy niezwłocznie opuścili Padia-dzy i połączyli się z obozami dywizji, które stanęły u wschodnich bram Mukdenu.



Konik mandżurski.

XIV.

Szybko wyciągnął się nasz obóz na pustej ulicy i ruszył wzdłuż glinianej zagrody otaczającej przedmieścia.

Dzień był zupełnie wiosenny. Słońce przygrzewało; na ogrodach koło miasta krzatali się Chińczycy, przygotowując role pod posiew.

W miarę tego, jak okrążaliśmy miasto, huk dział słabnął, aż umilkł zupełnie, kiedyśmy stanęli na jego wschodniej stronie. Widocznie wysokie mury tamowały zupełnie ruch fali powietrznej, niosącej echa bitwy ku nam.

Pod niewielką ukrytą wśród owocowych drzew wioszczką spotkaliśmy obozy naszej dywizji biwakujące w czystym polu. Stanęliśmy przy nich i zajęliśmy dla siebie na nocleg małą fanzę na wzgórku. Stary Chińczyk, właściciel zagrody ucieszył się bardzo z naszego przybycia, rad, że nie będzie miał u siebie żołnierzy.

Fanza była tak małą, iż mieliśmy tylko jedną dość krótką kanę do spania na nas wszystkich, ale ciepło w niej

było i dość schludnie; — jednym słowem, czekał nas wygodny nocleg. Przed posiłkiem, który nam przyrzędzają siostry, wyszedłem na podwórze, aby obejrzeć okolicę.

Przedemną ku południowi ciągnął się w niewielkiej od nas odległości szereg wzgórz niewysokich, między którymi płynęła Chuń-che. Od wschodu zarysowywała się szczyrbata linia gór pokrytych śniegiem, na których chyłące się ku zachodowi słońce kładło gorące barwy. Od północy i zachodu padał ku nam siny cień od wysokich murów Mukdena.

Głęboki spokój i cisza rozlane w ciepłym powietrzu przyniosły niezwykle ukojenie rozdrażnionym tyłu przykremitym wrażeniami nerwom. Zapomniałem o bitwie i z rozkoszą śledziłem za zmianą barw, tonów i cieni na rozległym krajobrazie, który się roztaczał przedemną.

Noc nastąpiła równie piękna, jak wieczór, ale z niej nie korzystał, gdyż zaraz po zachodzie słońca rzuciłem się na posłanie i zasnąłem głębokim snem, ścisnięty jak w kleszczach między dwoma kolegami. Obudziłem się przed wschodem słońca.

Na dworze przymrozek był tęgi, dachy i ziemia powleczone były gęstym szronem. Różowy blask, wydobywający się z poza krawędzi gór, które tonęły w sianej mgłę, nasycił powietrze delikatną barwą i malował zlekka wierzchołki dachów, na których trzepotały się, ćwierkając wesoło, wróble.

Od strony Chuń-che szedł wolno jakiś wyciągnięty w długą linię liczny orszak, niby pochód żałobny, z wznoszącymi się nad nim chorągwiami.

Gdy się zbliżyli ku nam, rozróżniłem kupy żołnierzy niosących na swych barkach nosze przykryte zwisającymi płaszczami i kożuchami. Zatrzymali się niedaleko od nas, a po chwili podszedł oficer z prośbą, abyśmy zechcieli przyjąć rannych, których dźwigają już przez całą noc prawie.

Niestety, musieliśmy odmówić, gdyż szpital był zwiniełym. Poradziliśmy, aby ich odstawiono natychmiast do stacyi.

Ciekawi byliśmy dowiedzieć się, skąd się tu wzięli ci żołnierze i z jakiej są armii. Otrzymaliśmy odpowiedź, iż należą do 3-ej armii, — Bilderlinga.

Wczoraj o 9-ej wieczorem Japończycy złamali ich lewe skrzydło i zmusili do pospiesznego odwrotu, teraz cała trzecia armia cofa się ku Chuń-che.

Spojrzałem mimowoli w tę stronę i zobaczyłem, jak z poza wzgórz wypływała z przesmyków strumieniami rzeka ludzka i rozlewała się przed nami na równinie.

Powolnym, miarowym krokiem posuwali się ludzie bez żadnego porządku i ordynku niosąc, nad sobą pochylone sztandary i znaczki. Szli w głębokim milczeniu, przygnębieni, z wyrazem rozpaczliwej zaciętości w szarych wyciągniętych twarzach.

Były to rdzennie rosyjskie pułki, odbywające kampanię od początku wojny, od Tiurenczenu, Wafangou i Laojanu, — najlepsze wojsko, jakie posiadał Kuropatkin. Ustępowali po krwawej, zaciekłej walce, zmożeni przemocą, a może wskutek jakiego nowego błędu strategicznego generałów, ale nie złamani, — gotowi z upor-

czywą zaciętością bronić się do ostatniej kropli krwi. Byli to wszystko prawie ludzie niemłodzi; szerokie brody spadały im na piersi, a długie włosy na ramiona; na głowach mieli wywrócone podszewką papachy, rudo-żółte wypłowiałe i wytarte szynele zwisały im z barków, na nogach mieli różnobarwne, najczęściej powykrzywiane i dziurawe wolenki.

Robili wrażenie nie wojska, lecz jakiegoś chłopskiego pospolitego ruszenia.

Oficerów było niewiele i ci wyglądali jeszcze więcej przygnębieni i wymizerowani, niż żołnierze.

Powoli wojsko to zaczęło odchodzić od rzeki i rozstawiać się za nami. Przed nami pod wzgórze zajęła artyleria. Znaleźliśmy się w bardzo krytycznej pozycji; gdyby nieprzyjaciel zaczął nas ostrzeliwać, znaleźlibyśmy się niechybnie pod ogniem. W tej chwili podjechał do nas na spienionym koniu elegancki oficer generalnego sztabu i zapytał, czy nie wiemy, gdzie się znajduje sztab dywizji; odpowiedzieliśmy, iż nie wiemy. Oficer zrobił rozpaczliwy ruch ramionami, zawrócił konia i pocwałował, jak szalony, napowrót.

Przed południem na drodze od rzeki ukazał się długi szereg dwukołowych wózków, — był to lazaret nasz dywizyjny, a przy nim lekarz dywizji, który nam przywoził rozkaz, abyśmy z nim i obozami wyruszyli niezwłocznie mandaryńską drogą do Telinu.

Teraz niewątpliwem było, że bitwa przegrana i chodzi tylko o to, aby nie dać się okrążyć przez nieprzyjaciela.

Kiedy, po naprędcie zjedzonym śniadaniu, siadaliśmy

na koń, przyprowadzono nam do opatrunku kozaka z przestrzeloną ręką. Przyleciał do nas w całym pędzie z za rzeki, wystraszony okrutnie, gdyż całkiem niespodzianie spotkał konny patrol japoński, który go ranił.

Szli więc Japończycy nam po piętach i nie mieliśmy czasu do stracenia.

Nasz szpital ruszył pierwszy. Aby wyjechać na mandaryńską drogę, trzeba było okrążyć miasto od wschodu i dotrzeć do północnej jego bramy, od której zaczynał się ten gościniec. Z początku nikt nas nie krępował w naszym marszu, — droga była zupełnie wolna. Dopiero u wschodnich bram, strzeżonych już teraz przez chińskie wojsko, szyderczo się nam przyglądające, zaczęły nam zastępować drogę stada bydła, które pędzono pospiesznie na północ. Wykręcaliśmy się wśród nich, jak mogliśmy i dopiero około drugiej godziny stanęliśmy przed północnymi wrotami Mukdenu. Tu się odbywały sceny nie do opisania. Obozy, transporty wojskowe, prywatne zaprzęgi, bydło i spieszący w odwrotnym kierunku ku miastu Chińczycy, — mieszkańcy okolicznych wsi, z całym ich dobytkiem, złożonym na arby i wózki, sparli się w jednym punkcie, tworząc kolosalnie zagmatwany wir, tonący w obłoku kurzawy, z którego dochodził skrzyp kół, trzask łamiących się osi, spadających pak i skrzyń, wykrzykniki i przekleństwa poganiaczy, klaskanie i odgłos uderzeń batów.

Nie było sposobu wjechać w tem miejscu na główny trakt. Skręciliśmy na boczną drogę, wijącą się wśród mogił i odjechawszy od miasta na parę wiorst, złączyliśmy się z szalonym potokiem, który parł na północ.

Teraz znów dochodziły do nas odgłosy bitwy. Granaty przelatywały tak blisko, że słychać było ich śpiew melancholijny, przypominający muzykę bąka metalicznego, wirującego szybko na gładkiej powierzchni.

Przed zachodem słońca stanęliśmy we wsi Ertchaidzy, gdzie był obszerny etap. Wiele obozów zatrzymało się tam, aby zanocować, my ruszyliśmy dalej.

Droga stawała się zupełnie znośną, — przed nami wspinał się na stromą górę długi obóz.

Ludzie pomagali koniom, podpierając wozy i ostrożnie je przeprowadzając nad brzegiem przepaści, która otwierała się na stoku góry. Zatrzymaliśmy się na chwilę przed wjechaniem na nią, aby dać wytchnąć koniom i ludziom.

Niedaleko od nas, na wzniesieniu stała prześliczna pagoda. Delikatnie rzeźbione jej wrota, fronton i szare mury nabrały w promieniach zachodzącego słońca seldynowej barwy, mieniającej się błękitno-zielonymi tonami. Na kamiennych stopniach schodów, które prowadziły do pagody stali bonzowie, przypominający zupełnie z powierzchności mnichów rosyjskich, i przyglądali się nam.

Jadący przed nami obóz przepchał nareszcie ostatni wóz przez wąską przełęcz i przyszła kolej na nas.

Kiedyśmy stanęli po drugiej stronie wzgórza, słońce tylko co znikło za horyzontem i cała zachodnia część nieba pławiła się w ognistym morzu purpurowo-złocistych blasków, na tle których ostro się odcinały fioletowe sylwetki wysokich sosen, rosnących w tym miejscu niewielkimi kępami przy plancie kolei. Od północy sunął się leniwie długi pociąg, pykając ospale z komina.

Raptem nad lokomotywą zawisł zielonkawo-biały obłoczek i rozległ się suchy trzask. Pociąg zatrzymał się zmieszany widocznie tą niespodzianką, potem całą siłą pary ruszył ku Mukdenowi.

Po zachodzie słońca szybko zapadł zmrok. Trzeba było zatrzymać się na nocleg. Zjechaliśmy z mandaryńskiej drogi ku ukrytej na dnie głębokiego parowu cichej wioseczce. Boki parowu porastał gęsty las, a na dnie jego szumiał strumyk. Zdecydowaliśmy przeprowić się przez ten strumyk i stanąć obozem na odkrytej polance pod wsią.

Ledwieśmy przeciągnęli pierwsze nasze wozy przez liche mostek, doszedł naszych uszu cwałującego konia, a po chwili usłyszeliśmy wołanie: »Stójcie, stójcie, dokąd was dyabli prowadzą, czy nie wiecie, że Japończycy przed nami?«

Zatrzymaliśmy się. Po chwili podjechał ku nam wzruszony bardzo pułkownik S. naczelnik naszych obozów i jął dowodzić, że nie mamy prawa wyrywać się naprzód, gdyż nie możemy polegać na naszych ludziach, a kawalerya japońska jest już wszędzie wkoło nas. Powinniśmy zawrócić zaraz na mandaryńską drogę i zatrzymać się przy obozie dywizji.

Tłumaczyliśmy się tem, że nie mieliśmy pojęcia o niebezpieczeństwie, jakie nam grozi i gotowi jesteśmy natychmiast nasz błąd naprawić.

W istocie główny lekarz dał rozkaz, aby wozy zawróciły na górę. Po omacku dotarliśmy do mandaryńskiej drogi i stanęliśmy na polu pod wioską Julinpu.

Wokoło nas, jak okiem zajrzeć, paliły się gęsto roz-

siane ogniska, przy których układali się do snu znużeni żołnierze. Mróz brał tęgi. Zląłem z konia i słaniając się na zmęczonych nogach, skierowałem się ku najbliższej fanzie, przed którą paliła się z trzaskiem kupa gałęzi.

Wszedłszy do wnętrza fanzy zastałem tam już kilku oficerów. Jedni już spali, drudzy pili gorącą herbatę.

Spotkałem między nimi kilku znajomych, którzy ofiarowali mi kącik przy nich, w rogu pod ścianą na wiązce siana i napioli chińskim nektarem.

Trafiłem między Rusinów, którzy naradzali się właśnie w swym języku nad tem, jak rozstawić czaty. Zapadła decyzja, aby każdy oddział wystawiał ze swej strony wartowników od pola. Sen zmorzył mnie szybko, nie długo jednak spałem, gdyż obudził mnie niezwykle ruch w fanzie. Przy świetle latarki stojącej na stoliku ujrzałem ubrających się szybko oficerów, a za ścianą słychać było raz po raz suchy trzask strzałów karabinowych. Zapewne napadli na nas Japończycy, pomyślałem, szukając po omacku rewolwera.

Oficerowie wyskoczyli za drzwi, a po chwili wystrzały ustały. Powrócili ze śmiechem. Okazało się, że nasi wartownicy ostrzeliwali bydło, które wzięli w ciemnościach za japońską kawaleryę. Nie pomogły krzyki pastuchów, nie wierzono tym krzykom, podejrzewając fortel. Dopiero przybycie oficerów położyło koniec niebezpiecznej strzelaninie.

Po tym wypadku zasnąłem głębokim snem, aż do rana. Kiedym otworzył oczy, szary zmrok oświecał wnętrze fanzy, z której wynoszono już tobołki i torebki z prowizją.

Oficerowie spieszyli ku swym oddziałom, aby natychmiast udać się w dalszą drogę.

Na dworze świtało. Na rozżarzonych węglach pozostałych od przepalonych ognisk, żołnierze nasi grzali w kociołkach wodę do herbaty.

Cała dolina zasnutą była siną przędzą dymów, ściągających się nisko nad ziemią. W powietrzu klekotało, jak gdyby tysiące pęcherzy pękało na powierzchni jakiegoś olbrzymiego kotła z wrzącą wodą.

Były to echa strzałów karabinowych, wychodzące z poza niewysokiego nasypu kolejowego, odległego od nas o jakie kilkaset kroków. Od czasu do czasu waliła nam nad samym uchem bateria nasza, ukryta na przeciwległej stronie parowu, w którym staliśmy.

Pociski przelatowały, wyjąc nad naszemi głowami i potem dochodziły do nas echa ich wybuchów.

W naszym obozie sposobiono się do wymarszu. Z furgonu, w którym nocowały, wypęły siostry i piły na świeżem powietrzu gorącą herbatę, którą im do kubków nalewali deńscy.

Przyszedł rozkaz, abyśmy ruszali ostatni.

Przez dwie długie godziny przypatrywałem się temu, jak obozy dwóch dywizji, które nocowały we wsi, wyciągały się, wóz za wozem, na mandaryńskiej drodze.

Oczekując lada chwila sygnału do wymarszu, siedzieliśmy na niecierpliwących się koniach i przysłuchiwałem się wyciu granatów. Japończycy zaczęli ostrzeliwać naszą baterię i stopniowo wywiązał się pojedynek artyleryjski nad naszemi głowami.

Co chwila podjeżdżał ku mnie jeden z kolegów se-

mickiego pochodzenia zapytaniem, czy długo będziemy tu jeszcze stali. Radziłem cierpliwość. »A jeżeli który granat nie doleci na tamtą stronę i spadnie wśród nas?« »To nas rozerwie na kawałki i na tem koniec!« odparłem. »Nie lubię takich żartów!« odrzekł ze strwożoną miną. W tej chwili inny kolega, który zbliżał się właśnie ku mnie, aby prawdopodobnie zadać to samo pytanie, zbladł jak chusta i runął z konia na ziemię. Zemdlał biedak ze wzruszenia.

Ocuciliśmy go i wpakowaliśmy między siostry do furgonu.

Dano sygnał do wymarszu.

Słońce już zeszło i wyłociło nad horyzontem wyciągnięte ku północy długie wąskie chmurki, zapowiadające wietrzny dzień.

Na wybrukowanej dużymi głazami, pełnej wyboi mandaryńskiej drodze rojło się od ludzi i zaprzęgów, — wszystko spieszyło na łeb na szyję ku Telinowi.

W lewo od drogi toczyła się bitwa. Długie łańcuchy piechoty, leżącej na ziemi, czerniały na polu. Artylerya, z ukrytymi za laskami zaprzęgami, stała bliżej nas, na wzgórkach widnieli naczelnicy z lornetami w ręku, koło nich wierzchowce i kupki ordynansów i kozaków.

Od czasu do czasu przecinali równinę w różnych kierunkach jeźdźcy, niosący zapewne rozkazy.

Wkrótce zaczęliśmy zjeżdżać po dość znacznej pochyłości w szeroką dolinę ku dużej wsi Tawa. Tu wrzała najgorętsza walka. Wieś ta leżała na jednej linii z niezbyt oddaloną stacją kolei Chusztaj, którą Japończycy starali się zająć już od paru dni.



Po tajfunie.

Na złotem polu, na którym sterczały suche źdźbła wysoko nad ziemią zżętego gaolanu, co chwila pękały japońskie granaty nad naszą piechotę, a kiedyśmy zjechali w dolinę, o paręset kroków od drogi błysnął na ścienisku czerwony ogień, wzniosł się wysoko słup dymu, i kurzawy i jednocześnie rozległ się suchy trzask. Widocznie Japończycy starali się dosięgnąć, jak to u nich było w zwyczaju, rezerwy, leżącej na prawo od nas w rowie.

Po pół godzinie takiej miłej drogi zostawiliśmy pole bitwy za sobą i wzniesiliśmy się na płaskowzgórzu okolone od wschodu wysokimi górami. Z przesmyków pomiędzy temi górami wysuwały się na równinę długie węże obozów. Były to obozy armii Leniewicza.

Około 3-ej po południu stanęliśmy pod wioską Puche. Od rana dmący ostry wietrzyk wzmocnił się i miótł obłoki kurzawy. Większość obozów, jadących przed nami, zawróciła z drogi i zatrzymała się we wsi na nocleg.

Nam rozkazano iść dalej.

Nie jazda to była, ale męka okropna. Wiatr przeszedł w tajfun, który zakrył słońce żółto-brunatnym tumanem i otoczył nas rodzajem półzmroku. Wszystkie przedmioty na odległość dwudziestu kroków zginęły w pyłe, który zasypywał oczy, wciskał się do uszu, nosa i ust i tamował oddech. Zimny prąd powietrza wnikał wraz z drobnym piaskiem w każdą szczelinę ubrania, mroził i ranił obnażoną skórę. Szliśmy, jak po omacku, zatrzymując się od czasu do czasu dla nabrania oddechu.

Po kilku godzinach takiej męki wjechaliśmy nareszcie przed zachodem słońca w kamienistą okolicę. Rozpęd

hamowanego górami wiatru zmniejszył się, kurzawa opadła, zaczęliśmy oddychać lżej.

Stanęliśmy na nocleg w niewielkiej wiosce, wymęczeni szaleniem i zziębnięci. Trafiliśmy do fanzy bez drzwi i okien. Aby się choć trochę zabezpieczyć od wiatru i chłodu, zawiesiliśmy otwory w murze kawałkami płótna stanowiącego części składowe żołnierskich namiotów. Nazajutrz po tajfunie poranek był bardzo piękny. Wyszedłem na ulicę, aby rozejrzeć się po okolicy.

Znajdowaliśmy się w podgórskiej miejscowości na stoku dość znacznego wzniesienia porośłego suchą trawą. Za tem wzniesieniem siniał poszczerbiony łańcuch gór. Wszystkie fanzy we wsi były murowane nadzwyczaj porządnie z kamienia. Drzwi i okna miały obramowanie z szarego marmuru rzeźbionego delikatnie w kwiaty.

Kiedym się ciekawie przypatrywał tym wytworom chińskiej sztuki zdobniczej, zbliżył się ku mnie główny lekarz i oznajmił, iż tylko co otrzymał parę słów od lekarza dywizji, który mu donosił, iż spotkał w następnej oddalonej o parę kilometrów wsi sztab naszej dywizji z dowodzącym nią generałem.

Nieźle zmykali, pomyślałem sobie, kiedy nas wyprzedzili. »A gdzie się znajdują nasze pułki?« zapytałem. »Niewiadomo, generał zgubił je na drugi dzień bitwy i dotąd odnaleźć nie może; w każdym razie bądźmy przygotowani na to, iż może mu przyjść do głowy fantazja zrobić przegląd naszego szpitala, niech więc pan siada na koń i rozporządzi się, aby obóz natychmiast stanął nad drogą i w porządku ruszymy dalej.«

Spełniłem rozkaz i w pół godziny posuwaliśmy się

ku wsi Iłu, gdzie się zatrzymał ze swym sztabem nasz niefortunny dowódca.

Już połowa naszych wozów wjechała w główną jej ulicę, kiedy przeciął nam drogę inny obóz.

W tym samym momencie wszczął się za nami jakiś zgiełk. Odwróciłem głowę i ujrzałem pędzących na oślep na nas kilku jeźdźców na nieosiodłanych koniach, a za nimi wywracające się po drodze bez woźnic arby chińskie i kilka kuchni pułkowych.

Jeźdźcy, między którymi kilku było rannych, rozpaczliwym głosem wołali: »Japończycy, Japończycy!«

W jednej chwili w tylnych szeregach wozów, na które napierały rozhukane zaprzęgi uciekających transportów, wszczął się popłoch. Zaczęto zacinać konie, aby się posunąć naprzód, wozy się poplątały, konie zaniepokojone niezwykłą wrzawą zaczęły się rzucać i wspinać, rwąc uprząż i druzgocąc kopytami wszystko czego dosięgały. W mgnieniu oka przed wjazdem do wsi skłębiła się w okrutnym nieładzie masa ludzi i zaprzęgów.

W tej chwili zstępywał z góry długi łańcuch piechoty.

Żołnierze byli tylko w ciepłych watowanych kurtkach z ładownicami u pasa lub przez ramię i schodzili powoli zwróceniu twarzą ku góróm, za którymi rozlegały się głośnie echa karabinowych strzałów.

Ujrzawszy pędzących po drodze jeźdźców i nieład wśród obozów, zatrzymali się na krótki moment i zaczęli potem uciekać jak szaleni ku wsi, rzucając dla ulżenia sobie broń i ładunki na ziemię.

Zupełnie, widocznie pod wpływem panicznego stra-

chu, potracili głowy, gdyż lecieli na oślep przed siebie z wytrzeszczonymi oczyma, wykrzywionymi rozpaczliwym grymasem twarzami, przesadzając w konwulsyjnych skokach takie przeszkody, jakichby nigdy w normalnym stanie nie wzięli.

Napróżno jedyny, jaki się wśród nich znalazł oficer, starał się ich powstrzymać prośbą i groźbą, napróżno stary brodaty feldwebel ukląkszy na polu z rozkrzyżowanymi rękami zaklinał ich imieniem cara, aby stanęli. Nie zrobiło to żadnego wrażenia, podobnie, jak żadne ludzkie perswazyje nie są w stanie poskromić wybryków szaleńca.

Z przerażeniem patrzyłem na tę scenę. Raptem koń mój rzucił się w bok, tak, iż o mało nie spadłem z siodła i zsunął się do parowu przy drodze, nad którym stałem, potem wyniósł mnie szybko na przeciwległy brzeg i stanął drżąc całym ciałem. Nie mogłem zrozumieć przyczyny tych skoków spokojnego zwykle zwierzęcia, tymczasem jeden z naszych żołnierzy zwrócił mi uwagę, iż koń jest raniony w bok.

Odwróciłem głowę i ujrzałem strugę krwi sącząca się z lewego uda. Widocznie, kiedym się przyglądał panice najechał na mnie jakiś woźnica i dyszłem poczęstował konia.

W tej chwili właśnie żołnierze nasi szpitalowi zaczęli pod kierunkiem pomocnika smotrytela rozstawiać się szybko na polu przed wsią i nabijać karabiny, aby spotkać nieprzyjaciela.

Ciury nasze okazały więcej męstwa, niż regularne wojsko. Ale nieprzyjaciel nie pokazywał się. Stopniowo

panika ustawała i nareszcie tylko kilka połamanych wozów, przewróconych arb na drodze i kilkanaście błakających się po polu mułów, koni i osłów bez panów świadczyło o niedawnym popłochu.

Nasi szpitalowi bohaterowie zaczęli zaraz uganiać za nimi i złowiwszy kilka przyciągnęli do naszego obozu.

Od tej chwili, zanimby się znalazł właściciel, stanowiły te zwierzęta ich własność.

Piechota, która tak sromotnie uciekała, pozbierawszy swe manatki, ruszyła za oficerem do wsi.

Opatrzyłem ranę mego konia: miał głębokie rozdarcie na skórze lewego uda, krew przestała się sączyć, nie dotykałem więc go pozostawiając zagojenie naturze.

Ciekawi byliśmy, co było przyczyną paniki.

Od artylerzystów, którzy byli głównymi jej sprawcami, dowiedzieliśmy się, iż o kilka kilometrów za nami napadł na nich raniutko oddział japońskiej kawalerii, a że szli bez żadnej eskorty, nie stawili żadnego oporu, i po pierwszych strzałach utraciwszy kilku rannych i zabitych przecięli postronki i uciekli co koń wyskoczy, zostawiwszy nieprzyjacielowi armaty i pudła z nabojami. To samo spotkało kuchnie pułkowe, które wiozły posiłek dla żołnierzy na pozycje w górach.

Miał rację nasz naczelnik obozu, iż przez cały dzień wczorajszy pędził nas naprzód nie zważając na tajfun. Gdybyśmy się zatrzymali w Puche za przykładem wielu innych, wpadlibyśmy bezwątpienia w ręce japońskie.

Południe już było, kiedy otworzyła się nareszcie przed nami droga przez łąki i zaczęliśmy kręcić się w labiryncie ogrodzonych wysokimi murami uliczek. Wydo-

stawszy się ze wsi, wjechaliśmy między wysokie wzgórza. Droga stawała się coraz gorszą i niebezpieczniejszą: przejeżdżaliśmy często nad brzegiem głębokich urwisk i przepaści, przebywaliśmy rwące potoki i wspinaliśmy się po stromych pochyłościach.

Dzień był całkiem wiosenny, słońce przygrzewało tak silnie, że zdjąłem kozuszek.

Spotykaliśmy coraz więcej obozów i transportów wojskowych i prywatnych naładowanych różnym rupieciami; coraz mniej było porządku, coraz pospieszniejszym stawał się ruch, coraz częściej widzieliśmy obok drogi trupy osłów, mułów i koni, opuszczone arby i wózki. Na drodze leżały gęsto rozsiane naboje i różne przedmioty domowego użytku, jak kubki, talerze cynowe, czajniki metalowe i kociołki, krzesółka i stołki. Widzieliśmy nawet stojące na polu przy drodze łóżko żelazne, na którym najspokojniej spało na słońcu dwóch oberwanych żołnierzy.

Zjawiły się między obozami kupki jakichś obdartych i zaniedbanych ludzi, częstokroć zupełnie nieuzbrojonych, którzy wlekli się drogą, żując suchy chleb, wydobywany z mocno wypchanych sakiew. Nieraz trudno było zdecydować, czy to byli żołnierze, czy cywilni, gdyż nic w ich ubiorach i zachowaniu się nie przypominało, że należeli do stanu wojennego.

Przybłąkała się do nas jakaś armata. Siedział przy niej, kiwając się na koziołku zaspany młodziutki oficer, a wychudłe szkapy, kierowane przez dwóch żołnierzy wlokły się z melancholijnie opuszczonymi łbami.

Pod wieczór wyjechaliśmy z pośród wzgórz na sze-

roka otwartą ku północno-zachodowi dolinę. Przy końcu tej doliny u podnóża dość wysokiej góry rozłożyła się bogata wieś Lio-fań-tuń. Stanęliśmy tam na nocleg. Po drodze, przejeżdżając przez małą wioseczkę, spotkaaliśmy znów sztab naszej dywizji, który pozostał w tyle za nami.

W Lio-fań-tuń wprosililiśmy się do zagrody bogatego Chińczyka, stojącej tuż przy wjeździe do wsi. Właściciel młody, bardzo przystojny mężczyzna z manierami wielkiego pana, zaproponował nam obiad i przysłał kilku swych robotników, aby nam służyli. Podziękowaliśmy za uprzejmość, wymówiwszy się od obiadu i usługi.

Wieczór był tak piękny i ciepły, że, zdjęwszy z siebie wierzchnie ubranie i koszulę wymyłem się na podwórzu na świeżem powietrzu, obnażony do pasa jaknajskrupulatniej po raz pierwszy, od siedmiu dni, gdyż od chwili, kiedym opuścił Sin-kai-che oczyszczałem twarz i ręce od brudu tylko za pomocą waty hygroskopicznej, nasyconej wodą kolońską, której miałem niewielki zapas przy sobie. Nie mogłem nigdy wskutek chłodu i pośpiechu, z jakim codzień wyprawiano nas w drogę, ani przebrać się, ani umyć, jak należy.

Po toalecie zasiadłem do zwykłego posiłku, składającego się z jaj na twardo, czarnego chleba, słoniny i herbaty gorącej. Kiedym skończył mą kolację i zabierał się do snu, wbiegł do izby wystraszony deńszczyk mój: »Wasze błahorodje, rzekł, Chińczycy sygnalizują do Japończyków, — niech pan wyjdzie i spojrz na górę.« — Wyszedłem na podwórze i ujrzałem oryginalne widowisko: na tle czarnej nocy paliły się wysoko na niebie dłu-

gie szeregi równolegle stojących świeczek. Świeczki te to były płonące na stoku góry pola gaolanu.

Czy ten ogień rozniecono dlatego, aby przygotować ziemię pod wiosenną kulturę, czy może, w samej rzeczy, były to umówione sygnały, — nie umiem powiedzieć.

Nazajutrz o świcie byliśmy na nogach. Wstałem pierwszy i wyszedłem do obozu, znajdującego się przy drodze, aby dać rozporządzenie do wymarszu.

We wrotach spotkał mnie żołnierz, trzymający przed sobą krwawiącą dłoń, zawiniętą w brudny bandaż. Ujrzawszy mnie, zwrócił się z prośbą, aby mu zmienić opatrunek. Odesłałem go do fanzy, do sióstr miłosierdzia, które miały przy sobie trochę opatrunkowego materiału.

Słońce nie wyjrzało jeszcze za góry, lecz ożłociło cały wschód nieba strzelistymi promieniami. Na dolinę padał ostry fioletowy cień. Mróz był silny, ziemię i dachy pokrywał gruby szron.

Nad drogą unosił się złocisty pył, w którym migotały cienie tłumnie idących bez żadnego ordynku żołnierzy pieszych i konnych. Gdym podszedł do gościńca, przejeżdżał nim właśnie niemłody jakiś generał ze swą świtą.

Staruszek kiwał się na małym mandżurskim koniku, zawinięty w kosmatą kaukazką burkę, z głową wsuniętą w baszłyk brązowy z ponsową podszewką.

Spalona wichrem i pokryta kurzem, wygolona i pamszczona twarz generała patrzyła w przestrzeń nad głowami otaczających, nieruchomymi szklannymi oczyma i tylko głęboka bruzda między zsuniętymi brwiami i roz-

paczliwy wyraz zaciętych wężkich warg świadczyły o ciężkiej trosce, jaka go trapiła widocznie.

Jechał wśród spieszących naprzód bezmyślnie, jak automaty, żołnierzy, którzy szli goniąc widocznie ostatkami sił. Pomieszały się z sobą rozmaite uniformy i rodzaje oręża. W dość znacznych odstępach kołysały się nad głowami ludzi postrzępione sztandary, przy których grupowali się nieliczni oficerowie i żołnierze. Były to resztki rozproszonych pułków.

Wstrząsającym do głębi był ten widok cofającej się w zupełnym nieładzie i zamieszaniu ogromnej armii.

Głęboki tragizm, świadczący o bankructwie wielowiekowej państwowej tradycji, dla której bezmyślnie przelewał swą krew ciemny chłop rosyjski, tkwił w tej katastrofie, wstrząsającej do fundamentów jedną z największych potęg światowych. Zwyciężyła kultura europejska zaszczerpiona ludowi azyatyckiemu, nad kulturą bizantyńską, azyatycką, przejętą przez naród europejski.

Kiedym stał zajęty temi myślami, zapatrzony w groźny obraz, jaki się roztaczał przedemną, zbliżył się do mnie feldwebel i oznajmił, iż obóz ruszył. Siadłem na koń i zamieszałem się wkrótce w tłum na drodze.

Po godzinie jazdy stanęliśmy przed Telinem. Amfiteatr wysokich gór otaczał tonące w szarej mgle duże miasto od północy i wschodu. Mroźny wiatr szedł od tych gór na piaszczystą równinę, po której sunęliśmy powoli zatrzymywani co chwila przez różne przeszkody.

Przed samym miastem przecięła nam drogę jadąca na pozycję polowa artyleria. Widocznie zamierzano osłonić przeprawę przez Lao-che.

Na lewo od nas w pewnym oddaleniu od drogi ukazały się zabudowania kolei żelaznej.

Na obszernym placu przed niemi dymiły liczne ogniska, przy których grzały się grupki żołnierzy i oficerów, strzegące wbitych w ziemię sztandarów.

Tak się przedstawiały niedobitki armii Kuropatkina.

Minęło przynajmniej trzy godziny zanim dostaliśmy się przez wąską bramę do miasta, przepelnionego zdemoralizowanym, nawpół pijanem żołdactwem.

Widocznie, wskutek tego, że władze potraciły głowy, wszystkie szumowiny armii wypłynęły na wierzch i gospodarzyły w mieście na swój sposób. Zaczęto naturalnie od wypicia spirytualiów, których w Telinie był zapas niemały.

Bojąc się, aby nasi żołnierze nie poszli za złym przykładem, przeszliśmy przez miasto bez zatrzymania i rozłożywszy się nad brzegiem Lao-che, postanowiliśmy oczekiwać na rozporządzenia.

Była godzina 2-ga po południu.

Wkoło nas na ogromnej przestrzeni, aż do mostu kolejowego stały obozy i transporty; dziesiątki tysięcy koni i tysiące ludzi i wozów zatrzymanych przez szeroką rzekę, którą pokrywał jeszcze lód niepewny już, gdyż wzdłuż brzegów pędziła woda. Dla przeprawy takiej kolosalnej ilości wozów, koni i ludzi nic nie uczyniono.

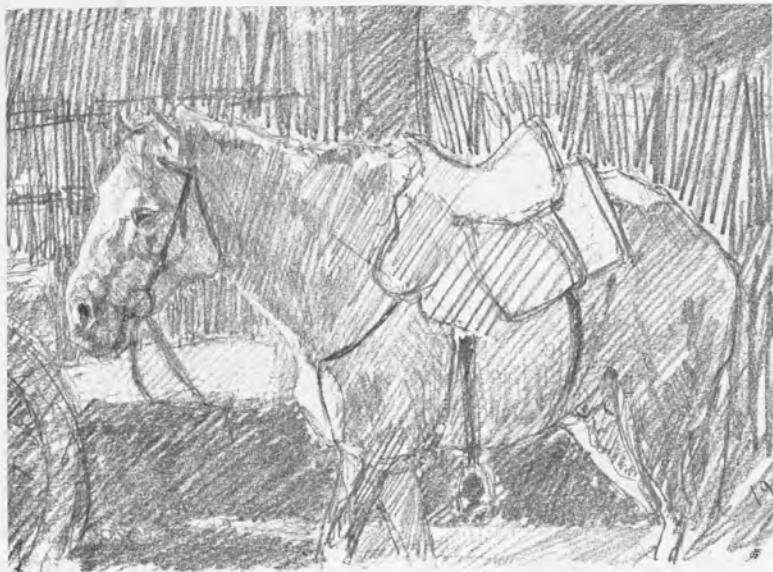
W środku łożyska rzeki wznosił się lichy wążutki mostek chiński i tyle tylko.

Legliśmy na kupie słomy, którą nam rozdawano gratis z pobliskiego składu furazu i zaczęliśmy posilać się. Patrzyłem, jedząc, jak przechodziły jeden za drugim

przez most kolejowy towarowe pociągi obwieszane ludźmi, którzy siedzieli na dachach, buforach i łańcuchach łączących wagony, nawet na lokomotywie, którą oblepili ze wszystkich stron.

Na placie kolejowym sunął się na północ nieskończony szereg szarych zgarbionych postaci.

Podjechał ku nam duży, kryty tarantas z budą i wyglądała z niej siwa głowa naszego lekarza korpusu. Powstałem, aby się z nim przywitać. Ogromnie się ucieszył staruszek ujrzawszy nas. Zgubił oddawna swój sztab i trzymał się teraz obozu saperów naszej brygady. Po-



Konik mandżurski.

wiedział nam, że Mukden od dwóch dni wzięty i że powinniśmy ruszać dalej na północ, gdyż Telin nie ufortyfikowany i bronić go Kuropatkin nie będzie.

Wkrótce przyłączył się do nas dywizyjny lekarz, który tylko co powrócił ze stacji kolei. Usłyszeliśmy od niego, iż tego dnia, kiedyśmy przejechali przez pole bitwy pod Tawą, wieczorem Japończycy zajęli stację Chu-szi-taj i przerwali komunikację kolejową z Mukdenem. Kawalerya japońska napadła na obozy pod Puche rozbiła je zupełnie i zabrała. Wpadł, jakoby, w jej ręce duży transport srebra należący do Wschodnio-chińskiego Banku i obóz głównodowodzącego z ważnymi dokumentami, między którymi miał się znajdować plan obrony Władywostoku.

Opowiadano lekarzowi dywizyi, że żołnierze nasi korzystali z najłżejszego popłochu, aby rzucić się na kasy obozowe lub pułkowe rozbijać je i napełniwszy kieszenie pieniędzmi uciekać.

Otrzymałszy rozkaz, aby natychmiast przeprowadzić się przez rzekę. Zjechaliśmy po spadzistym brzegu nad wodę i nie widząc żadnego innego sposobu, zdecydowaliśmy się spróbować przejazdu przez lód.

Nadspodziewanie szczęśliwie powiódł się nam ten śmiały manewr, mieliśmy tylko trudność we wdrapaniu się na przeciwległy brzeg, na którym wznosiły się wysoko usypane wały, przygotowane widocznie dla artylerji.

Słońce już zachodziło, kiedyśmy się zebrali niedaleko plantu kolejowego przy wioseczce złożonej z kilku fanz.

Żołnierze pogranicznej straży, którzy je zajmowali, ustąpili nam kilku miejsc na kanach na nocleg.

Wieczór był cichy i mroźny. Miasto zakryły dymy licznych ognisk buchających na obu brzegach rzeki, od której dochodził nas skrzyp kół i wrzawa przepływających się obozów. Po górach rozbijało się echo dalekich strzałów armatnich.

Nazajutrz, jak codzień, byliśmy przed wschodem słońca na koniu. Poranek był szary, mglisty i chłodny. Wszędzie naokół naszego obozowiska zrywały się od dymiących ognisk szare zapylone postaci i narzuciwszy sakwy na plecy, ciężkim powolnym krokiem szły wzdłuż plantu kolei ścieżkami na północ.

Jechaliśmy jakiś czas drogą, idącą przez szeroki przesmyk między górami. Potem góry zostały za nami i zaszły od wschodu, a my wstąpiliśmy na pięknie uprawną, zlekka falującą równinę, przeciętą dużą ilością płynących na zachód ku Lao-che strumieni.

Kraj był gęsto zaludniony, spotykaliśmy ciągle bogate wsie zajęte przez nasze cofające się wojska. Koło południa słońce rozprószyło mgły i ogrzało powietrze, powiał ciepły wietrzyk, błysnęły gładkie zwierciadła jezior i zaszemrały rozkute z lodowych więzów strumyki. Z pod błękitnego stropu nieba doszło do nas gromkie gęganie lecących wielkimi stadami na północ dzikich gęsi. Zapomniałem na chwilę o zmęczeniu fizycznym upojony pięknem budzącej się z zimowego letargu natury.

O 3-ej po południu stanęliśmy pod stacją Kajuań. Udałem się zaraz na telegraf, aby wysłać depezę do rodziny. Przyjęto ją bez trudności i obiecano wyprawić na-

tychmiast. Zdziwiła mnie taka gotowość szybkiego załatwienia tej sprawy, kiedy zwykle marudzono po parę godzin, tłumacząc się nawałem roboty, zapytałem więc telegrafistę co to oznacza. »Mukden i Telin nic nam nie przesysłają, a za kilka godzin i my zabieramy aparaty i ruszamy na północ«.

Na peronie spotkałem kilku sztabowców, którzy przybyli tu wygodnie pociągami a teraz łapali swoje odziały i kilku lekarzy, którzy pogubili swe szpitale. Mieliśmy zamiar zanocować na placu przed stacją, ale komendant nie zezwolił na to, udaliśmy się więc do pobliskiej wioski.

Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Zaraz za wsią uderzył mnie przykry przykład barbarzyństwa naszych żołnierzy. Nad drogą stała niewielka pagoda, w której oni wiodcznie nocowali. Drzwi były wyłamane, a przed progiem leżeli w różnych pozach bożkowie z uciętymi głowami i szeroko otwartymi klatkami piersiowymi, z których wyrwano serca z gliny, jakie im Chińczycy do wnętrza wkładają. Nie dziw, że za podobne dzikie przejawy bezrozumnej swywoli odpłacali potem Chińczycy głęboką nienawiścią i przy sposobności mścili się w okrutny sposób.

Mieliśmy dotrzeć do miasteczka Czan-tu-fu i tam oczekiwać na dalsze rozkazy. Szliśmy ciągle okopaną drogą, widocznie zawczasu przygotowaną na wypadek odwrotu wzdłuż kolei.

Przez pola ścieżkami i wzdłuż relsów ciągnęła armia.

Nikt się o nią nie troszczył i nikt nią nie kierował. Szli żołnierze na północ, żując suchy chleb, zatrzymując się od czasu do czasu przy drodze, aby zagotować

w kociołkach gorącej wody na herbatę, lub przespać się, zrezygnowani i obojętni na wszystko. Gdyby Chińczykom przyszło do głowy w tej chwili rzucić się na nich z orężem w ręku, spotkałby ich ten sam los, jakiemu uległy rozbitki armii Napoleona w 1812 r.

Żołnierz ten mógł wygrywać dawniej bitwy, kiedy go masą rzucano na nieprzyjaciela, którego widział i czuł jego bolesne razy.

Teraz, kiedy strategia sprowadza się głównie do zmiatania ludzi za pomocą mechanicznych przyrządów, kierowanych niewidzialną ręką, osobista waleczność gra podrzędną rolę, zastępuje ją inteligencja — a tej właśnie żołnierzowi rossyjskiemu brak.

Zapytałem jednego z nich przez ciekawość, dokąd dąży: »W Samarskuju guberniju!« odpowiedział. Ten widocznie zdecydował, że wojna skończona i ufny w siłę swych nóg, nie troszcząc się o nic, zamierzał odbyć kolosalną podróż do swej ojczyzny piechotą.

Spotkaliśmy kilka razy w ciągu dnia kozaków, ciągnących za kosy związanych żołnierzy milicyi chińskiej, której przegląd widziałem w Mukdenie. Jak się pokazało, zawiedli pokładane w nich nadzieje. Wysłano ich przeciwko Japończykom, postawiwszy kozaków za nimi, aby w razie zdrady, ukarać przykładnie. Nie pomogły jednak te środki ostrożności, rozbiegli się sromotnie, jak tylko Japończycy zaczęli do nich strzelać a część nawet, rzucawszy oręż, przeszła do nieprzyjaciela. Nie miał Kuropatkin szczęścia w swych pomysłach.

Pod wieczór zaczął dąć mroźny wiatr i niebo zachmurzyło się.

Wymęczeni byliśmy okrutnie, gdyż droga była znacznie gorszą, niż ubiegłego dnia.

Natłok wozów i ludzi był większy, a przytem przebyliśmy w bród kilka dość głębokich szeroko rozlanych rzeczutek. Ludzie wlekli się głodni i przemarznięci, ustając co chwila i wyciągając na ziemi dla wypoczynku. Na domiar złego zaczął padać śnieg, który zalepiał nam oczy i zasypywał słabo oświetlony młodym księżycem szlak drożny.

Jeden za drugim zjeżdżały przed nami do wiosek obozy i nareszcie zostaliśmy sami.

Proponowałem głównemu lekarzowi pójść za ich przykładem, ale nie chciał o tem słyszeć, obawiając się, aby na nas nie napadli chunchuzi. Pragnął połączyć się z obozem naszej dywizyi, który znacznie nas wyprzedził.

Wlekliśmy się więc dalej. Zsiadłem z siodła przemarznięty do kości i aby się rozgrzać szedłem przy drodze, starając się odkryć zmęczonym wzrokiem w ciemnościach błysk jakiego ognia, któryby nam zwiastował bliskość ludzkiej siedziby. Zdecydowany byłem *coute que coute* zatrzymać się tam.

W tej chwili na nasypie o paręset kroków od nas zahuczał pociąg. Z okien biły smugi światła elektrycznego, w wagonie restauracyjnym podawano właśnie obiad, przy którym rozpierali się wygodnie nasi mężni dowódcy.

Z grupy żołnierzy, którzy szli obok mnie odezwało się przekleństwo i wzniósł się kułak ku pociągowi.

Wkrótce poświst wichru stłumił turkot kół, ognie rozplynęły się w przestrzeni i jeszcze bardziej mroczną, zimną i smutną wydała się otaczająca nas noc.

Nareszcie w oddali błysnął ogień, skierowaliśmy się ku niemu i stanęliśmy nareszcie pod wioską, w której rozłożył się zarząd głównej intendatury. Mieliśmy dość ostrą rozprawę z czynownikami, którzy uważali siebie za uprawnionych do zatrzymania wszystkich fanz na swój wyłączny użytek i zmusiwszy ich groźbami do ustępstw przenocowaliśmy dość wygodnie.

Nazajutrz rano stanęliśmy przed stacją Czan-tu-fu. Dzień był cudowny. Wierzchołki gór, otaczających półkolem miejscowość, ubielone śniegiem, ostro się odcinały na ciemno-szafirowym tle nieba.

Na dolinę spadały długie cienie ścielące się po czerwono-żółtych stokach poranych przepaścistymi parowami. Kolej, przebiegłszy rzeczułkę po wysokim moście, ginęła w wąwozie. W czystym, cichym górskim powietrzu grzmiały słabe echa dalekiej kanonady.

Na stacji ruch był ogromny. Małeńki budynek nie mógł zmieścić wszystkich, którzy się cisnęli do niego — tłumy zebrały się na peronie.

Z dużym wysiłkiem powiodło mi się precisnąć do telegrafu i wysłać depezę do swoich. Chciałem potem wstąpić do bufetu, aby się pożywić czemkolwiek, ale uprzedzono mnie, że napróżno będę się o to starał, gdyż oddawna żadnych zapasów tam niema. Spotkałem kilku kolegów z Królestwa, którzy należąc do kategorii pariasów medycznych t. j. tak zwanych lekarzy do dyspozycji przy głównym sanitarnym zarządzie, błakali się od stacji do stacji pozostawieni na łasce losu, bez rzeczy, które im poginęły, bez żadnych zapasów żywności, nie wiedząc do kogo się udać po opiekę. Wyraziwszy im me szczere

współczucie i żal, iż w niczem im pomóc nie mogę, przyłączyłem się do moich szpitalowych kolegów, którzy wyciągawszy się na słońcu na pochyłości nasypu kolejowego posilali się twardą, jak kawał drzewa, kiełbasą i równie twardym czerstwym chlebem.

Główny lekarz gdzieś się podział.

Przed nami, po pokrytej grubą warstwą pyłu drodze skrzypiały tysiące wozów i arb toczących się dalej na północ.

Pociągów było niewiele, a te, które przychodziły, przywoziły z sobą setki zbiegów usadowionych na dachach i wszystkich wystających częściach wagonów.

Nadszedł główny lekarz rozradowany. »Wystawcie sobie moi panowie, zaczął, spotkałem tutaj pułk, w którym dawniej służyłem; wczoraj dopiero przybył z Rosyi, idę do nich na obiad.« »A cóż my pocniemy z sobą zapytałem?« »Niech panowie staną w tej wiosce!« Tu wskazał ręką na kilka fanz za rzeczułką wyzierających z niewielkiego lasu.

Ruszyliśmy tam i ustawiwszy obóz w polu, zajęliśmy dla siebie w obszernej fanzie część długiej kany.

Ledwieśmy się na niej rozłożyli, zawitał do nas, prosząc o gościnę dla siebie i sióstr, główny lekarz Hesseńskiego lazaretu, — tego samego, który stał pod Dawağanpu.

Hardy Niemiec, który nas z góry traktował, kiedyśmy przed dwoma tygodniami zwiedzali jego lazaret, spokorniał teraz ogromnie. Skarżył się na nieporządki w armii, na niedbałość naczelników, którzy go w porę nie uprzedzili, iż ma nastąpić odwrót, czuł się ogromnie

zdeenerwowanym i mówił, iż zaraz po przybyciu do Charbina będzie prosił o urlop dla poprawienia zdrowia, nadwreżonego pracą i ciężkimi warunkami życia. Dowiedzieliśmy się potem od sióstr, że stracił w popłochu zupełnie głowę, zostawił w polu część swych wózków do przewożenia rannych, zgubił aptekę i instrumenta.

Teraz bał się odpowiedzialności i chorobą chciał usprawiedliwić swą niezaradność i tchórzostwo.

Powrócił z obiadu główny lekarz i przyniósł z sobą wiele nowin. Telin już w ręku Japończyków. Przed opuszczeniem go przez wojska rosyjskie działy się tam straszne rzeczy.

Rozpasane żołdactwo, pod wpływem alkoholu, którym się obficie uraczyło na składach intendatury, gdzie go rozdawano każdemu, kto chciał brać, byle nie dostał się nieprzyjacielowi, rzuciło się na rabunek sklepów i domów chińskich.

Napróżno oficerowie starali się perswazją i groźbami powstrzymać ich od gwałtów, rozhukana tłuszcza nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Generała Timofiejewa, który z gołą szablą rzucił się na rabujących, wzięto na bagnety.

Kuropatkin jakoby kazał, opuszczając miasto, rozstrzelać kilkunastu schwytanych na gorącym uczynku, a Japończycy powiesili kilkudziesięciu, których zaskoczyli obciążonych łupem po różnych kryjówkach.

Mówiono, że w Czantufu miały się skoncentrować rozbitki armii i przy pomocy przybywających z Rosyi posiłków, stawić opór Japończykom.

Miejscowość nadawała się ku temu, gdyż łatwo ją



Chinka w stroju weselnym.

można było ufortyfikować. Pytanie tylko, czy wycieńczony, zdemoralizowany żołnierz mógł się bić?

Myślano jednak o tem niewątpliwie, gdyż przed wieczorem oficerowie zaczęli na polu przed naszą wioseczką zbierać żołnierzy różnych pułków, formować ich w oddziały i wysyłać na stację do komendanta, który miał je znów skupiać w bataliony i pułki.

Zaglądnął do nas niemłody kapitan z krogulczym nosem, kaprawemi oczyma i arogancką twarzą i ostrym tonem zaproponował, abyśmy przed nocą opuścili fanzę, gdyż ma w niej urządzić kancelaryę etapu. Odpowiedzieliśmy, że ani myślimy ruszać się. »Jakto? — ja mam rozkaz na to! Jeżeli mnie panowie nie usłuchacie, natychmiast poskarżę się głównodowodzącemu!« »Skarż się pan choć samemu dyabłu!« wrzasnął główny lekarz. Wyskoczył za drzwi wściekły kapitan, a po chwili powrócił, zmitygowawszy się i znacznie miększym głosem jął przedstawiać, iż pozycja jego jest nader trudną, gdyż musiał wykonać to, co mu rozkazano i bynajmniej niechce nam uchybić, prosi nas tylko, abyśmy zechcieli przenieść się do sąsiedniej fanzy, którą każe dla nas wyporządzić.

Nie chcąc robić awantury, przenieśliśmy się na nowe legowisko i spędziliśmy w niem noc spokojną.

Nazajutrz dwie nasze siostry oświadczyły, iż dłużej nie są w stanie znosić niewygody pochodu i proszą, aby im pozwolić odjechać do Charbinu w pierwszym pociągu, jaki będzie odchodził z Czantufu.

Nic przeciwko temu nie miał główny lekarz, gdyż jawnem było, iż tak są biedaczki wycieńczone, że ledwie na nogach trzymają się. Za przykładem tych naszych

sióstr poszły ich koleżanki z Hesseńskiego lazaretu i ich główny lekarz.

Przez cały ten dzień przybywały wojska. Przed wieczorem znów wyproszone nas z fanzy, do której wpakowano chunchuzów, prowadzonych na egzekucyę do Charbinu, i przeniesiono do drugiej szopy zaopatrzonej w okna, z których zwisały szmaty podziurawionego papieru.

Zastaliśmy już tam sporo oficerów. Kiedyśmy się kładli do snu ściśnięci, jak śledzie w beczce, wprosiło się do nas jeszcze dwóch sztabowców ze świty Kuropatkina.

Dziwiliśmy się skąd się tu wzięli; — wytłumaczyli nam, że przybyli koleją z Telinu. Kuropatkin złożony został ze swego urzędu i wyjechał do Charbinu, a jego miejsce zajął Leniewicz. Wiadomość ta zrobiła duże wrażenie. Naznaczenie Leniewicza przyjęliśmy jako zapowiedź pokoju, gdyż nikt nie przypuszczał, aby ten niedołączny starzec mógł dalek prowadzić wojnę.

Nad ranem otrzymaliśmy rozkaz, abyśmy się niezwłocznie udali do miasteczka Czantufu położonego o 8 wiorst od stacyi tegoż nazwiska i połączyli się tam z obozami naszej dywizyi. Wyruszyliśmy zaraz po wschodzie słońca. Poranek był nadzwyczaj mroźny. Przez te dwa dni, które spędziłem w Czantufu, nie wypocząłem zupełnie. Ciągłe zimno, brak gorącej strawy i spokojnego snu ogromnie mnie osłabiły. Dwa tygodnie nieprzerwanego prawie marszu, wśród dużych niewygód dały mi się we znaki. Od konnej jazdy puchły mi nogi i czułem ostry ból w kolanach.

W Czantufu stanęliśmy przed południem, po drodze spotkaliśmy orenburski kozacki pułk, który opuścił to miasteczko. Zastaliśmy obozy nasze już zupełnie gotowe do wymarszu. Dano nam tylko czas na spożycie śniadania i rozkazano ruszać do Gundzulina odległego stamtąd o 112 wiorst.

Dzień był bardzo piękny, drogę mieliśmy zupełnie wolną, gdyż, dla większego porządku, namysłono się narzeczcie rozdzielić obozy drugiej i trzeciej armii, przeznaczając jednym prawą, drugim lewą stronę kolei.

My szliśmy lewą stroną. Przejeżdżaliśmy przez bogaty, pięknie uprawny, lekko falujący kraj, osłoniiony od wschodu łańcuchem gór. O kilka wiorst za Czantufu przeprawiliśmy się przez wązki most wiszący wysoko nad przepaścią, świadczący o nadzwyczajnym braku troskliwości Chińczyków o drogi i przeprawy.

Most zbudowany z wbitych w boki parowu występujących jeden nad drugim grubych bali nie miał żadnych poręczy i kiedym przeprowadzał po nim trzęsącego się od strachu konia widziałem na dnie głębokiej przepaści podruzgotaną arbę chińską i kilka zabitych mułów.

Zanocowaliśmy w cichej wioszczce, w której nas gościnnie podejmowali Chińczycy, zadowoleni widocznie z tego, że »Rus«
wynosi się do dyabła.

Nazajutrz szliśmy przez cały dzień i pod wieczór stanęliśmy pod murami miasteczka, którego bramy zamknięto przed nami. Przenocowaliśmy w polu.

Ten dzień naszego odwrotu był pierwszym, w którym, oprócz pukanki z karabinów do dzikich gęsi, żadnej innej kanonady nie słyszeliśmy.

Następnego dnia przeszliśmy przez miasteczko Szaomiaodzy, przed którym o mało że nie powtórzyły się sceny paniki pod łąką.

Była godzina 3-cia po południu, kiedy z lasku niedaleko drogi wyjechało kilku kozaków i zbliżywszy się do obozu dywizji, krzyknęli »Miejcie się na baczności. Japończycy blisko!«
Dość było tych słów, aby wzniecić popłoch.

Zatrzymano wozy, tchórzliwsi zaczęli oglądać się na lasy i krzaki. Kozacy ulotnili się gdzieś, jak kamfora.

W tej chwili rozległ się trzask strzału karabinowego. Zaniepokojenie stało się ogólnem. Zatrzymał się i nasz obóz.

Rozkazano żołnierzom nabić karabiny i stanąć od pola. Tymczasem od zachodu pokazał się duży oddział kawaleryi. Dowódca obozów wyprawił na zwiady oficera konno z kilku żołnierzami.

Wrócili wkrótce donosząc, że to nasza kawalerya. Ruszyliśmy dalej, a w miasteczku spotkaliśmy saperów, wiozących trupa jednego ze swych towarzyszy, który tylko co odebrał sobie życie wystrzałem z karabina; był to właśnie ten strzał, który wywołał takie zaniepokojenie wśród obozów.

O kozakach mówiono, iż nieraz w czasie tego smutnego odwrotu płatali podobne figle w tym celu, aby, wywoławszy panikę, łupić obozy i rozbijać kasy.

Za Szaomiaodzy spotkaliśmy dość znaczny oddział regularnego wojska chińskiego biwakujący w obszernym zajeździe nad drogą. Pięknie wyglądali rośli, młodzi żołnierze w zielonych jedwabnych kaftanach z białym krążkiem na piersiach.

Nazajutrz przeprawiliśmy się przez kilka dość szerokich rzek, płynących w głęboko wyżłobionych w gliniastym gruncie przepaścistych brzegach.

Mostów nigdzie nie było, przebywaliśmy je w bród, lód był już cienki i nigdzie nie wytrzymał pod kołami wozów i kopytami koni. Pod jednym z moich kolegów, który wjechał na rzekę za idącymi pieszo żołnierzami załamał się i biedak wpadł do wody i przemókł do nitki; musiał potem przez kilka godzin iść pieszo, aby się nie zaziębić.

Do Gundzulinu dotarliśmy 8-go marca przed południem.

Dzień był słoneczny, ciepły. Wlekliśmy się wyczerzeni i głodni po błotnistej porośniętej wikliną nizinie, na której szkliły się szeroko rozlane płytkie kałuże. Przejechaliśmy przez plant kolejowy w pobliżu błotnistej jeziorka, w którym właśnie kąpali się żołnierze.

Obszerna stacya w chińskim stylu z dużym występującym na peron poddaszem i wielką ilością smoków na wierzchołku i rogach dachu, wznosiła się tuż obok.

Za nią stała drewniana cerkiewka, przy której grupowały się liczne domki murowane z cegły. Osadę przecinało kilka szerokich ulic. Kiedyśmy wjechali w jedną z nich, kierując się ku widniejszej opodal wiosce, zauważyłem kołyszący się na wysokim drągu nad jednym z domków papierowy plakat z napisem »świeże pączki«.

Głodny żołądek odezwał się tak wyraźnym językiem na te kuszące słowa, że puściłem obóz naprzód, a sam, zsiadłszy z konia uraczyłem się tym przysmakiem, który był wyborny, w takiej ilości, iż miałem po doko-

nanym fakcie obawę, iż drogo zapłacę za me łakomstwo. Na szczęście wszystko się obeszło bez komplikacji.

Dopędziłem obóz już pod wioseczką. Stali już tam kozacy. Ustąpili nam jedną malutką fanzę, mocno zrujnowaną i brudną, ale mającą tę zaletę, że kana w niej grzała wcale dobrze.

Kazaliśmy znieść nasze rzeczy i rozłożyliśmy się na dobre w tej myśli, iż nie prędko już stąd ruszymy.

Nie zawiedliśmy się w swych przypuszczeniach. Pod Gundzulinem staliśmy zupełnie beczynnym przez siedm tygodni. Raz tylko, wkrótce po naszym przybyciu pchnięto nas przez pomyłkę topograficzną naszego sztabu na mongolską granicę za rzekę Dalaoche w czasie okropnych roztopów, w okropny czas, na to, aby nazajutrz znów zawrócić na dawne miejsce.

Potem naczelnicy zapomnieli o nas, zajęci zbieraniem rozbitków, formowaniem pułków, ocenianiem strat, pisanem doniesień i raportów, wreszcie rozdawaniem sobie i swym sztabom nagród za tyle trosk i przykrości, jakich z przyczyny niedelikatnych Azyatów doznali.





Rozjazd 87.

XV.

Pod Gundzulinem zatrzymała się cofająca się przed Japończykami armia rossyjska.

Skończył się ten haniebny odwrót, a raczej ucieczka, jakiej podobnych niewiele zna historia. Odrzucili nas Japończycy o jakie trzysta kilometrów na północ, zabrali moc niewolnika i zdobyli wojennej i rozprzeszyli zupełnie.

Z wyjątkiem armii Leniewicza, która najmniej przyjmowała udziału w bitwie i wycofała się z nieznacznymi, stosunkowo, stratami, nie pozostało na terytorium mandżurskim żadnego zdolnego do dalszej walki wojska.

Popłoch wywołany klęską był tak wielkim, iż z Charbinu zaczęto wyjeżdżać na gwałt, — fala zbiegów oparła się aż o Irkuck. Stopniowo jednak ochłonięto z przerażenia. Japończyk, śnać także wycieńczony szalonym wysiłkiem, zatrzymał się przed Sipingajem na północ od Czantufu i zaczął się tam obwarowywać. Ocknęli się nasi dowódcy i zaczęli wprowadzać jaki taki ład w wojsku.

Kawalerya zawracała od Sungari uciekinierów, którzy poszli na północ, zarządzono rewizję wszystkich pociągów przed mostem na tej rzece, aby powstrzymać oficerów, — nie oszczędzano nikogo, wyrzucano z wagonów bez litości tak samo generałów, jak poruczników, pozwalając na dalszy przejazd tylko ciężko chorym i rannym.

W parę tygodni po zastosowaniu tych środków obliczono siły i skonstatowano, iż ze czterechkroćstotysięcznej armii pozostało nie wiele więcej nad sto dwadzieścia pięć tysięcy zdolnych do boju żołnierzy. Trudno było z tą wymęczoną i zdemoralizowaną armią wojować ze zwycięskim wrogiem.

Wszyscy, z wyjątkiem czynowników intendatury, naczelników etapów i rzadkich karyerowiczów byli tego zdania, że wojna skończona i że trzeba się poddać twardej konieczności i zawrzeć pokój, zapłaciwszy ciężki haracz za grzechy przeszłości, byleby uniknąć jakiej cięższej klęski grożącej ruiną państwu.

W pierwszych dniach kwietnia zaczęły dochodzić do armii nowiny o eskadrze Roźdiestwieńskiego, która dopłynęła szczęśliwie do wód chińskich. Nie bardzo wierzone z początku w to, aby jej losy mogły zmienić sytuację, jednak sam fakt odbicia przez flotę w ciężkich warunkach tak niebywałej podróży podniósł ducha armii. W zgnębione tylu niepowodzeniami serca zaczęła wstępować otucha, obliczano morskie siły Japonii i siły Roźdiestwieńskiego i przychodzono do przekonania, że nie różnią się one między sobą tak bardzo ilością i jakością okrętów, a świetna tradycja floty rossyjskiej dawała

rękojmię, że i ludzie nie ustąpią pod żadnym względem japońskiej załodze.

Zaczęto przebąkiwać o możliwości zwycięstwa Rosyi w razie, gdyby Roźdiestwieńskiemu powiodło się pokonać Japończyków na morzu.

Posiłki z kraju, złożone tym razem przeważnie z nowozaciężnych, nadchodziły obficie, mówiono o zamiarze doprowadzenia ilości żołnierzy do miliona.

Wiosna była nadzwyczaj wietrzna i chłodna. Padały śniegi i deszcze, a roślinność nie rozwijała się wcale. W połowie kwietnia zaledwie zaczęła kiełkować trawka po skrajach pól a z południa nadleciały wrony i kawki.

Gundzulin stoi na płaskiej błotnistej równinie, przetrniętej dużą ilością rzek i rzeczutek płynących od łańcucha gór Czamboszan ku rzece Dalaoche wpadającej w Laoche.

Cały kraj ten jest nadzwyczaj urodzajny i dość gęsto zadrzewiony przez Chińczyków, którzy obsadzają pola i plantują przy zagrodach rodzaj wierzby i osiki nadzwyczaj szybko i bujnie rosnących, wskutek obfitości podskórnej wody.

Wsi niewiele, ale zato gęsto rozsiane bogate fermy, t. zw. impanie, otoczone wysokimi ogrodzeniami z gliny ze strzelnicami u góry. Za temi ogrodzeniami Chińczycy bronią się od napaści chunchuzów, którzy często przechodzą w te okolice z niedalekiej Mongolii.

Dla ukrócenia ich swawoli, gdyż napadali na nasze transporty, rozsiano gęsto kozackie placówki, które łupiły miejscowych mieszkańców niemiłosiernie. Biedni Chińczycy bronili się od tych nieproszonych obrońców,

jak mogli, tłumacząc się, że »kozaka iga jan chunchuza!« t. j. kozak to to samo co chunchuz.

W niestęchanej nudzie i tęsknocie wlokły się dnie jeden za drugim. Jedyną rozrywką były spacery na stacyę, gdzie ześrodkowywało się całe życie towarzyskie armii. Od wczesnego poranku do późnej nocy bufet był przepełniony jedzącymi, a znacznie częściej pijącymi oficerami.

Zalewano wódką srom poniesionej klęski.

Coraz częściej w rozkazach dziennych zjawiały się rozporządzenia głównodowodzącego armią o wysłaniu z armii czynnej oficerów za pijaństwo, ale nie zmniejszyło to zupełnie tej plagi, — gdyż każdy wiedział doskonale, iż, gdyby na seryo zamierzono uzdrowić z niej armię, musiano by pozbyć się przynajmniej jednej trzeciej oficerów. Tymczasem było ich stanowczo zamało. Pili także ogromnie żołnierze, chociaż sprzedawanie im napojów wysokowych było surowo wzbronionem. Jednakże handel trunkami był tak zyskownym, iż przemycano ciągle wódkę z Charbinu różnemi drogami, koleją, lub najczęściej na chińskich arbach w blaszanych pudłach od nafty.

Zaraz po bitwie nastąpiły duże zmiany w składzie wyższej wojskowej administracji. Wielu niedawnych bohaterów potraciło laury i pod tym lub innym pretekstem wyniosło się do kraju. Niemało staruszków, którzy przyjechali po to tylko, aby napełnić kieszenie i wysłużyć orderzy i rangi, podało się za chorych, poczuwszy na swej skórze, iż wojować z Japończykami, to nie przelewki.

Jeden z pierwszych, niby wskutek choroby, wyje-

chał ze swym sztabem dowódca naszego korpusu, ten sam, który dawał tak krwiożercze rady żołnierzom przed bitwą pod Sandepu. Zastąpił go tymczasem dowódca naszej dywizji, który w niepojęty jakiś sposób zdołał usprawiedliwić się przed Leniewiczem ze swej wątpliwej konduity w czasie odwrotu.

Kaulbars utrzymał się także na swym stanowisku, chociaż ogólna fama przypisywała mu niemało ciężkich błędów.

Kuropatkin wyprosił dla siebie dowództwo nad armią Leniewicza.

Dywizya nasza, srodze poturbowana, (w jednym pułku pozostało nie więcej nad 800 żołnierzy i 13 oficerów) stanęła pod Sipingajem.

Wielkanocne święta przeszły smutno i nudno i różniły się od poprzednich dni chyba tem, iż w ciągu nich pijatyka kwitła jeszcze bardziej, niż zwykle.

Zaraz po świętach opuściła nas znów jedna z sióstr miłosierdzia, nie będąc w stanie znieść niewygód naszego życia, a wkrótce potem zachorował na poważny rozstrój nerwowy jeden z kolegów. Wyprawiliśmy go do specjalnego szpitala w Fulardi na północ od Charbina, a sami czuliśmy, że jeżeli przez dłuższy czas jeszcze wypadnie nam żyć w tych warunkach, bez żadnego zajęcia, to stopniowo wszyscy się tam przeniesiemy.

W końcu kwietnia przypomniano sobie nareszcie o naszej egzystencji i rozkazano udać się na rozjazd Nr. 84, o 35 wiorst na południe od Gundzulinu za stacją Godziadań, na której zamieszkał w opuszczonym przez Kuropatkina pociągu Leniewicz ze swym sztabem.

Ponieważ na rozjeździe, na który nas wyprawiono, prócz budynków stacyjnych, nie było żadnych innych zabudowań, a wsie okoliczne stały w ruinach, wyprosiłmy więc przez główny zarząd sanitarny u komendanta stacji Gundzulin dwa wagony towarowe na mieszkanie, dopóki nie znajdziemy, lub nie zbudujemy dla siebie jakiej siedziby.

Na rozjeździe zastaliśmy już jeden szpital ziemski, który właśnie ustawiał namioty i budował baraki z desek, zresztą nic, prócz czystego pola, będącego dnem szeroko rozwartej ku zachodowi doliny, okrążonej z innych stron dość znacznymi wzgórzami, stanowiącemi odnogi łańcucha Czamboszan.

Przybyliśmy na miejsce w piękny ciepły dzień. W powietrzu śmigały jaskółki, wierzchołki wierzb rosnących na granicach pól pokrywał już szaro-zielony przeźroczysty puch, ale nie widać jeszcze było w naturze tego radosnego przebudzenia się, którem zwycięska wiosna zwiastuje swój tryumf nad martwością zimy. Jeszcze w krajobrazie przeważały szaro-żółte tony, a na polach pusto było zupełnie. Rolnik chiński nie odważał się jeszcze przystąpić do zasiewów.

Wybrawszy odpowiednie miejsce o kilkaset kroków od toru kolejowego zaczęliśmy ustawiać namioty. Nie sporo szła ta robota, gdyż ludzie rozleniwili się okropnie. Nareszcie po trzech dniach pracy stanęły szpitale. Najjutrz mieliśmy przystąpić do wzniesienia baraku operacyjnego, apteki, składu na rzeczy i t. p. Tymczasem od rana zaczął dąć silny wiatr, który w przeciągu dnia przeszedł w szalony tajfun.

Legły na ziemię z podruzgotanemi podporami wszystkie nasze namioty. Ten sam los spotkał inne szpitale naszego korpusu, które zaczęły ustawiać się obok nas.

Przez trzy dni ryczała burza, a potem spadł gwałtowny deszcz.

Odrązali cały kraj zazieleniał i zakwitł. Chińczycy zaczęli przy pomocy swych pierwotnych narzędzi rolniczych pracować uprawę swych zagonów i zasiew ziarna.

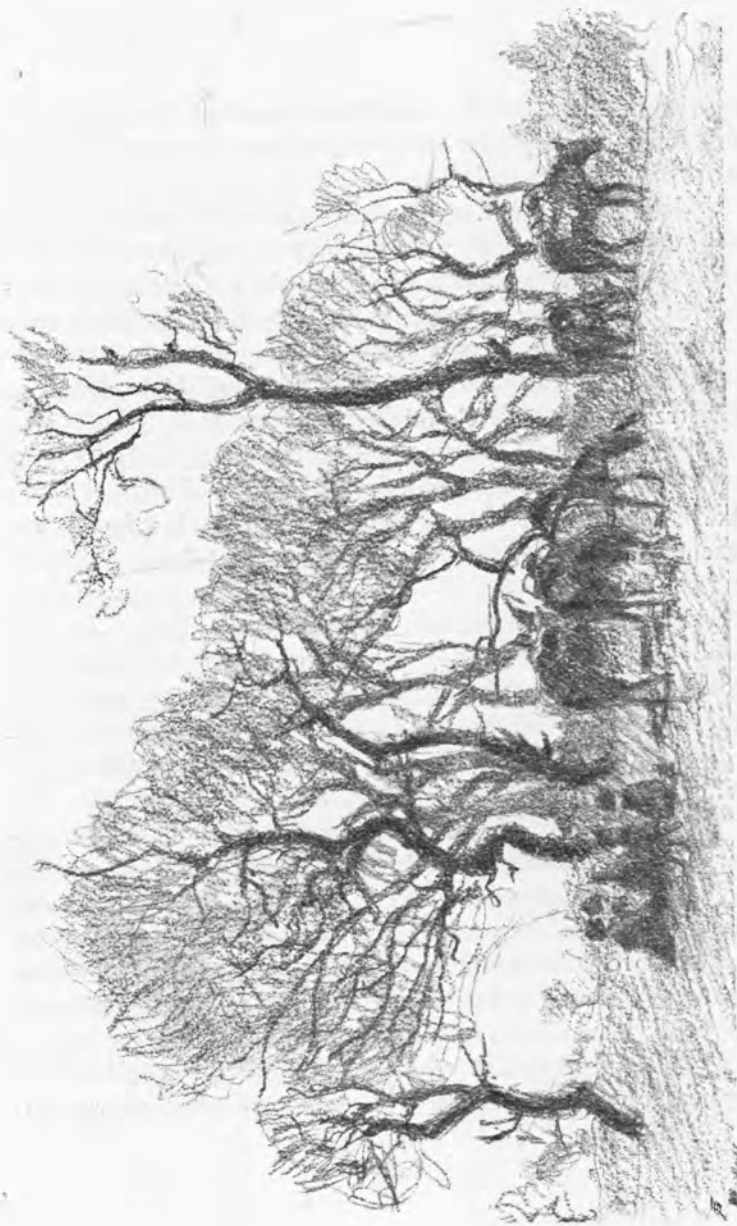
Słońce zaczęło przygrzewać, nastąpiły od razu upały i sezon deszczów i burz. Codziennie od południa nabięgały gnane wiatrem z oceanu groźne obłoki, które potem skraplały się w potoki wody zatapiającej cały kraj.

Rozjazd nasz na nieszczęście znajdował się w nizinie, ku której zbiegała woda z sąsiednich wzgórz. Po każdej ulewie, a nie było dnia bez ulewy, formowały się koło nas kolosalne kałuże, zalewające plant kolejowy i szpitale. Jedna z takich kałuż, tuż przy nas doszła do rozmiarów małego jeziora, na które zapadały dzikie kaczkę i kuliki.

Drogi stały się nie do przebycia, podróż kilkowieśtowa zabierała kilka godzin czasu. Wszystkie mosty i mostki, które przerzucała nasza inżynieria przez rzeczki i rzeczutki znosiła woda regularnie co kilka dni.

Wszystkie szpitale na 84-tym rozjeździe obrócono w etapy dla chorych, którzy przybywali zwykle codziennie między 4 a 5-tą po południu w wózkach i na noszach umocowanych między mułami, najczęściej zmoczeni do nitki, z pułkowych lazaretów i szpitali bardziej oddalonych od kolei.

Chorzy nocowali u nas, a przed południem następ-



Pikieta kozacka.

nego dnia zabierał ich sanitarny pociąg do Charbina. Nie mieliśmy właściwie nic do roboty, pracowała tylko nad statystyką kancelarya.

Pomieszkanie w wagonach towarowych byłoby wcale wygodnym, gdyby nie miliardy much, które nas obsiadały od wschodu do zachodu słońca i nie słońce, które rozpałało boki i kryty blachą dach wagonu. Wskutek tego panowało w nim gorąco w ciągu dnia nieznośne, a przeciągi, jakie sobie przez otwieranie szerokich drzwi na przestrzał urządzaliśmy, nie wiele pomagały.

Wkrótce po przybyciu, wyprosiliśmy dla jedynej siostry, jaka z nami pozostała, malutki pokój u naczelnika stacyi przy pomieszkaniu żandarmów i, gdy się tam przeniosła, spędziliśmy popołudniowe godziny na sieście w zupełnym negliżu.

Z jedzeniem mieliśmy dużo kłopotu.

Aptekarz zniechęcony ciągłymi szykanami smotrytela, który podjudzał przeciw niemu nieznośnego kucharza, przestał prowadzić kuchnię i nikt nie chciał go zastąpić.

Wtedy sam kucharz wystąpił z propozycją stołowania nas za określoną z góry cenę.

Zgodziliśmy się na to, nie mając nic innego do wyboru. Odrazu zaczął karmić nas bardzo źle, wszystkiego było za skąpo, a masło było ohydne. Smotrytel tymczasem wychwalał jedzenie pod niebiosą i werbował ze wsząd stołowników. Domyśliliśmy się, iż jest prawdopodobnie w spółce z kucharzem i karmi innych mięsami i produktami otrzymywanymi dla nas z intendatury.

Niedługo kwitł jednak ten interes. W tydzień po jego rozpoczęciu zamknięto kuchnię wskutek skargi ofi-

cera pogranicznej straży dowodzącego poblizkim kordonem, który doniósł władzom, że nasz kucharz rozpaja mu żołnierzy. Okazało się, iż otworzył on w swej stołowni szynczek. Nie ulegało wątpliwości, iż smotrytel należał do spółki, gdyż deńszczyk jego przemycał wódkę z Gundzulinu, ale nasz główny lekarz puścił płazem całą tę sprawę, tylko kucharza wysłał za karę do pułku.

Na jego miejsce przybył inny specjalista, cichy i potulny człowieczyna, z którego byliśmy zadowoleni. Na domiar szczęścia otrzymaliśmy z intendatury beczkę masła, które dość długo wędrowało po świecie, zanim do nas trafiło, gdyż wyprawionem zostało z Irkucka do Mandzuryi w listopadzie ubiegłego roku. Gdy słońce zaczęło przygrzewać, masło złożone do zwykłych beczek zaczęło topnieć i ściekać na plant kolejowy i do rowów przydrożnych. Przechodzący żołnierze smarowali sobie niem buty, a jednocześnie dla nas i dla chorych brakowało go zupełnie. Wtedy czynownicy intendatury, bojąc się widocznie odpowiedzialności, zaproponowali nam, abyśmy zabrali resztki.

W pierwszych dniach maja doszły do nas wieści o połączeniu się Niebogotowa z Roźdiestwieńskim. Zaczęliśmy z niepokojem wyczekiwać nowin o wielkiej morskiej bitwie, od której miał zależeć dalszy los wojny.

Tymczasem wybrali się do nas w odwiedziny jeden za drugim generałowie. Dziwna rzecz, — ludzi tych nigdy nie było widać w chwili ciężkich przejść, wtedy, kiedy mogli podtrzymać porządek i karność i podnieść swą obecnością i przykładem ducha w wojsku. Zjawiali się zato niezawodnie wtedy, kiedy wszystko zaczynało

iść zwykłym trybem, kiedy ich najmniej potrzebowano, aby nieodpowiednimi rozporządzeniami i mieszaniem się do rzeczy, w których byli całkiem niekompetentni, wywoływać nieład i nieukontentowanie powszechne.

Po kilku wyższych medycznych naczelnikach, przeleciał przez nasz szpital zawiadujący głównym sanitarnym wydziałem Trepow.

Ruchliwy ten generał miał talent wywoływania zamieszania i nieporządku wszędzie, gdzie się zjawił. Przerzucał szpitale z miejsca na miejsce bez żadnego planu i potrzeby, zmieniał lekarzy, zatrzymywał lub wysyłał sanitarne pociągi do różnych punktów wedle swego widzimisie. Miał zwyczaj przy tem wypytywania się żołnierzy o ich cierpienia i robił potem uwagi lekarzom co do sposobu leczenia. Szczęściem w dniu, kiedy nas odwiedził nie mieliśmy ani jednego chorego, zatrzymał się więc tylko przez parę minut i podążył do szpitalów czerwonego krzyża, które wogóle bardziej faworyzował, niż nasze.

Po wizytach generałów, kazano przedstawić nas do nagród za bitwę pod Mukdenem. Sztaby i armie zostały już przed Wielkanocą udekorowane niezliczoną ilością krzyżów, przyczem w tym wypadku, jak dawniej, nietylko osobista zasługa odkrywała drogę do odznaczenia, co szczęście i protekcya.

Wiele wesołości wywołało udekorowanie tych oficerów, którzy podczas bitwy byli w Charbinie i spędzali tam przyjemnie czas w pijatyce i towarzystwie kokot.

W maju wyczytaliśmy w »Wiestniku Mandżurskich Armii« pierwsze telegramy, donoszące w sposób nadzwyczaj

niejasny o zetknięciu się dwóch nieprzyjacielskich flot. Nie wiedzieliśmy, gdzie bitwa nastąpiła i jaki miała rezultat.

17 maja od rana słońce parzyło nieznośnie. Po południu zebrały się olbrzymie czarne obłoki i przy akompaniamencie szalonego wicheru i gęstych piorunów i grzmotów lunął deszcz tak ogromny, iż zatopił wszystkie szpitale i plant kolejowy.

Gdy ustał, ruszyłem, wdziawszy wysokie nieprzemakalne buty, do swoich chorych, aby się dowiedzieć, co się z nimi dzieje. Po drodze, brnąc w wodzie czasami po kolana, obserwowałem, jak siostry miłosierdzia z ziemskich szpitali w męskich strojach i wysokich butach wyławiały unoszone prądem stołki, materace i prześcieradła.

W naszych namiotach woda stała po kostki, maty, któremi była wystana ziemia między narami splecionemi z gałęzi pływały, chorzy leżeli podgiąwszy pod siebie nogi. Za szpitalem przemokli do nitki żołnierze rozwieszali na sznurach swe manatki dla przesuszenia ich

Ku wieczorowi opadły wody i pozostało grzaskie błoto. Powróciwszy do wagonu zastałem tam głównego lekarza, który spędzał dzień w Gadziadań i tylko co właśnie był powrócił. Spotkał mnie ze słowami:

— Straszna klęska! Rossya nie posiada już floty!

— Jakto, zapytałem, czyżby Roźdiestwieński przegrał bitwę?...

— Nietylko przegrał ją, ale sam trafił do niewoli, cała nasza eskadra zniszczona, — kilka pancerników wzięli Japończycy wraz z załogą. — Jednym słowem, nietylko

straszna klęska, ale i hańba ostateczna. Widziałem w Godziadań kapitana krążownika »Ałmaz«, który jeden przedarł się do Władywostoku. Przyjechał do Leniewicza, aby zdać relację z bitwy.

Hiobowe te wieści lotem błyskawicy rozeszły się po całym rozjeździe i w krótkim przeciągu czasu zebrała się przy naszym wagonie dość znaczna grupa oficerów, w smutnym przygnębieniu komentujących świeżo otrzymane przykre nowiny.

Nazajutrz rano wrywano sobie z rąk nieliczne numera »Wiestnika Mandżurskich Armii«, w których figurowały szczegóły niefortunnej bitwy pod Cuszimą. — Lakoniczny styl depesz, podających tylko suche fakta, podnosił okropność tej niesłychanej klęski. Wrażenie było tak silnem, iż zamykało usta najbardziej gadatliwym; w ponurem milczeniu przenoszono się myślą ku toniom morskim, które pochłonęły sławę marynarki rosyjskiej i tyśiące najlepszych jej synów.

Głupi artykuł wydawcy »Wiestnika«, starającego się za pomocą płytkich i zawitych frazesów, osłabić wrażenie, jakie mogła wywołać katastrofa, budził tylko uśmiech politowania na ustach czytelników.

Po bitwie pod Cuszimą, która wykazała całą nicość rosyjskiej marynarki, nie znalazł się w armii ani jeden człowiek, posiadający szczyptę zdrowego rozsądku, któryby wierzył w możliwość prowadzenia przez Rosyę dalszej wojny z jakąkolwiek bądź szansą powodzenia.

Jednak, wskutek pewnej fanfaronady, która wymagała pomsty za tak zasłużenie poniesione hańbiące ciosy, a może przez źle zrozumiany interes sprawy ojczystej,

znaleźli się ludzie, przeważnie między generałami, przybyłymi już po bitwie Mukdeńskiej, którzy nie mogli się pogodzić z sytuacją i z Leniewiczem na czele rozpoczęli znów w armii propagandę odwetu.

Organ p. Pilenki znów uderzył w surmy bojowe, przepowiadając w najbliższym czasie niezwykle sukcesy nad Japończykami.

Nie zdawano sobie sprawy z tego, że zniechęconego tylu niepowodzeniami żołnierza trudno było zmusić do wojaczki.

Nie było rezerwisty w armii, któryby nie wzdychał za powrotem do kraju, a że pokój wypadłoby może opłacić drogą ceną, nie obchodziło go to ani trochę.

»Błahorodja« wywołały zupełnie mu niepotrzebną i obojętną wojnę, »błahorodja« zapłaca też za nią.

Wypadkiem, jednej z naszych sióstr miłosierdzia udało się podsłuchać rozmowę feldwebela z dwoma podoficerami przy kramiku, w którym robiła sprawunki.

— A wojny więcej nie będzie — mówił jeden z podoficerów.

— Czy będzie, czy nie będzie, — my bić się nie chcemy, — odparł gwałtownie feldwebel — niech sobie naczałstwo wojuje, jeżeli mu się to podoba!

— Kaza, to pójdziemy — wtrącił drugi.

— A wiecie, jaka jest umowa w naszym korpusie?

— Wiemy!

— No, to trzymajmy się tylko słowa, a nie pomoga żadne rozkazy!

Siostra zbliżyła się ku rozmawiającym i powiedziała iż mimowoli podsłuchiła ich.

— No i cóż z tego, — odparli śmiejąc się, przecież nas pani nie wyda, a gdyby nawet pani zechciała to uczynić, wyprzemy się swych słów, a pani nas przytem nie zna!

Leniewicza nikt w armii nie brał na seryo. Traktowano go jako poczciwego, nieszkodliwego staruszka, który zawdzięczał swe wzniesienie się temu, iż, stojąc nad grobem, nie wzbudzał niczyjej zawiści.

W talenta jego strategiczne, których przez cały przeciąg swej długiej kariery wojskowej niewiele dał wybitnych dowodów, nikt nie wierzył. Pokpiwano sobie z niego otwarcie, opowiadając mniej, lub więcej złośliwe anegdoty o jego występach publicznych.

Wogóle dyscyplina w armii upadała szybko. Nie było żadnego szacunku dla starszych i przełożonych, ani między oficerami, ani wśród żołnierzy. Karność rozluźniła się znacznie, a bezczynność przyczyniała się wielce do rozkładu moralnego.

Oddawano się pijatyce i hazardownym grom w karty wszędzie i we wszystkich sferach. Pił i grał zarówno oficer, jak i żołnierz.

W naszym szpitalu żołnierze przegrywali po paręset rubli co noc, na stacyi, gdzie rej wodzili żandarmi kolejowi, hojnie opłacani przez przemytników wódki, kwitł sztos i baccarat.

W jednym ze szpitali, tuż obok nas, siostry miłosierdzia oddawały się jawnie rozpuście, w tym samym szpitalu główny lekarz wraz z ordynatorem otworzyli kramik pod cudzą firmą, do którego dostarczali towarów kupowanych po niskiej cenie z oficerskich składów, które

wyprzedawali potem żołnierzom nie mogącym prowidować się w tych składach, z grubym zyskiem.

Rozwinał się na rozjeździe handel końmi, których niewiadomo skąd dostarczali kozacy. Zachęceni ich przykładem nasi szpitalni żołnierze kradli konie, gdzie mogli, często wierzchowce lekarzy i sprzedawali je w poblizkiem miasteczku Chińczykom. Smotrytel nasz, widząc, jak wszędzie naokół wszyscy się bogacą, zżymał się ze złości i przeklinał los, który go umieścił w szpitalu, w którym jeżeli nie wszystko było bez zarzutu, jednak trzymano się pewnych zasad uczciwości, których przekroczyć bezkarnie nie dozwolano. Po namyśle, zdecydował się opuścić nas, pod pozorem przykrości służbowych i prosił, aby go przeniesiono do drugiego szpitala naszej dywizyi, gdzie spodziewał się znaleźć odpowiedniejsze dla swej działalności warunki.

Ponieważ, wypadkowo, smotrytel tamtego szpitala kłócił się także z głównym lekarzem, więc pozwolono na zmianę miejsca.

Wkrótce potem odwiedził nas Leniewicz.

Przybył z Kaulbarsem i liczną świtą przed wieczorem z Sipingaju, gdzie oglądał fortyfikacje.

Zwiedził wpiery szpitala po prawej stronie kolei, gdzie strasznie się oburzył na głównego lekarza jednego z nich za to, że w namiotach podłogę stanowiła warstwa żwiru, a nie maty, jak to widział u innych. Dostało się przytem Kaulbarsowi za to, że nie pilnuje u siebie porządku.

Wyładowawszy swój zły humor, był potem nadzwyczaj uprzejmym i zaprosił głównych lekarzy na obiad do swego pociągu.

Kiedym go odprowadzał, trafiłem mimowoli na scenę, jaką robił Kaulbars lekarzowi naszego korpusu za ten żwir, który był powodem złego humoru głównodowodzącego.

Kaulbars stał przy plancie kolejowym zaperzony jak kogut, cały czerwony i łajał w grubijański sposób, nie krępując się obecnością żołnierzy, biednego staruszka, który stał wyprężony przed nim w milczeniu, z ręką u daszka czapki. Mówiono powszechnie, iż Leniewicz, nie lubiąc Kaulbarsa, umyślnie chciał mu zrobić przykrość i skorzystał z pierwszej okazji, aby go ukłuć.

A najboleśniej to odczuli ci, co nic nie zawinili.

W pierwszych dniach czerwca doszły do nas pierwsze wieści o pośrednictwie Roosevelta i widokach pokoju.

Gdy następnie naznaczono na pełnomocnika Wittego, który uchodził za stronnika pokoju, wzrosła w nas nadzieja, iż skończy się nareszcie ta nieszczęśliwa wojna.

Jednocześnie zaczęły przedostawać do nas z Rosyji wieści o rewolucyjnym ruchu, który stopniowo ogarniał całe państwo. Z oderwanych, poobcinanych przez wojсковą cenzurę depeesz trudno było wystawić sobie, co się tam działo, nikt jednak nie wątpił, iż pękły kajdany, które skuwały przez tyle stuleci naród rosyjski.

Liberalne dzienniki, które niebawem zjawiły się w Charbinie, otworzyły oczy armii na sytuację polityczną. Rozchwytywano je i czytano z zapałem. Unoszono się nad artykułami krytykującymi w bezwzględny sposób dawniejsze rządy, którym przypisywano winę ostatnich klęsk.

Kolporterzy chińscy rozsprzedawali na stacyach ty-

siące broszur i książek, które dawniej nie miały do nas dostępu ze względu na treść polityczną.

W pierwszych dniach lipca doszły do nas depeesze z Charbina o buncie floty czarnomorskiej. Był to pierwszy groźny wybuch wojskowej niesubordynacji, który srodze zaalarmował nasze władze. Starano się ukryć ten fakt przed żołnierzami, ale napróżno. Kolejowi pracownicy, z których wielu należało do tajnych organizacji socjalistycznych przemycali nietylko depeesze, donoszące o wypadkach w kraju, ale i tysiące proklamacji, komentujących te wypadki w najbardziej nieprzychylny dla rządu sposób.

Mniej więcej w tym czasie przenieśliśmy się z wagonu do chaty wybudowanej przy szpitalu z resztek zrujnowanych okolicznych fanz przez naszych żołnierzy. Nowa siedziba była bardzo szczupłą, dach miała z płótna chińskiego napojonego bobowym olejem, a ściany z gliny. Miała tę wielką niedogodność, że nie sposób było uchronić się w niej od deszczu, w czasie większych ulew woda przechodziła do wnętrza i nieraz zdarzało mi się przesiadywać u siebie w gumowym płaszczu, lub kryć się w worku ceratowym, po którym spływały strumienie.

Wskutek tego wilgoć w chatce panowała znaczna; wszystkie zapasy żywności nadzwyczaj szybko pokrywały się pleśnią, — to samo miało miejsce z odzieżą, butami i tłumoczkami.

Od połowy lipca zaczęliśmy z gorączkowym zainteresowaniem się śledzić za tokiem pokojowych pertraktacji.

Im pomyślniejsze wieści o nich przychodziły, tem wyraźniejszym się stawał niepokój wyższych władz wojskowych.

Pilenko w »Więstniku Mandżurskich Armii« dowodził gorąco, iż niema co się łudzić co do rezultatu konferencji w Portsmouth: nie może się ona niczem innym skończyć, jak zerwaniem.

Główny sztab polowy rozesłał do wszystkich dowodzących cyrkularz, w którym zwracał ich uwagę na wielkie niebezpieczeństwo dla sprawy rosyjskiej wszelkich marzeń o pokoju i nakazywał, aby wszelkimi sposobami starali się stłumić wśród żołnierzy takie nieprawdopodobne przypuszczenia.

Jednocześnie starano się najwyraźniej zaznaczyć, iż armia sposobi się do boju. Nagromadzono duże zapasy żywności na naszym rozjeździe, nawieziono moc artylerii prościutką z Niemiec, w niemieckich nawet wagonach, zaczęto budować podjazdowe kolejki wąskotorowe do ważniejszych pozycji.

Japończycy tymczasem powoli, lecz stale, okrążać nas zaczęli od lewego skrzydła, posuwając się w górach ku Girinowi.

W końcu lipca dotarli do rosyjskiej granicy od strony Korei i stanęli w odległości 150 kilometrów od Władywostoku.

Jednocześnie wylądowali na Sachalinie i po krótkiej walce zajęli wyspę.

W pierwszych dniach sierpnia doszły do nas wieści o tem, że układy pokojowe lada dzień będą zerwane, wskutek nadmiernych wymagań Japończyków.

Leniewicz sądząc, iż nadeszła pomyślna dla niego chwila, wysłał telegram do cesarza w imieniu armii z błagalną prośbą, aby zerwał te układy, gdyż nic, prócz hańby, Rosyi przynieść nie mogą.

Otrzymał krótką odpowiedź, w której, w delikatnej formie, dano mu do poznania, iż niepotrzebnie się miesza do spraw państwowych, stojących poza jego kompetencją.

W kilka dni potem przyszły wieści, iż nic rokowań znów nawiązaną została.

Znów przybył na nasz rozjazd Leniewicz, aby odebrać świeży transport haubic. W powrotnej drodze stanął przed naszym szpitalem i zsiadłszy z niewielkiego jasno-gniadej maści mierzyna skierował się ku nam. Spotkałem go na ścieżce, gdy szedł w otoczeniu swej świty.

Wyglądał znacznie gorzej, niż zwykle. Z widocznym wysiłkiem trzymał dumnie wzniesioną ku górze anemiczną, żółtą, pooraną gęstymi zmarszczkami twarz, zacisnął silnie bezzębne ocienione bujnym białym wąsem wąskie usta, a z pod krzaczastych siwych brwi rzucał ostre spojrzenia.

Chrapliwym, urywanym głosem zapytał o głównego lekarza i zaraz wszedł do najbliższego namiotu przepętnionego oczekującymi na ewakuację chorymi.

Nie poszczęściło się memu naczelnikowi. Z powodu źle napełnionej sianem poduszki, z której stoczyła się głowa chorego, otrzymał surową naganę, z groźbą wydalenia ze służby w razie, gdyby podobne nieporządki jeszcze raz miały miejsce.

Tak był zirytowany głównodowodzący tem okro-

pnem, wedle jego zdania, naszym niedbalstwem, iż opuścił nas bez pożegnania i udał się do dalszych szpitali.

Dowiedzieliśmy się potem, iż zaraz w następnym podszedł do niego żołnierz i doniósł, że smotrytel handluje wódką.

Leniewicz posiniał ze wściekłości i nie rozstrząsając sprawy, rozkazał aresztować smotrytela i oddać go pod sąd. A był to właśnie nasz dawny smotrytel, którego trafem dosięgła ręka sprawiedliwości.



Szpital po ulewnym deszczu.

XVI.

Nadszedł dzień 19 sierpnia, który zaliczać będę do rzędu najszczęśliwszych w mem życiu.

Po słotnym dniu, nastąpił prześliczny wieczór. Siedziałem przed moją chatką, pijąc herbatę, słuchałem melodyjnego kumkania żab w pobliskim błocie i patrzyłem z zachwytem na niezwykle piękną grę barw na wysokich obłokach oświetlonych ostatnimi blaskami zachodzącego słońca.

Nagle od pobliskiego biwaku Pragskiego pułku doszły do mnie głośne okrzyki hurrah, wielokrotnie powtarzające się.

Zwróciło to uwagę wszystkich i kilku żołnierzy, ze szpitalnych posługaczy, pobiegło w stronę hałasu. Powrócili za chwilę, biegnąc, co sił starczy i wrzeszcząc: »Pokój, pokój!«

Tak mi się serce raptownie ścisnęło, że tchu mi zabrakło.

— Boże, Boże, czyżby nareszcie nastąpiła chwila wyzwolenia!

Tymczasem przyleciał z pobliskiej stacji heliograficznej żołnierz i przyniósł nam nakreślony ołówkiem na kawałku papieru telegram Wittego do cesarza ogłoszony przez sztab główny. Więc i u nas zagrzmiało hurra i przeszło stopniowo przez wszystkie szpitale.

Wzruszenie było ogólnem, żołnierze całowali się z sobą, — wielu płakało z radości. Ja, po silnem wstrząśnieniu, uczułem niewysłowioną błogość, a myśl moja poleciała daleko ku swoim i wydało mi się, iż w tej chwili ich zobaczę.

Nie rychło jednak nastąpił ten moment. Zatrzymano nas do ratyfikacji pokoju t. j. do końca września na rozjeździe a potem przesunięto na północ od Kuaczen-dzy na rozjazd Nr. 75, gdzieśmy we wsi Szaudiofa, położonej o parę kilometrów od kolei otworzyli szpital dla wojsk naszej dywizji, która rozłożyła się we wioskach pobliskich.

Zamieszkaliśmy wśród spokojnych Chińczyków, zajętych właśnie zwózką zboża i młócką. Młócono zboże na tokach podobnie jak na południu Rosyi, za pomocą wałków kamiennych wleczonych przez konie, w dzień i w nocy, przy świetle latarni, lub księżycy, pragnąc widocznie załatwić tę pracę przed nastąpieniem słoty.

W połowie października po paru dniach niepogody spadł śnieg i odrazu nastąpiły dość silne mrozy.

Skracałem tęsknotę i nudy wycieczkami do wsi okolicznych, gdzie stały nasze pułki. Wszędzie prawie miej-

scowi mieszkańcy wyznawali religiękat olicką, a w pobliż-kim miasteczku była misya.

Wybrałem się tam, skorzystawszy z pierwszego pięknego dnia, aby poznać księdza.

Z łatwością odszukałem fanzę, w której mieścił się kościółek, gdyż wskazał mi drogę krzyż, wznoszący się nad jej dachem.

Wszedłszy do podwórza, ujrzałem żołnierza zamiatającego sięń; — zapytałem o misyonarza, odpowiedział mi po polsku, że ksiądz proboszcz jest w domu i wskazał na drzwi na lewo od wejścia. Wszedłem do ubo-giego pokoju, w którym nad stołem pokrytym książkami wisiał krucyfiks. Ksiądz w zwykłym czarnym chińskim stroju siedział na kanie i odmawiał głośno z brewiarza modlitwy.

Przyjął mnie bardzo gościnnie, pokazał kaplicę, w której nad ołtarzem wisiał oleodrukowy wizerunek św. Antoniego Padewskiego a na ścianach także stacye męki Pańskiej. W rogu przy wejściu stało łóżko drewniane zasłonięte kotarą; na tem łóżku spoczywał zwykle biskup, kiedy objeżdżał swoją dyecezyę.

Rozmowa z księdzem była dość trudną, gdyż porozumiewaliśmy się z sobą po łacinie, którą posiadam dość słabo, a przytem, akcent chińsko-francuski, jakiego ksiądz nabył w seminaryum w Szanchaju, gdzie pobierał nauki, zmieniał zupełnie brzmienie słów i czynił je dla mnie niezrozumiałemi. Dowiedziałem się od księdza, że cała Mandżurya pokryta jest siecią misyi katolickich; niema miasteczka, gdzieby nie było misyonarza; w ważniejszych punktach są Francuzi, w mniej znacznych Chińczycy.

Spółzawodniczą z niemi amerykańskie misye prezbiteriańskie.

Rossya ma w Pekinie misyę prawosławną i utrzymuje tam z niemałym kosztem biskupa, ale w całej Mandżuryi nikt nie słyszał o prawosławnym Chińczyku.

Przyszedł powszechny strejk kolejowy, potem wybuch rewolucyi w Rossyi. Zarząd kolei syberyjskich przeszedł w ręce komitetu strejkowego, który, chcąc zastraszyć sobie względy armii i sparaliżować wpływ władz wojskowych, obiecał spragnionemu powrotu do kraju żołnierzowi natychmiastowy prawidłowy ruch pociągów i sprawiedliwy podział miejsc w wagonach.

Leniewicz pozbawiony wskazówek z Petersburga, mając widmo buntu wojskowego przed sobą, paktował z komitetem i zamykał oczy na coraz wyraźniejsze symptomata zrewolucjonizowania żołnierzy i oficerów.

Agitacja polityczna, skierowana już nietylko przeciw rządowi, ale starająca się o rozprzestrzenienie wśród wojska najdziwaczniejszych socyalnych zasad, prowadzona była prawie otwarcie.

Emisaryusze strejkowi rozdawali na stacyach kolei i w wagonach odezwy i proklamacye, których treść stanowiły najskrajniejsze postulaty nauki socyalistycznej. Ordynans mój z każdej wycieczki na stację za sprawunkami przywoził kilka egzemplarzy takiej literatury, której sensu nie był w stanie zrozumieć zupełnie. Tylko ustępy, w których nieznani dobroczyńcy narodu rossyjskiego obiecywali podział ziemi, nadzwyczaj mu przypadły do smaku i znajdował, że to są sprawiedliwe wymagania.

Naczelnicy wiedzieli naturalnie o tem, co się święci,



19¹¹/₁₅ 05
Tuguczendzy

Ksiądz Chińczyk z Tuguczendzy.

ale nie odważali się wystąpić otwarcie, czując, iż władzy nie mają i są jakby w niewoli. Dowodzący arriergardą generał Nadarow, chcąc się przekonać o usposobieniu oficerów zebrał ich na wiec w Charbinie i zaproponował im, aby otwarcie wypowiedzieli się o manifestie 17 października. Ogromna większość wypowiedziała się za manifestem i wyraziła zdanie, iż obowiązkiem ich jest bronić praw przyznanych przez ten manifest narodowi.

Ponieważ większość generałów uważała ten manifest za haniebne ustępstwo wymaganom zrewolucjonizowanego tłumu, więc za zwołanie wiecu Leniewicz usunął Nadarowa z posady, a gdy ten chciał powrócić do Rosyi, komitet strejkowy, przeciw któremu generał odgrażał się, odmówił mu miejsca w pociągu i po paru niefortunnych z jego strony próbach wyjazdu z Charbina zmusił do opuszczenia miasta w powozie pod eskortą kozaków i udania się do Rosyi przez Koreę i Japonię.

W pierwszych dniach grudnia całkiem niespodzianie otrzymałem pozwolenie na powrót do kraju.

Natychmiast wyrobiłem sobie w sztabie dywizji bilet na przejazd powrotny i 12-go grudnia w mroźny piękny wieczór wsiadłem do eleganckiego wagonu pierwszej klasy kolei wschodnio-chińskiej, w którym zarezerwowałem sobie miejsce w ten sposób, że posłałem ordynansa do Kuaczendzy, skąd pociąg wychodził, aby pogadał z konduktorem i wręczył mu odpowiedni datek. W inny sposób trafić do pociągów nie było sposobu - wszystkie miejsca zawsze były zajęte.

Trudno opisać uczucie, jakie zagościło w mej piersi, kiedy ruszył wagon, unosząc mnie ku Charbinowi. Jedno

tylko wiem, że chwila ta wynagrodziła mnie sowicie za te długie dni tęsknoty i smutku, jakie przeżyłem; nie przypuszczałem, iż nie mało jeszcze wycierpię, zanim stanę w domu.

Pociąg zatrzymał się w Charbinie o 11-tej rano. Trzeba było wysiąść, otrzymać z kasy pozwolenie od komitetu strejkowego na przejazd, a potem znaleźć miejsce w jednym z pociągów idących do Rosyi.

Kiedym stanął na zarzuconym pakami i tłumoczkami peronie, otoczył mnie tłum oberwanych, zuchwale domagających się jałmużny żołnierzy. Tuż obok włożyły się, rzucając zalotne spojrzenia, ustrojone wedle ostatniej mody kokoty w licznej gronie wesołych akolitów. Z trudnością dostałem się do przepełnionej, obszernej, w niesmacznym dekadentckim stylu udekorowanej i umeblowanej sali restauracyjnej.

Odrzu przy wstępie dowiedziałem się od znajomych, że ilość pociągów na dobę, pomimo wstrzymania ruchu towarowego jest, wskutek braku wagonów i lokomotyw, nader ograniczoną, że zatem o miejsca nadzwyczaj trudno i będę mógł się uważać za szczęśliwego, jeżeli za parę dni wyjadę.

Perspektywa ta zupełnie mi się nie uśmiechała. Wiedziałem, że miasto przepełnione, że czeka mnie nie mało zachodów, zanim zdobędę chociaż kącik do przeczekania, postanowiłem więc popróbować zaraz szczęścia przy kasie. Odrzu powiedziano mi, że ani na expres, ani na pocztowy miejsc niema, może uda mi się trafić do osobowo-towarowego, który miał odejść przed wieczorem. Kiedym jednak stanął przed okienkiem o 4-tej po

południu, (kasę otwarto o 5-tej) zamknięto mi je przed samym nosem, gdyż byłem 10-tym po kolei, a biletów wydano tylko 7.

Zmrok zapadał, trzeba było myśleć o noclegu

Wskoczyłem do sanek i objechałem dotąd zupełnie mi nieznane miasto, szukając po hotelach, hotelikach i zajazdach pokoju. Nie udało mi się go znaleźć, mimo wysokiej ceny, jaką ofiarowywałem.

Charbin na zewnątrz przypominał zupełnie średniej wielkości miasteczka na południu Rosyi. Przecięty nadzwyczaj szerokimi bez potrzeby ulicami, domy miały murowane, lub wzniesione z bali ułożonych na zrąb, pokryte zieloną blachą; dużo widać było bud jaskrawo pomalowanych obwieszonych ogromnymi sztyldami, obwieszczającymi przechodniom, iż mogą się tam rozweselić. Niejeden milion wywieziony z Rosyi pozostał w tych dziurach. Na ulicach ruch był znaczny, Chińczyków było niewiele, przeważnie żydzi, ormianie i czerkiesi.

Powróciłem na dworzec ulicą, przechodzącą obok wspaniałych zabudowań, w których mieściły się biura zarządu kolei wschodnio-chińskiej.

W sali restauracyjnej ruch się zmniejszył, pociągi odeszły, wiele osób rozproszyło się po mieście w poszukiwaniu noclegu, znalazłem więc z łatwością miejsce na obitej skórą, z popsutymi sprężynami kanapie, stojącej przy ścianie tuż obok długiego stołu, który zajmował środek sali.

Zdecydowałem się spędzić tu noc. Wkrótce przysiadło się do mnie w tym samym celu kilku lekarzy i oficerów i zawiązaliśmy gawędę, bawiąc się obserwacją

typów i scen, jakie się przed nami roztaczały w oświetlonej a *giorno* łukowemi lampami, napełnionej różnorodną publicznością sali.

Przed odejściem ekspresu syberyjskiego ścisk, ożywienie i gwar doszły do najwyższego naprężenia.

Osobliwie tłoczono się przy głównym stole, przy którym, niedaleko nas, zasiadła, udająca się tym właśnie pociągiem na północ żona dzień-dziunia (generał-gubernatora) Cycykaru.

Niemłoda i nader szpetna, nawet jak na Chinę, pani, ubrana była w jasno-różowy atłasowy, podbity drogiem futrem kaftan i dumnie trzymała do góry głowę kunsztownie utrefioną i upiękzoną bukietkami bardzo ładnych sztucznych kwiatów.

Obok niej siedziały bogato odziane dzieci, dalej świta, między którą kilku mężczyzn w okularach na nosie, świadczących o wysokiej ich uczoneści.

Przy naszym stoliku usadowiło się dwóch malców, którzy pełnili funkcję tłumaczy.

Zawiązałem z nimi rozmowę i dowiedziałem się, iż są synami pułkownika, wychowawcami szkoły rosyjsko-chińskiej w Charbinie, w której uczy »madama« (kobieta).

Teraz opuszczają Charbin, aby się udać do angielskich szkół w Szanchaju, które wyżej stoją, niż rosyjskie.

Po odejściu syberyjskiego pociągu zrobiło się odrazu w sali przestroniej. Wytłumaczono nam, iż duża ilość osób rzuciła się w stronę zabudowań głównego zarządu kolei wschodnio-chińskiej, gdzie wybuchł pożar.

Był to już trzeci wypadek pożaru w tym lokalu od dni dziesięciu.

Mówiono otwarcie, iż komuś chodzi o to, aby spaliły się akta, z których kiedyś możnaby było dowiedzieć się o nadużyciach.

Chociaż ciekawość mnie brała przypatrzeć się temu widokowi, nie ruszyłem się jednak z miejsca, obawiając się, abym go nie stracił zupełnie.

Przed północą dowiedzieliśmy się, iż prawdopodobnie więcej pożaru w zarządzie kolei nie będzie, gdyż wypaliło się wszystko, co tylko ogień mógł pochłonać.

Noc zesłała mi na drzemce, co chwila przerywanej ruchami moich sąsiadów i bólem członków, które nie mogły się przyzwyczaić do niewygodnej bardzo pozycji, w jakiej się znajdowały z konieczności.

Zbudziłem się o brzasku ze srogimi bólami w nogach i krzyżach i wyciągnawszy się, ujrzałem, że wkoło wszystkich stołów i między nimi, na brudnej, zalanej resztkami jedzenia podłodze, na tłumoczkach i pakunkach w najfantastyczniejszych pozach leżeli zmorzeni ciężkim snem oficerowie, lekarze, urzędnicy i siostry miłosierdzia.

Z trudnością wyostałem się z pośród skłębionych ciał ludzkich do sieni w poszukiwaniu miejsca, gdziebym mógł umyć się i mimowoli rzuciłem spojrzenie ku nie-dalekiej kasie.

Stały już przy niej cztery osoby.

Nie tracąc czasu, umyłem się coperędzej w pustej garderobie i stanąłem w szeregu, jako dziesiąty.

Słońce wschodziło, rzucając snopy purpurowego światła na pokryte grubym szronem wysokie okna, przez

które miejscami widać było obszerny plac przed dworcem zasypany błękitnym śniegiem, na którym uwijali się na małych oblepionych szronem konikach kozacy orenburgscy, rozpędzający tłumy żołnierstwa, zbierającego się przed wejściem na peron.

Nie opuściłem swego miejsca, aż do chwili otwarcia kasy, t. j. do godziny 1-ej po południu i wynagrodzony zostałem za mą cierpliwość tem, że otrzymałem tak upragniony bilet; za mną tylko trzy osoby jeszcze otrzymały karty. Kilkadziesiąt osób pozostało do dnia następnego, t. j. miało przed sobą perspektywę przebycia nocy podobnej do tej, jaką już przebyłem.

Z wielkimi przeszkodami udało mi się wskoczyć do pociągu, który stał właśnie przed peronem, a to dla tego, że biletów sprzedawano daleko więcej, niż było miejsc, oprócz tego wielu zrozpaczonych kilkodziwem wyczekiwaniem, przebojem chciało dostać się do wagonów.

Usiadło nas ośmiu w coupé na cztery osoby, ale nikt nie myślał o niewygodzie takiej podróży, którą w ten sposób mieliśmy odbywać przez cztery doby t. j. do pogranicznej stacji Mandżuryi, gdzie miała dopiero nastąpić zmiana pociągów, — wszyscy byliśmy szczęśliwi, iż nakoniec opuszczamy ten piękny, ale tak niegościnnie dla nas kraj.

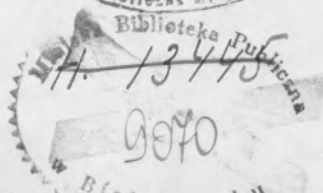
Przed czwartą ruszyliśmy.

Zachodzące słońce rzucało gorące blaski na zasypaną śniegiem równinę; pociąg huczał po kolosalnym moście, rzuconym nad zmarzłą Sungari, pozostawiając za sobą ginące w sinych obłokach gęstego dymu miasto.

Z korytarza zadźwięczał chóralny przyciszony śpiew.
Oficerowie ciągnęli zgodnie melancholijną pieśń,
śpiewaną przez syberyjskich katorżników: »Oj, wy ciepni,
moi ciepni!« (»Oj, kajdany, me kajdany!«).



Szyldwach szpitalny.



9070